PIĘKNA MAPA SAMOCHODOWA
II RZECZYPOSPOLITEJ
W PREZENCIE



MACIEJ PAWLICKI:
JAK NAKRĘCILIŚMY
„LEGIONY"

WIELKI SONDAŻ,
KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ
OPOZYCJĄ

MOCNY WYWIAD
PO ZAWIESZENIU
– PROF. NALASKOWSKI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 37 (355) 2019
16–22 września
CENA: 6,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)

- Kamienice
- Obietnice
- Amber Gold
- Mafia VAT
- Donald Tusk
- Emerytury
- Podatki
- Ścieki
- Cysterny Wstydu
- Sądy
- LGBT
- KOD
- Hejt w sieci
- 500+
- Gdańsk



TYLKO U NAS

TEMATY WSTYDU OPOZYCJI

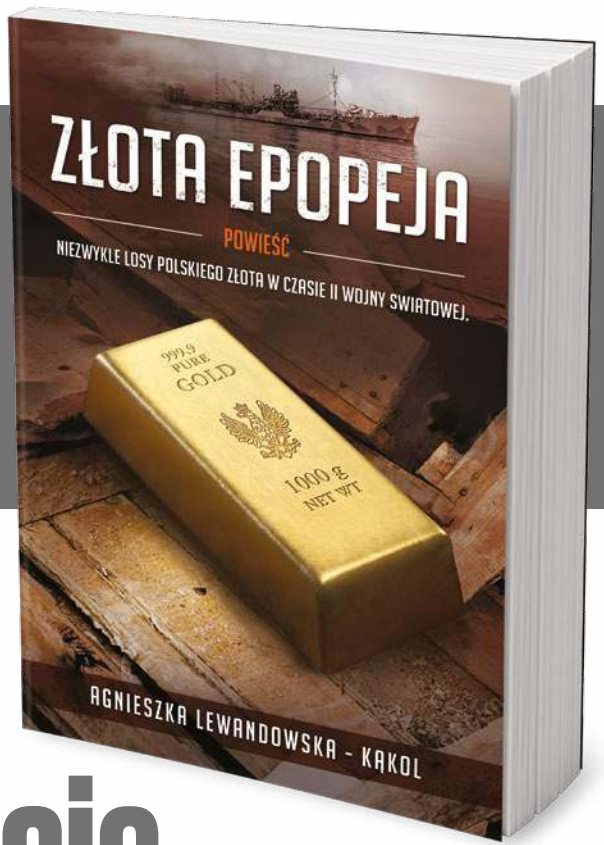
CZEGO SIĘ BOI PLATFORMA? O CZYM NIE CHCE ROZMAWIAĆ? CZY AGRESYWNĄ KAMPANIĄ WYBORCZĄ ZAKRYJE AFERY, KOMPROMITACJE, MANIPULACJE I ZANIECHANIA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl a665b7dce2

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie





Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik SIECI i miesięcznik wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Złota epopeja" otrzymasz gratis!

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl a665b7dce2

Katastrofa sześciopakowa długo będzie się ciągnęła za PO-KO

Nawet kilkunastu godzin uwagi opinii publicznej nie zdołała opozycja zyskać dla swojego nowego programu zatytułowanego „Twoja Polska", który ma być realizacją hasła „Jutro może być lepsze", uzupełnionego przez dorzucone na konwencji siedem postulatów Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Samo w sobie wszystko to mocno skomplikowane, ale ta klęska ma głębsze dno.

Jeśli chcemy bowiem szukać w tej kampanii jakiegoś momentu przełomowego, punktu zwrotnego czy – mówiąc językiem komentatorów – „gejmczendżera", to było nim publiczne i bezdyskusyjne ujawnienie nieznajomości „sześciopaku" Schetyny przez czołowych kandydatów PO-KO (Poncyljusz, Kowal, Zimoch), a na końcu przez samego Schetynę.

Politycy PO-KO zrobili coś w demokracji niewybaczalnego – potwierdzili w oczach wyborców, że nie traktują ich poważnie. Nie, że się mylą – to się zdarza. Nie, że nie potrafią wyartykułować swoich postulatów i często je zmieniają – zmienność jest stałą cechą większości polityków. I nawet nie, że nie potrafią – wyborcy i to umieją wybaczyć. Pokazali, że sami nie biorą na serio tych wszystkich swoich programów, debat o Polsce, spotkań z ludźmi.

Siła tego samobója jest tym większa, że nakłada się na doświadczenie Polaków z lat 2007–2015, kiedy praktyka rządów nie miała nic wspólnego z programem (realizowano wyprzedaż majątku narodowego i zwijano państwo polskie), a wewnętrzne myślenie obozu PO-PSL było skrajnie cyniczne, nawet jak na standardy kraju postkomunistycznego (co usłyszeliśmy na taśmach prawdy). Na dodatek na drugim biegunie mamy Prawo i Sprawiedliwość z wręcz maniakalną dbałością o realizację tego, co obiecano.

Ta sześciopakowa katastrofa niesłusznie nie została odpowiednio zauważona przez komentatorów. Jej waga jest trudna do przecenienia. Długo będzie się ciągnęła za opozycją spod znaku PO-KO. Środowiska te utraciły, i to nie tylko krótkoterminowo, najcenniejszą w życiu publicznym wartość – powagę. Relacja ich słowa do spodziewanego przez ludzi efektu jest zatem w finale kampanii wyborczej bliska zera. Obóz Schetyny wytraca także zdolność skupiania uwagi Polaków na swoich słowach. Co mają zabetonowane totalnością czterech lat, pewnie utrzymają, ale szanse na ofensywę i przejęcie (zmobilizowanie) wahających się bardzo zmalały.

Michał Karnowski



Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

SIECI spis treści



34 *Z prof. Aleksandrem Nalaskowskim rozmawia Dorota Łosiewicz*



80 Sowiety wkroczyły *Artur Jagnieża*



92 Ostatni szturm na brexit *Aleksandra Rybińska*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KRÓLOWA ŚMIECHU**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **PARTIE WSTYDU**
Jan Pietrzak

15 **PO I REPARACJE**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **SPOSÓB NA ZATORY W SĄDACH**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **TEMATY WSTYDU OPOZYCJI**
Jakub Augustyn Maciejewski

KRAJ

26 **ZUCHWALCY I ASEKURANCI**
Jan Rokita

30 **OPERACJA KIDAWA-BŁOŃSKA**
Stanisław Janecki

34 **Z PROF. ALEKSANDREM NALASKOWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

38 **WYWRACANIE RODZINY**
Konrad Kołodziejski

41 **Z MARCINEM HORAŁĄ**
rozmawia Edyta Hołdyńska

44 **Z PIOTREM WOŹNYM**
rozmawia Marcin Fijołek

47 **TABLOID NA SREBRNYM EKRANIE**
Aleksandra Jakubowska

50 **Z ARKADIUSZEM GOŁĘBIEWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

56 **WOJOWNICY MARYI**
Jaromir Kwiatkowski

SIECI KULTURY

60 **IDĄ LEGIONY**
Maciej Pawlicki

64 **TO JEST ICH CZAS**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **Z PIOTREM KRZEMIŃSKIM**
rozmawia Marcin Wikło

67 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

68 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

70 **POLECA**
Łukasz Adamski

IMPRESJE

72 **TAM, GDZIE ZAWSZE SŁYCHAĆ SZUM TRAW**
Krzysztof Logan Tomaszewski

OPINIE

74 **PO PIERWSZE, DEMOGRAFIA**
Marek Budzisz

78 **Ć JAK ĆWICZENIE NA WYOBRAŹNIĘ**
Hanna Karp

HISTORIA

80 **SOWIETY WKROCZYŁY**
Artur Jagnieża

84 **PILNUJEMY PRAWDY**
Lidia Dudkiewicz

88 **BRYGADA POD OSTRZAŁEM MEDIÓW**
Arkadiusz Cisek

ŚWIAT

92 **OSTATNI SZTURM NA BREXIT**
Aleksandra Rybińska

SPORT

102 **KADRA, CZYLI JAKOŚ TO BĘDZIE**
Cezary Kowalski

PODRÓŻE

104 **MOJE SZLAKI: MARCIN PERCHUĆ**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

106 **PROGRAM OPOZYCJI**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **UNIWERSYTET DOSTOJNY**
Aleksander Nalaskowski

109 **POGROM JAK PAŁKA**
Wiktor Świetlik

110 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **ZAWIODŁY CZUJNIKI UCZCIWOŚCI**
Ryszard Makowski

113 **APOSTROFA LUBELSKA**
Leszek Długosz

114 **NIEPOCZYTALNA WOLA ŻYCIA**
Katarzyna Zybertowicz

75/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88

samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.

eprasa.pl a665b7dce2



Sygnalista nadaje

Projekt „Kidawa-Błońska" jeszcze na dobre nie ruszył, ale już widać, że nie będzie to strzał Platformy w dziesiątkę. Nikt nie powiedział „wow", publiczność nawet na chwilę nie spojrzała na nową propozycję z prawdziwym zaciekawieniem. Nawet pochwały ze strony mediów opozycyjnych rażą sztampą i brakiem szczerego entuzjazmu. Oni też wiedzą, że nie będzie drugiej Beaty Szydło, za to może być druga Ewa Kopacz.

Pozostaje granie ładną tradycją rodzinną. „Trudno znaleźć na polskiej scenie politycznej osobę o równie wyśmienitym rodowodzie: ***Małgorzata Kidawa-Błońska***, z domu Grabska, to bowiem prawnuczka prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i Władysława Grabskiego, dwukrotnego premiera oraz twórcy reformy walutowej i złotego" – zachwyca się „Polityka", jak to ujęła, „prawnuczką". Niestety od dość dawna wiemy, że tradycja rodzinna w rzeczywistości III RP sama z siebie niewiele znaczy. I najważniejsze: czyli jednak jest ważne, kim byli i co robili pradziadowie i dziadowie?

Podczas konwencji KO Kidawa-Błońska w szczególny sposób odwdzięczyła się Schetynie za wysunięcie jej na pierwszy plan. „Grzegorzu, od mojej wtorkowej nominacji wiele osób prosiło mnie, by ci podziękować, że dobrze zrobiłeś, podjąłeś dobrą decyzję" – mówiła, zdając się sugerować, że lider PO sobie po prostu nie radził. W PiS to byłoby jednak nie do pomyślenia, tam każdy nominat „na dzień dobry" zapewnia o swojej wdzięczności i uznaniu dla lidera. Ale w PiS przywódcę naprawdę szanują, bo wiedzą, o ile przerasta całą resztę.

Bitwa o nowe muzeum na Westerplatte już za nami, ale warto przytoczyć istotną ciekawostkę, która rzuca światło na całą sprawę. Otóż okazuje się, że wpływowe trójmiejskie kręgi polityczno-biznesowe planowały przeznaczenie części półwyspu na luksusową marinę oraz, rzecz jasna, kilka apartamentowców. Gdańsk i Sopot, ta nasza polska Sycylia, stają się powoli własną karykaturą.

Kidawę-Błońską zapytano też, czy popiera starania o reparacje wojenne za II wojnę światową. „Są umowy, które podpisywaliśmy i powinniśmy ich przestrzegać. Nie będziemy się domagać tych pieniędzy" – odpowiedziała tak twardo, jak to tylko możliwe. Czyż to nie dziwne, walcząca o życie w tej jednej sprawie nawet nie mruga do Polaków, choć zabiegi o odszkodowania popiera ponad połowa społeczeństwa (58 proc. według Pollster, 68 proc. według Social Changes). W przypadku PO nawet manewry kampanijne mają swoje zewnętrzne ograniczenia.

Kandydatka PO na premiera stale powtarza też, że martwią ją podziały polityczne wśród Polaków. „Podziały w Polsce są tak wielkie, że za kilka lat nikt nie usiądzie z sobą przy stole wigilijnym. To ostatni moment, aby to zatrzymać" – ogłosiła, nie dodając, że jeszcze do wczoraj kreowanie histerii, sianie paniki moralnej i przemysł pogardy były głównymi narzędziami, za pomocą których opozycja chciała dojść do władzy. Ale Kidawa-Błońska niepotrzebnie się martwi: drugie zwycięstwo PiS zakończy „wojnę polsko-polską". To będzie naprawdę nowa rzeczywistość.

Gdy Kidawa-Błońska ruszyła w teren, wyszło na jaw, że i ona nie przyciąga tłumów. Sztabowcy znaleźli na to sposób: w Radomiu kandydatkę PO wprowadzono na salę, gdzie seniorzy odbierali darmowe czujniki dymu, oczywiście nie uprzedzając zgromadzonych. Tę niesamowitą scenę nagrał jako jedyny reporter telewizji wPolsce.pl Maciej Zemła. „Ja przyszłam tutaj po czujnik dla niepełnosprawnej mamy. Nie przypusz-

eprasa.pl a665b7dce2

czałam! Po co pierwsza zabiera głos!” – słusznie oburzała się jedna z uczestniczek spotkania. Ale dobrze, że stało się, jak się stało. Jest już jasne, dlaczego KO postawiła na „skromną” kampanię. Innej robić nie może – nie z braku pieniędzy, ale publiczności. Sam aktyw to jednak za mało.

Walka o Polskę będzie trwała do końca. ***Marek Jakubiak***, do niedawna jeden z liderów Konfederacji, później skutecznie z niej wypchnięty, nie ma wątpliwości, że narodowcy mogą stworzyć rząd z Platformą. „Z tego, co wiem, tutaj zbytnich dyskusji nie ma, wszystko jest antypis” – mówił w rozmowie z Krzysztofem Ziemcem, dodając: „Jest w stanie, naprawdę. Dla interesów się wszystko zrobi”. Nas dziwi zdziwienie świata: to przecież oczywiste. Jeśli Konfederacja chce odegrać kiedyś dużą rolę polityczną, a chce, to będzie grała na klęskę PiS. Nawet za cenę oddania władzy lewicy na długie lata.



Swoje intencje narodowcy odsłonili jednak zbyt wcześnie. Do niedawna duża część wyborców PiS traktowała ich jako młodszego brata wielkiej patriotycznej formacji, czasem radykalniejszego, może trochę szalonego, ale w sumie potrzebnego; ludzie nie rozumieli, że są to siły konkurencyjne. Po tym, gdy endecy rzucili się obozowi rządowemu do gardła, ich wyborcy musieli jednak wybrać i większość wybrała ***Kaczyńskiego***. To był duży błąd polityczny endeków, już nie do naprawienia.



W internecie można znaleźć pytanie, które jednemu z liderów Konfederacji, Grzegorzowi Braunowi, postawił dziennikarz związany z tzw. mediami narodowymi Tomasz Gryguć. Brzmi ono tak: „Powiedziałeś nam, żebyśmy obserwowali uważnie obszar Wisły, [patrząc] gdzie będzie wielkie kopanie bunkra. Miałeś na myśli to, gdzie państwo położone w Palestynie będzie chciało przenieść swoje główne zasoby strategiczne, czyli broń jądrową, i gdzie powstanie wielkie, duże centrum operacyjne. To działo się trzy lata temu. Wróciłem do ciebie z tematem, że najprawdopodobniej może to być Centralny Port”. Braun doprecyzowuje: chodzi o „alternatywny centralny bunkier dowodzenia”. Tak, niech idą do Platformy.



Wątki światopoglądowe w tej kampanii nie dominują, ale są widoczne. Gdy prezes PiS ogłosił, że rodzina to „jedna kobieta, jeden mężczyzna w stałym związku i ich dzieci”, spadła na niego lawina. Nie pomogły tłumaczenia, że taka definicja nie oznacza braku szacunku dla indywidualnych losów, ale jest odwołaniem się do tego, co – jak mówi Kaczyński – „legło u podstaw tej cywilizacji, która stworzyła świat współczesny”. Ale dobrze, że te słowa padły. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Gdy zaczniemy się bać, przegramy.

W pierwszej linii ataku stanęła, już tradycyjnie, prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz. „Panie Prezesie, za nami cudny rodzinny weekend z córką. Wiele inspirujących spotkań z ludźmi, wizyt w muzeach, a także rozmów o Pańskim wczorajszym wystąpieniu. Chcemy Pana serdecznie pozdrowić – moja córka i ja, zupełnie normalna polska rodzina” – stwierdziła. Różnie układają się ludzkie losy, tu trzeba dużej pokory, ale z własnych zakrętów, choćby niezawinionych, nie powinno się czynić normy.

Dulkiewicz udzieliła też dość zaskakującego wywiadu „Wyborczej”, w którym stwierdza: „[Kto jest ojcem mojego dziecka] Wiem ja, wie moja córka, ojciec też wie. Decyzję, że pozostanie anonimowy, podjęliśmy wspólnie, mamy do tego prawo”. Na pytanie, czy córka ma kontakt z ojcem, odpowiada: „Chciałabym, by szczegóły życia naszej rodziny pozostały za drzwiami domu, tam gdzie ich miejsce”. Skoro padają intymne pytania, to znaczy, że pani Dulkiewicz naprawdę uwierzyła, że może zagrać w krajowej polityce. Kolejna dobra wiadomość dla PiS.

Prof. Aleksander Nalaskowski został zawieszony na trzy miesiące przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika za felieton w tygodniku „Sieci”, w którym napisał rzecz oczywistą: ideologia LGBT jest gwałtem na naszym świecie, gwałtem na normalności. W obronie naukowca stanęło wielu komentatorów, publicystów, profesorów. Niestety, do chwili oddania tego numeru do druku nie wypowiedział się minister szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin. Tak wygląda ta nasza polska „wyspa wolności” w akademickiej praktyce. Jeśli nic się nie zmieni, finał będzie smutny.

A „Tygodnik Powszechny” bije kolejne rekordy nielojalności wobec polskiego Kościoła. Teraz Szymon Hołownia wzywa do „strajku konsumenckiego”: „Niech jak najszybciej opustoszeją te kościoły, w których Pan Jezus jest członkiem PiS-u, w których szczuje się heteroseksualistów na gejów. Niech jednak frekwencyjnego (i finansowego) wiatru w żagle dostaną te wspólnoty, w których głosi się nadzieję, nie strach, nie butę, nie jakieś wizje świata wzięte prosto z Marsa”. To chyba „TP” jest z Marsa: nie ma kraju, w którym lewackie kościoły byłyby pełne. Poza tym, jak można tak niewiele rozumieć z tego, co wokół nas?

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl a665b7dce2

Królowa śmiechu

K. Idawa-Błońska: Żebym się tylko nie pomyliła, cha, cha, cha... Halo, czy ja mam się teraz śmiać czy uśmiechać? Aha, dobra. To jeszcze raz. Żebym się tylko nie pomyliła, chi, chi.... Teraz tak: lewy prompter, kartka, prawy prompter, kartka... I co? I Czajka! Odwrotnie. Prawy, potem lewy, kartka na końcu... Kochani, która ręka jest prawa? Jak staję przed lustrem, to ta, którą nie piszę? Ależ ja jestem zdenerwowana, tylko tego brakuje, żeby mi się prawica z lewicą pomyliła... Bo to jest wszystko na ostatnią chwilę! Właśnie, gdzie jest program?! Za szybko? To co – mam samogłoski przeciągać? Heloł, miziu-miziu, a gdzież to zapodział się nasz sześciopaczek? Widzę, że delegacja z Gdańska ma „krówkę", ale nie o taki sześciopak chodziło, kochanieńka. Aha, macie tam trochę coli w zatoce, to sobie zlejcie po powrocie. Więc nasz obecny sześciopak, mój autorski, to jest sześć punktów w jednym: uśmiech, uśmiech i jeszcze cztery razy uśmiech, wracamy do polityki miłości. I u-śmiech-a-my się. Do siebie i do nich. Tak, tak, aż do ciszy wyborczej. Dajmy czadu, kochani. O, właśnie, może ktoś chce taki czujnik, bo mi zostały z prezentacji? Ludzie nie brali, bo myśleli, że kradzione. Nikt? No, dobra, to teraz zapraszam na scenę następujące osoby: Zimoch Tomasz, i uśmiechamy się, panie Tomku, ja przecież nie gryzę, Kluzik-Rostkowska Joanna, a uśmiech gdzie, pani Joasiu? Pan Cyljusz, przepraszam, jeśli przekręciłam nazwisko, Poncyljusz, oczywiście, Paweł, proszę na scenę. Święcicki Marcin, tak, tak, chodźcie do nas, towarzyszu... No, więc chciałam powiedzieć, że jeśli jakimś cudem przegramy te wybory, to właśnie przez takich członków. Przez takie jedynki i inne numerki. Ci państwo nie byli uprzejmi nauczyć się na pamięć sześciu jednowyrazowych punktów z naszego sześciopaku, który miał być odpowiedzią na pisowskie rozdawnictwo i zapaść w stosunkach polsko-niemieckich! Pan Święcicki nie przyswoił nawet jednozdaniowego hasła, że „Jutro może być lepiej"...



KRZYSZTOF FEUSETTE

Ś. Więcicki: Lepsze.

K. Idawa: Chwileczkę, ale nie udzieliłam panu głosu. Pan już miał swoje pięć minut i Kuźmiuk panu musiał nasze hasło przypominać: „Jutro musi być lepsze".

Ś. Więcicki: Może.

K. Idawa: Nie może, ale na pewno. Więcej wiary, Święcicki. Tak właśnie brzmi nasze hasło. A ciekawa jestem, czy panu i innym naszym geniuszom mówi coś pojęcie „reprezentacja jutra".

S. Chetyna: Drużyna.

K. Idawa: Tobie, Grzegorz, też nie udzieliłam głosu. Tylko dlatego nie stoisz na tej scenie, że się wycofałeś. Ale żeby własnego programu nie pamiętać?

P. Oncyljusz: Może to i lepiej.

K. Idawa: Jak to lepiej?

Z. Imoch: No, bo jak mówić, że w szóstym punkcie była ekologia i „czysta woda", a w tym czasie stołeczne stolce...

S. Chetyna: Wystarczy. Wiemy, co pan chce powiedzieć. To są przypadki losowe. Panu się nigdy nie przydarzył niekontrolowany zrzut?

Z. Imoch: Tylko, jak pan zadzwonił z tą jedynką...

K. Idawa: Apeluję o wyciszenie emocji. Mieliśmy się uśmiechać, a wy sobie skaczecie do gardeł. Słyszeliście, co Zieloni powiedzieli: że Wisła sama się oczyści, zresztą już aresztowali prezeskę, więc jest po sprawie. Proponuję się skupić na programie. Czyli tak: darmowy internat dla młodzieży...

S. Chetyna: Tam jest napisane „internet"...

K. Idawa: A, bo bazgrzesz jak Komorowski. O, i znowu się nie uśmiechasz. Jak chcesz odnowić polską politykę, jak ty masz ciągle „szarańczę" na ustach? Więc darmowy internet. A co z punktem, że wprowadzimy w służbie zdrowia terminy maksymalnie 21-dniowe?

K. Luzik-Rostkowska: Czytałam, że to jest nierealne.

K. Idawa: Ale ja nie pytam, czy to jest realne, tylko czy zostawiamy to w programie. Zresztą, i tak trzeba będzie go tworzyć na bieżąco, w zależności od sondaży. Natomiast bardzo proszę, żeby pan Budka – do ciebie mówię, Borysław – przestał paradować na wywiady w krótkich spodenkach. Może jeszcze w kąpielówkach? Wstyd. Kolejna sprawa: kto wciągnął na listy tę czarownicę, co pisała, że pisowcy mają „ordynarne ryje"?

S. Chetyna: Na pewno nie ja.

K. Idawa: Niby taka pisarka, a dwóch tysięcy podpisów zebrać nie umie? Trzeba było poprosić Żakowskiego, to by jej ze cztery załatwił. Ale najważniejsze – niech jej ktoś przekaże, że myślimy o niej cieplutko i o niej pamiętamy. Bo jak to swoje szambo na nas zacznie wylewać, to się do prezydenckich nie oczyścimy. Patrzcie na Rafała, jaki smutny w tym kasku. No, cóż, trudno marzyć o premierostwie, gdy się stoi po kostki w „Gazecie Wyborczej". Co się stało, Grzegorz? Ty płaczesz?! A, jak ze śmiechu, to w porządku...

13/0419/F

eprasa.pl a665b7dce2

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl a665b7dce2

Greenpeace protestuje. Ale nie w sprawie Wisły

Gdy fala nieczystości wyciekających do Wisły z uszkodzonego kolektora ściekowego w Warszawie dotarła już do Bałtyku, aktywiści organizacji ekologicznej Greenpeace rozpoczęli akcję protestacyjną. Jednak protestujących w gdańskim porcie ekologów wcale nie interesowały trujące ścieki. Ich celem było zablokowanie dostaw węgla do polskich elektrowni. Pierwszego dnia protestu działacze Greenpeace namalowali farbą wielki napis na burcie statku przewożącego węgiel. Jednocześnie – jak czytamy w komunikacie Greenpeace – „żaglowiec Rainbow Warrior wpłynął do portu i rzucił kotwicę przy terminalu węglowym, wstrzymując import węgla do Polski. Później grupa aktywistek i aktywistów wspięła się na dźwigi przeładunkowe w porcie węglowym i zablokowała wyładunek transportu węgla". Policja zatrzymała 28 osób. Straty szacowane są wstępnie na ok. 0,5 mln zł.

Trudno przypomnieć sobie podobną akcję Greenpeace w niemieckich portach, choć Niemcy zużywają w energetyce więcej węgla od Polski. Nie słychać też o jakichkolwiek protestach tej organizacji w sprawie budowy gazociągu Nord Stream 2. Zapewne tylko przypadek sprawił, że aktywność ekologów, którzy tak dzielnie walczą z polską energetyką węglową, współgra z interesami gospodarczymi ościennych państw.

A co z zatrutą Wisłą? Nic. Aktywiści zapewniają, że rzeka da sobie radę bez ich pomocy. I zapewne mają rację. To jasne, że Wisła obejdzie się bez Greenpeace. Jednak warto sobie zadać pytanie, komu w takim razie potrzebny jest Greenpeace? Bo z pewnością nie środowisku naturalnemu.

Konrad Kołodziejski, fot. Greenpeace


POLSKA
BEZ WĘGLA
2030
GREENPEACE
140
135



Wszyscy czują się zwycięzcami

Wybory, w których są sami zwycięzcy. Tak w skrócie można byłoby podsumować ubiegłotygodniowe wybory różnych szczebli w Rosji, które są, zdaniem obserwatorów, najważniejsze przed planowanymi na 2021 r. wyborami do Dumy Państwowej.

Obóz władzy jest zadowolony. Zarówno Aleksandr Turczak, sekretarz generalny Jednej Rosji, partii władzy, jak i Dmitrij Miedwiediew oświadczyli, że osiągnięte przez ich formację wyniki są lepsze, niż oczekiwali, argumentując, że wszystkich 16 kandydatów na stanowiska gubernatorów zostało wybranych już w pierwszej turze. W porównaniu z podobnym głosowaniem w roku ubiegłym, kiedy w kilku analogicznych głosowaniach kandydaci władzy przegrali z konkurentami, teraz ich wynik wydaje się lepszy. Jednak obserwatorzy dowodzą, że sukces był możliwy, bo niektórzy kandydowali jako niezależni, starannie skrywając swoje związki z Jedną Rosją, a poza tym w bezprecedensowy sposób uniemożliwiono start w wyborach wszystkim potencjalnie groźnym rywalom obozu władzy. Niezależni socjologowie zdążyli już policzyć, że gdyby porównać wyniki Jednej Rosji z roku 2014 i obecny, to partia władzy straciła niemal 16 proc. poparcia. Choć znów zwolennicy rosyjskiej władzy podkreśliliby, że i tak zdobyła ponad 50 proc. głosów, podczas gdy niemal wszystkie tegoroczne sondaże dawały jej co najwyżej 38 proc.

Opozycja również mówi o sukcesie, choć jej przedstawiciele nie zostali dopuszczeni do startu. Przede wszystkim cieszy się, że udało jej się przełamać monopol informacyjny władzy. Kandydaci, których poparł Aleksiej Nawalny w Moskwie wzywający do „rozumnego głosowania" (chodziło o to, aby oddać głos na każdego kandydata mogącego wygrać z władzą), zdobyli w Moskwie 20 na 45 miejsc w lokalnej Dumie, czyli znacznie więcej, niż planowała „oddać" władza. Ta ostatnia poniosła też dwie prestiżowe porażki – do moskiewskiego parlamentu nie dostał się szef moskiewskich struktur Jednej Rosji oraz popierana przez mera Sobianina prorektor jednej z wyższych uczelni. Ale znów, wskutek akcji Nawalnego weszło aż 13 komunistów i 3 przedstawicieli Sprawiedliwej Rosji, partii, które trudno posądzać o opozycyjność. Jedynie dla czwórki deputowanych liberalnego Jabłoka powrót do moskiewskiej Dumy może być początkiem wzrostu znaczenia, choć lider tej formacji krytykował strategię Nawalnego. Zadowoleni są też przedstawiciele tzw. opozycji systemowej – komuniści z dobrego wyniku w Moskwie i w Sewastopolu (duża strata Jednej Rosji), zaś formacja Żyrinowskiego z rekordowego poparcia w Kraju Chabarowskim, gdzie wygrali niemal wszystko – mandat w wyborach uzupełniających do Dumy Państwowej i samodzielną większość w lokalnym parlamencie. Ale tam mają swojego gubernatora, który w ubiegłym roku dość niespodziewanie wygrał wybory i doprowadził do sytuacji, w której Jedna Rosja, mająca dotychczas 30 posłów (na 36), teraz będzie miała tylko dwóch. Ten wynik pokazuje, że w Rosji wygrywa wybory ten, kto kontroluje administrację.

Marek Budzisz



Dymisja „jastrzębia"

Prezydent Donald Trump na początku zeszłego tygodnia zdymisjonował swojego doradcę ds. bezpieczeństwa Johna Boltona. Dymisja była nieoczekiwana i wzbudziła wiele spekulacji, zwłaszcza że jeszcze niedawno – podczas obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej – Bolton brał w Warszawie udział we wspólnym spotkaniu przedstawicieli Polski, Białorusi i Ukrainy, które zostało dość zgodnie uznane za próbę osłabienia rosyjskich wpływów w naszym regionie. Bolton, który swoją karierę zaczynał w administracji Ronalda Reagana, był bowiem jednym z największych zwolenników polityki powstrzymywania Kremla. Z tego powodu uchodził nawet za największego „jastrzębia" w ekipie Trumpa.

Oficjalnie Trump wyjaśnił, że przyczyną odwołania Boltona były liczne spory co do kształtu amerykańskiej polityki bezpieczeństwa. Również sekretarz stanu Mike Pompeo ujawnił, że w wielu sprawach nie zgadzał się z Boltonem. Bezpośrednim powodem dymisji miał być – według opinii komentatorów – opór Boltona w sprawie Iranu. Bolton opowiadał się za dalszym zwiększaniem presji na Teheran, tak aby doprowadzić do obalenia rządów ajatollahów. Chciał też utrzymania amerykańskiej obecności militarnej w Syrii oraz sprzeciwiał się podejmowanym przez Trumpa negocjacjom z afgańskimi talibami oraz z północnokoreańskim dyktatorem Kim Dzong Unem. Uchodził także za zwolennika twardej postawy wobec Rosji oraz zwiększenia zaangażowania na wschodniej flance NATO. Później Donald Trump ujawnił, że poróżniła go z Boltonem strategia wobec Wenezueli.

Donald Trump oraz Mike Pompeo zapewnili wprawdzie, że po odejściu Boltona polityka Stanów Zjednoczonych się nie zmieni, jednak do tych zapewnień należy podchodzić z ostrożnością. Ciągłe rotacje personalne w Białym Domu – Bolton był już trzecim od 2017 r. doradcą prezydenta ds. bezpieczeństwa – dowodzą bowiem, że Trump nie przywiązuje się zanadto ani do ludzi, ani do politycznych strategii.

Konrad Kołodziejski

Fot. Christopher Halloran/Shutterstock.com

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. shutterstock

Wielka Brytania

Szkoła bez spódnic

Na początku tego roku jedna ze szkół w Birmingham musiała się wycofać z programu edukacji seksualnej. Powód? Zaprotestowali rodzice muzułmańskich dzieci. Po tym jak 400 osób zagroziło, że zabierze swoje pociechy z „deprawującej" je szkoły, dyrekcja się złamała i odrzuciła program o uroczej nazwie: „Zwalczanie homofobii w szkole podstawowej".

Teraz protestuje 150 osób ze szkoły podstawowej w Lewes w East Sussex. Tym razem bez względu na wyznawaną religię. Rodzice wraz z uczniami sprzeciwili się wprowadzanym tam „genderowo neutralnym" mundurkom. Rodziców oburzył wymóg obowiązkowych spodni dla dziewczynek i zakaz podkreślania przez uczniów własnej płci. Dyrekcja szkoły wyjaśnia, że długość spódniczek dla uczennic źle wpływa na samopoczucie dzieci (sic!) transgenderowych. Protestujący postulują z kolei, żeby przynajmniej dać dziewczętom prawo wyboru, czy chcą nosić sukienki, czy też nie. Prawo wyboru i lewicowa rewolucja obyczajowa? Historia pokazuje, że zwykle to nie idzie w parze. Chyba że chodzi o aborcję.

Poparcie dla protestujących wyraził na Twitterze liberalny gwiazdor brytyjskiej TV (i przy okazji dobry znajomy Trumpa) Piers Morgan. Dziennikarz napisał, że mamy do czynienia z genderowym szaleństwem. Jego zdaniem chłopcy powinni pozostać chłopcami, a dziewczynki dziewczynkami. Część uczniów atakuje pomysł zakazu noszenia ubrań „genderowo nieneutralnych" z pozycji lewicowych (przepraszam za to kretyńskie słownictwo, ale tylko ono opisuje szaleństwa radykałów). Jedna z uczennic wyznała bowiem, że pozbywając się swoich dotychczasowych ubrań (w domyśle spódnic), zwiększy ilość odpadów i spowoduje jeszcze większe ocieplenie klimatu.

Zarówno sprzeciw rodziców w Birmingham, jak i tych z Lewes pokazuje, że Brytyjczycy, którzy są zupełnie złamani przez narzucone im politpoprawne normy, powoli zaczynają się wyrywać z mentalnej niewoli. Do tej pory cierpiące na syndrom sztokholmski społeczeństwa zachodniej Europy poświęcały na ołtarzu z agresywną rewolucją kulturową własny los. Jednak gdy to samo muszą zrobić z losem swoich dzieci, powoli odzywa się w nich instynkt rodzicielski. Otwarte pozostaje pytanie, czy będzie to stały trend, czy jednak rewolucjoniści wytoczą kolejne działa w „zacofane" społeczeństwo.

Łukasz Adamski

Cień dawnej potęgi

Niemcy

Lotnisko Ahlhorn w Dolnej Saksonii przypomina ogromny parking. Na pasach startowych stoją tysiące mercedesów. Koncern Daimlera tłumaczy, że to „rutynowy etap cyklu sprzedaży". Niemieckie media przypuszczają jednak, że samochody mają usterki i dlatego trafiły na nieczynne lotnisko.

Jak twierdzi publicysta Stefan Aust, z Niemcami jest dziś trochę tak jak z tymi mercedesami. „Niekończące się budowy, zmurszałe mosty, opóźnione pociągi, brak internetu, nieudane przejście na zieloną energię" – pisze na łamach dziennika „Die Welt". „Nic nie działa, na lądzie, w wodzie ani w powietrzu" – twierdzi Aust i wylicza liczne usterki rządowych samolotów, z których powodu m.in. kanclerz Angela Merkel spóźniła się w zeszłym roku na szczyt G20 w Buenos Aires, a szef MSZ Heiko Maas utknął w lutym w Mali. Także minister ds. rozwoju Gerd Müller przeżył chwile grozy w Afryce. Najpierw jego samolot się zepsuł, a po naprawie z kokpitu wydobywał się dym. Minister przesiadł się do samolotu liniowego. Samoloty rządowe się psują – podkreśla Aust – bo są przestarzałe i źle serwisowane.

Nie tylko z samolotami Niemcy mają problemy. Także z lotniskami. Lotnisko Berlin-Brandenburg jest budowane od 2006 r. i końca budowy nie widać. „Partactwo, złe planowanie, błędy, usterki" – pisze Aust. Budowa miała kosztować kilkaset milionów, tymczasem w 2015 r. kwota ta



Fot. andreyspb21/Shutterstock.com

Lotnisko Berlin-Brandenburg, stan na rok 2013

rozrosła się do 6 mld euro. To partactwo ujawniło się także przy okazji innych „wielkich projektów", jak choćby budynku filharmonii w Hamburgu czy dworca w Stuttgarcie. Pociągi – przekonuje Aust – i tak są ciągle spóźnione, co najmniej jeden na cztery. Na wi-fi w wagonach też nie ma co liczyć, bo sieć jest za słaba. A ekologia? To pic na wodę – odpowiada Aust. Rząd testuje możliwość zainstalowania sieci trakcyjnych dla ciężarówek, choć nie ma takich, które jeździłyby na prąd. „Fantazja coraz bardziej bierze górę nad rzeczywistością" – uważa publicysta. Niemcy mają m.in. 28 tys. wiatraków, które wytwarzają zaledwie 3 proc. zużywanego prądu. I tylko wtedy, gdy wieje wiatr.

„W niewiele lepszym stanie jest dziś Bundeswehra" – przekonuje Aust. Budżet obronny został zredukowany w latach 2012–2015 o 3,32 proc. W konsekwencji na początku 2019 r. wiele czołgów i samolotów bojowych nie nadawało się do użytku, a u-booty grzęzły na mieliznach. Brakuje noktowizorów, hełmów, butów. A szkoły? Stały się polem bitwy, na którym tysiące nauczycieli walczy o integrację pół miliona dzieci imigrantów przybyłych do Niemiec od 2013 r. W dużej mierze bezskutecznie. „Ci uczniowie, którzy nie nadążą za nauką, w przyszłości zasilą równoległe społeczeństwa" – przewiduje ponuro Aust.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl a665b7dce2

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Partie wstydu



Jan Pietrzak

Krążą po drogach „cysterny wstydu", wkurzając wyborców opozycji, ku uciesze normalnych Polaków. Rozróżnienie wyborców normalnych od opozycyjnych jest kluczem do zrozumienia sytuacji. Czy normalny człowiek popierałby władzę, która go bezczelnie okradła?

A tak się ciekawie składa, że poprzednia władza, PO i PSL, która nie lubiła kontrolować złodziejskich cystern, nie dostrzegała luki VAT-owskiej, nie chciała wiedzieć, co to jest Amber Gold, nie przeszkadzał jej rabunek warszawskich kamienic, wszystkich nas, Szanowni Rodacy, na wiele miliardów okradła. Obecnie koniecznie chce wrócić do rządowych gabinetów, póki jeszcze funkcjonują w sądach zblatowani koledzy. To jest chyba oczywiste dla normalnego człowieka.

W tej sytuacji nieustanne zadawanie im pytań o program jest śmiechu warte. Nawet sam szef, który ostatnio próbuje się ukryć za kobietą Kidawą, nie jest w stanie przypomnieć swego programowego „sześciopaku". Bo żaden sześciopak nie ma dla nich najmniejszego znaczenia. Swój program przećwiczyli w praktyce przez dwie poprzednie kadencje. Empiria jest jedynym sprawdzianem rzetelności obietnic – ten czas kiedy od słów przechodzi się do czynów.

Rządy Tuska i Kopacz swoimi czynami w latach 2007–2015 pokazały dokładnie i bezspornie, na co je stać. Przyświecało im motto „ch... d... i kamieni kupa". Narobili Polsce tyle szkody, tyle biedy i wstydu, że normalni ludzie raczej o tym nie zapomną. Popierać tamto towarzystwo w nadchodzących wyborach mogą jedynie głupcy albo wspólnicy, czyli osobnicy ex definitione zdegenerowani. Kto wie, czy poza cysternami nie należałoby naznaczyć specjalnym znacznikiem takich obiektów, jak: kamienice wstydu, oddawane za łapówki fałszywym reprywatyzatorom. Kolektory wstydu, trujące Wisłę fekaliami. Teatry wstydu, przedstawiające tandetne badziewie jako sztukę. Pucze wstydu, kompromitujące parlament jako ostoję demokracji. Rektora wstydu z UMK, który ukarał prof. Nalaskowskiego za felieton w naszym tygodniku. Jakim prawem rektor ocenia felietony, które pisane są dla inteligentów? Nad tymi wszystkimi tematami pieczę sprawują „partie wstydu". Robienie Polsce wstydu to ich prawdziwa specjalność, ich program wyborczy.

Pomysł na siebie

Z Kamilem Bednarkiem, piosenkarzem, jurorem „The Voice of Poland", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dziesięć lat na scenie i dziesiąta edycja programu „The Voice of Poland". Ciekawa zbieżność?

Kamil Bednarek: Mam nadzieję, że dyszka będzie szczęśliwa. I dla mnie, i dla uczestników programu, bo to jest chyba najbardziej oblegana edycja. Ponad dwa tysiące osób się zgłosiło. Sam byłem w szoku. Biorę udział w „The Voice of Poland" pierwszy raz, ale dziesięć lat na scenie to już jest coś i dobrze byłoby się tym doświadczeniem podzielić.

Jaki jest trenerski plan?

Przede wszystkim postaram się podpowiedzieć, jak w show-biznesie poradzić sobie z emocjami, z relacjami z innymi ludźmi, jak pamiętać o tym, skąd się jest. Stale to powtarzam, ale to pozwala zachować prawdę, a ludzie tego dzisiaj potrzebują; żeby mówili: „Ten człowiek jest prawdziwy, chcę go słuchać, chcę mu wierzyć".

Rozumiem, że nie wystarczy mieć supergłos, by wygrać?

Oczywiście. Nad wokalem zawsze można popracować. Były nawet takie osoby, którym niedociągnięcia się wybaczało, bo są charyzmatyczne, nie udają, nie kopiują. Są jakieś. I to jest fajne w tym programie, że mogłem takie osoby poznać.

Czy gdyby była taka możliwość dziesięć lat temu, zgłosiłby się pan do „The Voice of Poland"? I jak by panu poszło?

Tu jest taki poziom śpiewania, że nie wiem, czy bym się przebił z tym, co robiłem, ale może i wtedy chodziłoby o to, o czym już mówiliśmy: że był jakiś pomysł na siebie, jakaś prawda w oczach i ludzie za tym poszli.



Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl a665b7dce2

BRONISŁAW WILDSTEIN

PO i reparacje

Nieważne, jaką twarz wklei sobie na czołówkę partia Schetyny. Jej celem jest obrona status quo, czyli popieranie silniejszych przeciw swojemu narodowi. Sprawa reparacji dowodzi tego po raz kolejny



Małgorzata Kidawa-Błońska, kandydat na premiera PO... przepraszam KO, ogłosiła w TVN, że jej ugrupowanie nie będzie się ubiegać o reparacje za dokonane przez Niemcy w II wojnie światowej zniszczenie Polski. Sprawa jest interesująca, gdyż trudno przypuścić, że potencjalnej pani premier oświadczenie to wymknęło się przypadkiem. Nie tylko dlatego, że robi poważniejsze wrażenie niż Ewa Kopacz. Jesteśmy na finiszu kampanii wyborczej, jednocześnie obchodzimy 80. rocznicę napadu Niemiec na Polskę. PiS już od paru lat uczyniło sprawę reparacji ważnym tematem politycznym. Było co najmniej oczywiste, że Kidawa-Błońska musi zostać zapytana również o to. Wiedzieli o tym doskonale sztabowcy i piarowcy PO. Odpowiedź tę trzeba odbierać więc jako jednoznaczną deklarację ugrupowania.

Zadziwia to o tyle, że stanowi zagrożenie utraty liczącej się grupy wyborców. Jeśli przeciwnicy nagłaśniać zaczną to stanowisko, wielu niezdecydowanych Polaków może się zastanowić, czy warto głosować na ugrupowanie świadomie rezygnujące z walki o spore pieniądze, które się nam ze wszech miar należą. Sprawa nie dotyczy wyłącznie historii, to mogłyby być znaczące dla naszego kraju środki i obywatele mają tego świadomość, zwłaszcza jeśli zostanie im to w trakcie kampanii przypomniane.

Uderza to tym bardziej, że w Niemczech żądania polskie zaczynają być coraz poważniej traktowane zarówno przez opinię publiczną, jak i polityków, a wzmacniane są solidarnym wystąpieniem parlamentu Grecji, która domaga się odszkodowań, pomimo że, w przeciwieństwie do Polski, jakieś reparacje otrzymała.

Uzasadnienie postawy PO jest wątłe, żeby nie powiedzieć żadne. „Są umowy międzynarodowe, które podpisywaliśmy, do których się zobowiązywaliśmy, i te umowy powinny być przestrzegane" – oświadczyła Kidawa-Błońska. Przypuszczalnie ma ona na myśli konferencję w Poczdamie w 1945 r., w której Polska nie była reprezentowana i gdzie przyjęto, że reparacje dla naszego kraju stanowić będą 15 proc. odszkodowań dla ZSRR i to on będzie je nam przekazywał z tego, co otrzyma. Przecież nikt nie mógł mieć zastrzeżeń co do uczciwości Stalina. Osiem lat potem Bierut w ślad za Moskwą zrzekł się w imieniu naszego kraju reparacji. O tym, jak poważnie traktowano wówczas te sprawy, świadczy fakt, że PRL nie zarejestrowała w Biurze Prawnym ONZ zrzeczenia się odszkodowań od Niemiec.

Wystarczy posłuchać, co mówią postkomunistyczni politycy, którzy naturalnie stają na straży ciągłości tworu zwanego PRL z Polską. To wypowiedź Włodzimierza Cimoszewicza: „Polska oficjalnie zrzekła się reparacji wojennych. To prawda, że okoliczności tego były niejasne, że nie ma dokumentów, ale przez 60 lat wszystkie kolejne rządy PRL i III RP zachowywały się w ten sposób, że nie występowały z kolejnymi roszczeniami. Z prawnego i międzynarodowego punktu widzenia nie mamy żadnego tytułu do domagania się takich reparacji. Jeśli rząd pisowski podjął tę kwestię, oznacza to, że świadomie dąży do niezwykle poważnego konfliktu politycznego z Niemcami".

Nie ma dokumentów, sprawa jest niejasna, ale najważniejsze, aby uniknąć zadrażnienia z naszym silnym sąsiadem. Czy nie o to chodzi PO?

Kidawa-Błońska nie musiała jednoznacznie odpowiadać na to pytanie. Mogła zdeklarować, że ponieważ w przeciwieństwie do PiS jej partii chodzi o konkretne sukcesy, dlatego wstrzymuje się jeszcze z oficjalnymi oświadczeniami. Mogła zrobić wiele, żeby nie odpowiedzieć wprost. Zdecydowała się na to drugie. Zdecydowała się więc utracić ileś głosów w momencie finalnej o nie walki. W imię czego?

Pisałem już o tym, że PO nie jest bytem suwerennym i prędzej zgodzi się zaryzykować poparcie społeczne, niż zadrażnić stosunki z ośrodkami III RP i jej mediami. W opisywanym wypadku chodzi jednak chyba o układ zagraniczny, konkretnie o Niemcy. Wypowiedź Kidawy-Błońskiej można zrozumieć jako sygnał do nich, lęk o utratę protekcji ze strony „zagranicy".

Nieważne, jaką twarz wklei sobie na czołówkę partia Schetyny. Jej celem jest obrona status quo, czyli popieranie silniejszych przeciw swojemu narodowi. Sprawa reparacji dowodzi tego po raz kolejny.

PS Prof. Aleksander Nalaskowski zawieszony został w prawach pracownika uniwersytetu toruńskiego za zamieszczony w „Sieci" felieton krytyczny wobec LGBT. Można powtórzyć raz jeszcze, że ci, którzy oficjalnie walczą o tolerancję, wszelkimi siłami zamykają usta swoim przeciwnikom. Warto jednak wrócić do pytania, które zadałem w swoimi poprzednim felietonie. Czy PiS zdaje sobie sprawę, że reforma Gowina umożliwia tego typu praktyki na uniwersytecie?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a665b7dce2

OGNIEM NA WPROST

„Nestor” Czerskiej



Magnus Söderlund jest profesorem ekonomii biznesu. Prowadzi kursy z zakresu marketingu konsumenckiego i napisał kilka książek na ten temat. Dwie z nich zostały nazwane „marketingową książką roku w Szwecji”. Ostatnimi czasy profesor zajmuje się dietą przyszłości. Wszystko ma być oczywiście ekologiczne. Ponieważ zdaniem klimatycznych oszołomów za sporą część globalnego ocieplenia odpowiada rozbudowany przemysł przetwórstwa mięsnego, a także rolnictwo, Söderlund znalazł rewolucyjne rozwiązanie. Inspirował się przy tym filmem science fiction „Soylent Green” (Zielona pożywka). W fabule efekt cieplarniany powoduje podwyższenie temperatury, a produkty żywnościowe drożeją do zawrotnych cen. W odpowiedzi na ten problem firma Soylent stworzyła nowe jedzenie – „zieloną pożywkę”. Główny bohater, policjant, śledząc drogę ciała swojego przyjaciela, który poddał się eutanazji, trafia do przetwórni, która przerabia ciała zmarłych na „zieloną pożywkę”. Söderlund proponuje więc w ramach walki z globalnym ociepleniem kanibalizm. Jednocześnie przyznaje, że ludzie są „nieco konserwatywni”, jeśli chodzi o spożywanie rzeczy, do których nie są przyzwyczajeni, np. takich jak zwłoki. Smaklig måltid, czyli po naszemu: smacznego!

Islamista znany wcześniej jako Bherlin Gildo był jednym z pierwszych dżihadystów w Szwecji, którzy udali się do Syrii. Po dołączeniu do ISIS w mediach społecznościowych opublikowano zdjęcia przedstawiające go na tle zwłok pomordowanych ludzi, upokarzającego chrześcijan i depczącego ciała martwych żołnierzy syryjskich. Koleś po powrocie z krwawych wojaży został aresztowany na lotnisku Heathrow. Po kilkunastu miesiącach zwolniono go i oczyszczono z zarzutów, ponieważ służby wywiadowcze „odmówiły przekazania dowodów”, jak to ujęły brytyjskie media. Po opuszczeniu aresztu Gildo wrócił do Szwecji. Teraz domaga się od władz 200 tys. koron szwedzkich (81 tys. zł), ponieważ Agencja Ubezpieczeń Społecznych (Försäkringskassan) nie wypłacała mu przyznanych wcześniej zasiłków podczas jego zatrzymania w Wielkiej Brytanii. Szwecja, z której na wojenkę w Syrii wyjechało ok. 300 ludzi, ma chyba najbardziej liberalne ustawodawstwo dotyczące „osób powracających” – dżihadystów. Kochani Szwedzi. Po pierwsze, przeproście chłopaka i dajcie mu wreszcie tę kasę. Nie daj Boże jeszcze się zdenerwuje, detonuje jakiś ładunek i przerobi paru waszych na steki well-done (dobrze wysmażone).

Feministyczna Brygada Rewolucyjna (FeBRa) to jeszcze nie terroryści, choć z nazwy można by się tego spodziewać. Na razie ta szumnie określająca się organizacja, nawiązująca w swej nazwie do tradycji takich tworów jak Czerwone Brygady, ogranicza się do siania homopropagandy. Ponieważ najwdzięczniejszym obiektem do demoralizacji są dzieci, to w jednej ze szkół podstawowych na terenie Gdyni aktywiści FeBRy próbowali zorganizować zajęcia z edukacji seksualnej dla najmłodszych. Mentalnie cofnięte w rozwoju cywilizacyjnym do czasów kamienia łupanego osobniki wdzierają się do szkół, jak ta w Gdyni, podstępem. Okazało się, że tamtejsza aktywistka seksedukacji akurat zasiada w radzie rodziców szkoły. Wykorzystując tę „trojańską kobyłę”, nakłoniono dyrekcję do zapytania rodziców o zgodę na udział ich dzieci w zajęciach z edukacji seksualnej. Jak odpowiedzieli rodzice? W zależności od klasy i wieku dzieci, od 50 do nawet 100 proc. wszystkich rodziców (!) wyraziło zgodę. No cóż, jak się chce zamiast wnuków syna mieć tylko zięcia, to szerokiej drogi. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Ojciec Romana Giertycha – Maciej, zwany przez „Wyborczą” „nestorem narodowej prawicy”, przestrzega w liście do katolików świeckich przed głosowaniem na PiS. „To pewna droga do zniszczenia Kościoła polskiego i pewna droga do nieszczęść dla Polski” – stwierdza z mocy autorytetu. A cóż to się takiego dzieje, że kombo z Czerskiej nagle wyciąga z lamusa starego Giertycha? Odpowiedź jest prosta i składa się z dwóch członów. Pierwszy to ten, że „wali w PiS”, a drugi – jego życiorys („GW” uznaje takie drogi życiowe za najwłaściwsze i stawia je swoim czytelnikom oraz wyznawcom w jednym za wzór). Otóż ten „nestor narodowej prawicy” poparł w 1981 r. wprowadzenie stanu wojennego. Rozsyłał listy nakłaniające do poparcia decyzji gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Ponawiał je wielokrotnie aż do 1989 r. W latach 1986–1989 został członkiem Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Wojciechu Jaruzelskim, która była bojkotowana przez całą antykomunistyczną opozycję, a na końcu przestrzegał przed rozluźnieniem polskich więzów ze Związkiem Sowieckim i straszył Niemcami Zachodnimi (bynajmniej nie NRD). Znaleźli sobie nestora od siedmiu boleści.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a665b7dce2

Sposób na zatory w sądach



Marta Kaczyńska-Zielińska

W sierpniu br. weszła w życie część przepisów największej w ostatnich latach nowelizacji Kodeksu postępowania cywilnego. 7 listopada br. zaczną obowiązywać pozostałe zmiany. Zamiarem ustawodawcy jest usprawnienie działania sądów, a przede wszystkim przyspieszenie toku postępowań. Co się zmieni?

Jesienią zniknie fikcja prawna doręczeń pozwów. Zgodnie z obowiązującymi przepisami po upływie dwóch tygodni od pozostawienia na poczcie przesyłki sądowej i jej nieodebrania przez pozwanego uznaje się, że pismo zostało skutecznie doręczone i postępowanie może się toczyć. Wedle nowych przepisów jeżeli pozwany nie odbierze pozwu, sąd zobowiąże powoda do doręczenia pozwu za pośrednictwem komornika, który będzie miał na to dwa miesiące. W razie bezskuteczności działań komornika postępowanie będzie mogło zostać zawieszone na trzy miesiące. Pozwy bezzasadne oczywiście będą odrzucane, a wnoszenie kilku zażaleń na to samo orzeczenie zostanie wykluczone.

Podobnie nie będzie można ponawiać wniosków o wyłączenie sędziego lub też, powołując się na te same okoliczności, kilka razy wnosić o przyznanie pomocy prawnej z urzędu. Rozpoznanie zażaleń w części spraw zostanie przyspieszone dzięki ich przekierowaniu do sądów tej samej instancji, a nie jak dotąd przez drugą instancję. Obowiązkowe będzie przedłożenie sądowi i powodowi odpowiedzi na pozew w co najmniej dwutygodniowym terminie.

Nowe przepisy zobowiązują strony do podjęcia próby polubownego zakończenia sporu, a w razie braku takiej możliwości sąd wraz z powodem i pozwanym opracują plan rozprawy w celu usprawnienia przebiegu postępowania. Istotne jest także wprowadzenie zasady prekluzji dowodowej, wedle której twierdzenia i dowody będą musiały być zgłaszane do czasu zatwierdzenia planu. W razie nieobecności powoda na posiedzeniu przygotowawczym postępowanie będzie można umorzyć. Niestawiennictwo pozwanego na wskazanym posiedzeniu wyłączy jego wpływ na plan rozprawy. Niezastosowanie się do tego obowiązku będzie mogło skutkować wydaniem wyroku zaocznego. Nowymi regulacjami ustawodawca zamierza spowodować, by sprawy kończyły się w pierwszym terminie.

Właściwość sądów w sprawach dotyczących umów będzie określana według miejsca wykonania umowy, a więc w praktyce zazwyczaj w miejscu zamieszkania konsumenta, co zwiększy dostępność obywateli do sądów i sprawi, że nastąpi zmniejszenie liczby postępowań prowadzonych przed sądami w Warszawie, gdzie większość dużych podmiotów gospodarczych ma zarejestrowane swoje siedziby.

W sprawach o ochronę dóbr osobistych naruszonych przy wykorzystaniu środków masowego przekazu oraz o roszczenie przeciwko bankowi wynikające z czynności bankowej można będzie wytoczyć przed sąd właściwy dla miejsca zamieszkania albo siedziby powoda.

W razie nieobecności stron wyroki sądowe nie będą ogłaszane. Za wniosek o sporządzenie uzasadnienia trzeba będzie zapłacić, ale koszt ten będzie zaliczany na poczet opłaty za postępowanie przed sądem drugiej instancji. Strona, która zamierza wnieść apelację, będzie mogła wskazać, czy potrzebuje pełnego uzasadnienia orzeczenia, czy też wyłącznie co do tej części wyroku, z którą się nie zgadza. Sąd drugiej instancji stanie się właściwy do wnoszenia apelacji, dzięki czemu nastąpi skrócenie drogi do merytorycznej oceny zarzutów strony, która się odwołuje. W razie przekazania sprawy do ponownego rozpoznania przez sąd pierwszej instancji sprawa będzie rozpoznawana przez ten sam skład, co także przyspieszy wydanie ostatecznego orzeczenia.

Sprawy przedsiębiorców, a także o roboty budowlane, prawa upadłościowego lub restrukturyzacyjnego oraz umów leasingu będą rozpoznawane wedle odrębnej procedury, w której dowód z zeznań świadka będzie mógł zostać dopuszczony po wyczerpaniu innych środków dowodowych, a w razie ich braku – gdy pozostały niewyjaśnione okoliczności istotne dla rozstrzygnięcia sprawy.

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

62/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Niech płynie

Cicho ostatnio było o ekologach. Nie przejęli się specjalnie fekaliami płynącymi Wisłą. Być może dlatego, że nie były to fekalia pisowskie, bo Warszawą rządzi PO. Na szczęście aktywiści wreszcie się objawili. Ci z Greenpeace pojawili się na nabrzeżu w Porcie Północnym w Gdańsku. Jednak o fekaliach ani słowa. Działacze tej organizacji postanowili zaprotestować przeciw węglowi. Weszli na żurawie służące do rozładunku węgla ze statków. Rozwiesili transparent z napisem: „Polska bez węgla". Co z szambem w Wiśle? A niech płynie!



75 proc.
– tyle ma być polskiego surowca w wyrobach oznaczonych symbolem „Produkt polski".

1,4 proc.
– taki spadek w krajowej produkcji europalet odnotowano w pierwszej połowie br., co zdaniem „Pulsu Biznesu" może zwiastować wyhamowanie gospodarki.

2008
– to w tym roku nastąpił ostatni znaczący spadek w produkcji europalet i wiązał się on ze światowym kryzysem.

Dobre chęci to za mało

Po historii z brytyjską aktywistką w Hiszpanii przypomniała mi się rodzima historia, która w lipcu przetoczyła się przez polskie portale. 19-latka z Wielkopolski wykupiła za 16 tys. zł z fermy futerkowej 650 szynszyli. Niestety nie miała pojęcia, jak się nimi zajmować. Ulokowała zwierzęta w starym chlewie. Jednak dziewczyna nie była w stanie zapewnić zwierzętom ani pożywienia, ani wody. Wreszcie zgłosiła się (na szczęście) do stowarzyszenia Puchaty Patrol, które zajmuje się ratowaniem szynszyli i innych małych zwierząt. „Szynszyle nie miały wody od 3 dni, bo system nawadniania został zniszczony, a miski były puste. W trzech kuwetach zalanych przez przegryziony wężyk pływały rozkładające się kilkudniowe zwłoki. W jednej, wśród zwłok swoich dzieci, siedziała mokra i przemarznięta matka. W innej kuwecie leżała martwa matka, z której dzieci spijały ostatki wody. Zabraliśmy się za rozdysponowanie resztek karmy i naprawianie systemu poidełek" – opisywał dantejskie sceny Puchaty Patrol. O akcji córki nic nie wiedzieli rodzice. Okazało się, że dziewczyna, żeby wykupić zwierzęta, wzięła chwilówkę. Nastolatka przekonała się na skórze własnej i szynszyli, co znaczy, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane.

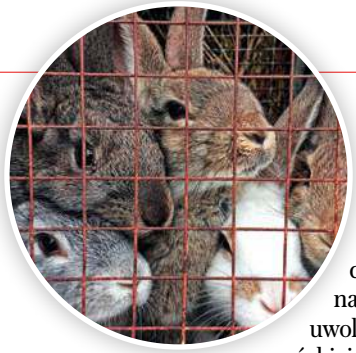




Precz z kobiecością

Priory School w hrabstwie East Sussex wprowadziła obowiązkowe spodnie dla wszystkich uczniów. Pomysł nie spodobał się dużej grupie uczennic, które na znak protestu przyszły do szkoły w spódnicach. Niestety nie zostały wpuszczone na teren placówki, której broniła policja. Celem zakazu ma być wedle szkoły niedopuszczenie do dyskryminacji uczniów ze względu na płeć. Szkoda, że nikt nie zauważył, iż zakaz noszenia spódnicy jest zwykłą dyskryminacją kobiet. Meandry postępu.

eprasa.pl a665b7dce2



Ekogłupota

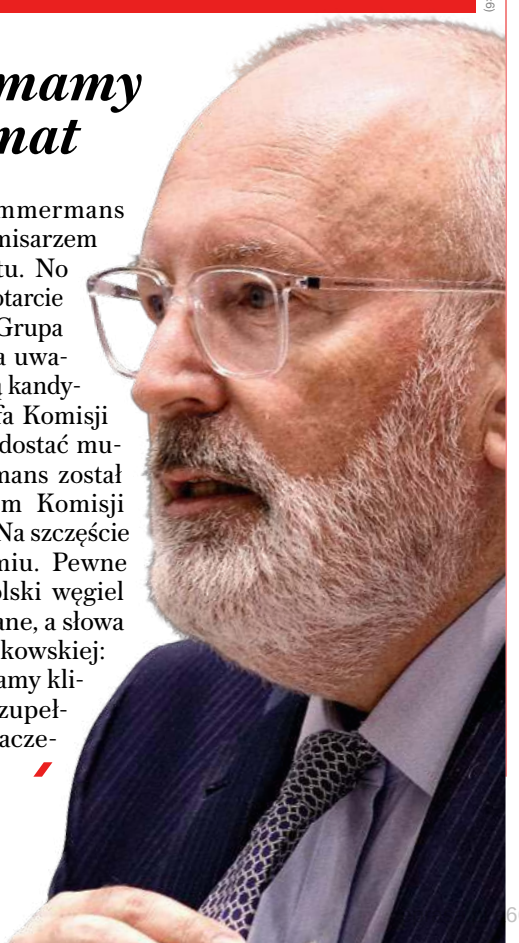
Jak żyć z tymi ekologami? Brytyjska wegańska działaczka o pseudonimie Mityczna Mia pochwaliła się na Instagramie akcją, podczas której uwolniono, jej zdaniem, 16 królików z hiszpańskiej fermy. Aktywistka nie dodała jednak, że za tę akcję życiem zapłaciło ok. 100 innych zwierząt. O sprawie informuje m.in. portal tvp.info. Podczas akcji oswobadzania królików miało dojść do ostrej szarpaniny, w której ucierpieli aktywiści. Niestety króliki także. „Rzecznik katalońskiej policji podaje, że tak naprawdę grupa aktywistów uwolniła 14 królików, a cała akcja miała bardzo poważne konsekwencje. Zamieszanie wywołane przez Brytyjkę i jej znajomych rozdrażniło króliki, które zaczęły się rzucać po klatkach. W ten sposób pięć samic w zaawansowanej ciąży uszkodziło sobie kręgosłupy i trzeba było je dobić. Inne zwierzęta poroniły. Większość królików wykradzionych przez aktywistów to karmiące samice. Ich brak sprawił, że trzeba było dodatkowo uśpić ok. 90 młodych, które nie mogłyby przetrwać bez matek" – czytamy na portalu. Czysta ekogłupota.

> PiS schował rękę do naszych kieszeni, a Kościół schował rękę do naszych spodni i wspólnie trzymają nas już nie powiem za co" – ocenił Leszek Jażdżewski w rozmowie z „Rzeczpospolitą". Czy PiS już wysłało panu Jażdżewskiemu kwiaty za to, że znowu uaktywnił się tuż przed wyborami?

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x6)

Taki mamy klimat

Frans Timmermans został komisarzem UE ds. klimatu. No trudno, coś na otarcie łez, po tym jak Grupa Wyszehradzka uwaliła jego pewną kandydaturę na szefa Komisji Europejskiej, dostać musiał. Timmermans został też wiceszefem Komisji Europejskiej. Na szczęście jednym z ośmiu. Pewne jest jedno: polski węgiel ma przechlapane, a słowa Elżbiety Bieńkowskiej: „Sorry, taki mamy klimat" nabiorą zupełnie innego znaczenia.



PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Balcerowicz po stronie dobra



Dominik Zdort

Spotkały mnie w ostatnich dniach w księgarniach dwie małe przyjemności. W moim wieku takie drobne radości bardzo się już ceni, bo większe coraz rzadziej się przydarzają.

Po księgarniach chodzę od dziecka, a odkąd wypada przysiąść na krzesełku i przeczytać parę słów ze ściągniętej z półki książki, bywa że korzystam z takiej możliwości. I tak trafiła w moje ręce książka pewnego wściekłego lewackiego hejtera, której tytułu ani nazwiska autora nie wymienię – po co mu czytelników przysparzać?

Książka jest czymś w rodzaju słownika zbierającego charakterystyczne słowa i określenia używane przez prawicowych polityków i publicystów. Omówienia owych słów miały być złośliwe, co nie zawsze autorowi wychodzi, ale – pal sześć. Nieważne jak o tobie piszą, dobrze czy źle, dowcipnie czy ordynarnie – ważne, że po nazwisku.

A autor owego językowego kompendium wymienia moje nazwisko, i – co cenne – nawet go nie przekręca. Mało tego, w miarę wiernie streszcza jeden moich tekstów i przypisuje mi autorstwo określenia „biegactwo". Chętnie i z dumą się do tej słowotwórczej innowacji przyznam, bo miło być klasykiem. Tym bardziej dla hejterów, którzy cię nie cenią. Piotr Semka mawia w takich przypadkach: to miły dowód uznania.

W swoim tekście opisałem nowe wyznanie religijne, którym stał się dla niektórych jogging – szczególną uwagę zwróciłem na maratony blokujące duże miasta. Samych biegaczy potraktowałem dość obcesowo, stwierdzając, że to ludzie „o niezbyt subtelnej umysłowości".

No dobrze, trochę żałuję tego określenia, było niegrzeczne. Na starość człowiek staje się nieco mniej zadziorny, dziś użyłbym innych słów. Ale nadal nie jestem w stanie zrozumieć, jak można godzinami robić coś tak nudnego i monotonnego, jak truchtanie przez wiele kilometrów po asfalcie. I nadal wolę rower.

I z tym wiąże się moja druga drobna satysfakcja. W innej księgarni coś mnie skłoniło, aby wziąć do ręki egzemplarz „Newsweeka" z ubiegłego tygodnia. A tam wywiad z Leszkiem Balcerowiczem, który stwierdza, że przestał biegać. Dlaczego? Bo to nudne i monotonne. On też woli rower.

Radość pewnie byłaby większa, gdyby tej opinii nie wygłaszał człowiek, który słynie z tego, że zawsze się mylił, a jego działania i recepty przynosiły zawsze szkody. Ale cóż, przynajmniej w sprawie biegactwa pan profesor przeszedł na stronę dobra.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

665b7dce2

RZECZY POSPOLITE

Tęczowy gwiazdozbiór



Tomasz Łysiak

Jakiś czas temu Clint Eastwood postanowił pożegnać się z Hollywood, rzucić w pierony cały ten szajs gwiazdorski, który jest „miejscem zdrajców i pedofilów", i zająć się wspieraniem Trumpa w walce o uratowanie Ameryki. Świat stacza się na psy w takim tempie, że za kilka lat się okaże, iż biały heteroseksualny facet będzie udawał czarnoskórego geja i chodził z tęczową torebką po mieście, żeby nie być spalonym na liberalnym stosie.

Akurat Eastwood, genialny odtwórca westernowych roli twardych prawdziwych mężczyzn, słynny „Brudny Harry", należy w Hollywood do wyjątków. Takich jak on jest niewielu (można by np. doliczyć do grona normalnych aktorów o tradycyjnym światopoglądzie Woodsa). Jaka jest reszta? Niestety – to horda pomalowanych na tęczowo cyborgów nowej kultury. Te istne androidy ulepione z politycznej poprawności raz płaczą nad Amazonią, innym razem wspierają gejów, by za chwilę oburzać się na Kevina Spaceya i nie oglądać z nim filmów, a jeszcze innym będą krzyczeć o tym, jak bardzo Trump zagraża wolności w USA i na świecie. Popadają w przesadę i histerię. Ten właśnie plastykowy, wynaturzony, pozbawiony już nie tylko dawnych wartości, ale po prostu zwykłej przyzwoitości, „gwiazdozbiór" nadaje ton milionom wyznawców na całym świecie, powielającym wzorzec stworzony przez idoli na fejsbukach, instagramach, instastory i w trakcie pogaduszek w starbuniu.

U nas, nad Wisłą, mamy ten sam odjechany w inną rzeczywistość celebrycki cyrk na kółkach. Tenże cyrk uwierzył stadnie (z nielicznymi chlubnymi wyjątkami), że żyje w czasach dyktatury, porównywalnej do rządów zamordystów komunistycznych z czasów PRL czy nawet tej z czasów okupacji niemieckiej. Tak jak w Stanach złem wcielonym staje się dla nich Trump, jak we Włoszech są to Salvini i Meloni, tak u nas Jarosław Kaczyński.

Wykwitem tej wiary jest z jednej strony twórczość w stylu „Polityki" Vegi, z drugiej są to też reakcje agresywne – vide ostracyzm środowiskowy, jaki spotyka Redbada Klinstrę. Facet zagrał w „Smoleńsku", lewicowym kulom się nie kłania, nie jest nazbyt ekspansywny w pokazywaniu poglądów, ale wystarczyło, by szepnął coś o LGBT i zaraz zaczęła się zemsta „tęczowego gwiazdozbioru", który działa na zasadzie lewacko-gangsterskiej bandy: „Narazisz się, to zginiesz".

Leichenkommando



Piotr Cywiński

Nie wiem, co ani komu podpisywała kandydatka na polską premier, ale skoro mówi, że podpisywała, to chyba nie kłamie. Zwłaszcza że ma świadków, gdyż użyła w swym stwierdzeniu liczby mnogiej: „podpisywaliśmy"... Chodzi o reparacje, które chcieliby uzyskać od Niemiec urzędujący premier, jego ministrowie, partia rządząca i sam prezydent RP, a kandydatka na premiera nie chce: „Są umowy, które podpisywaliśmy i powinniśmy ich przestrzegać. (...) Nie będziemy się domagać tych pieniędzy", postawiła „Kropkę nad i" Małgorzata Kidawa-Błońska w studiu TVN24.

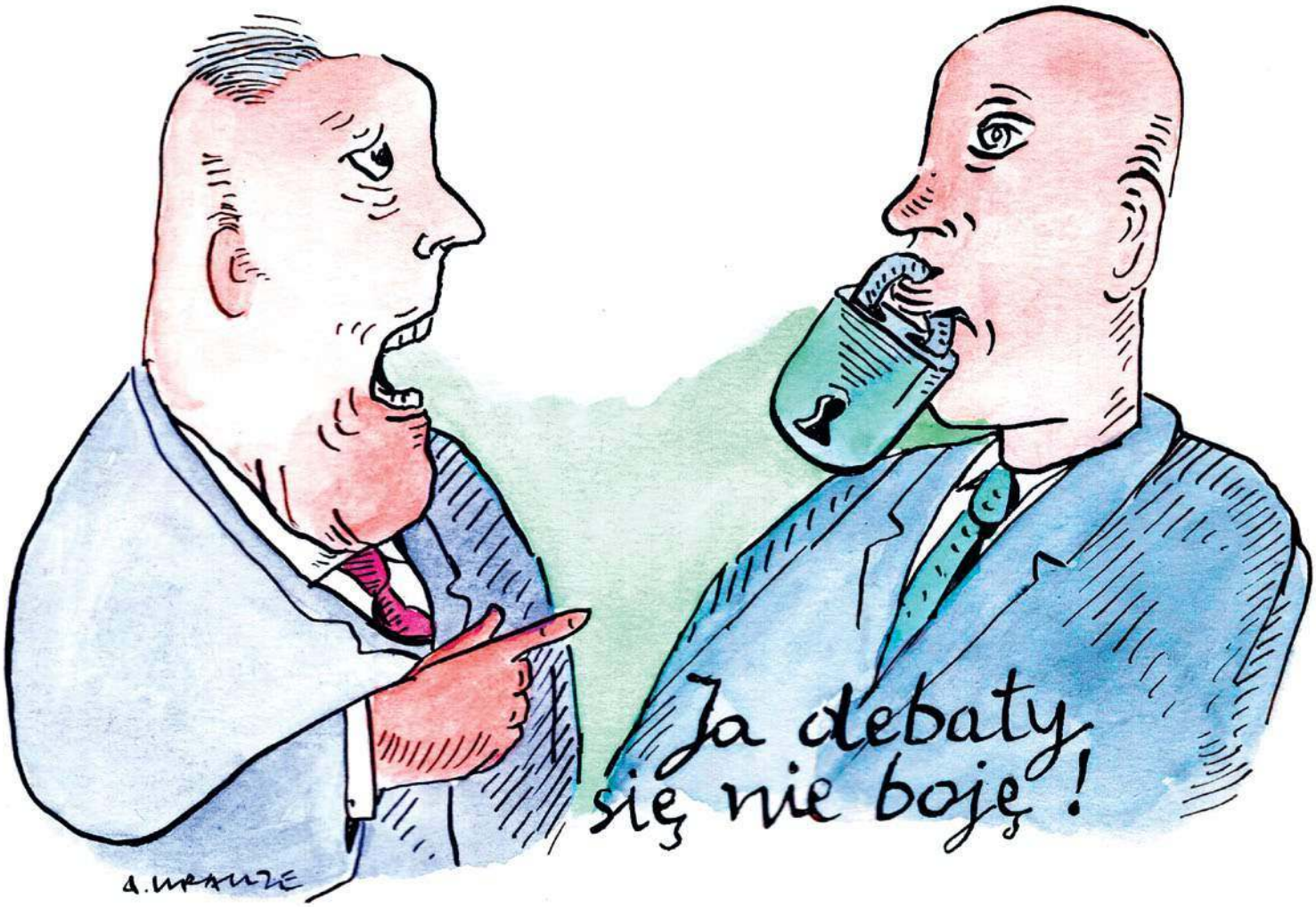
Ja niczego nie podpisywałem, moi krewni też nie ani moi znajomi, więc nie wiem, w czyim imieniu kandydatka to mówiła. Może coś podpisywała ze swoją rodziną albo z koalicjantami tzw. obywatelskimi, których reprezentuje? Z partyjnego punktu widzenia dobrze, że nie będą się „domagać", mogłoby to wyglądać, że dla „piniendzy" gotowi są zrobić wszystko, patrz rozdział „państwo teoretyczne" z okresu spółki rządowej PO-PSL, ze strony drugiej źle, ponieważ zrzeczenie się „tych pieniędzy" może ktoś wziąć za wolę wszystkich obywateli RP, co prawdą nie jest. Z deklaracji pani Kidawy-Błońskiej wynika wszakże, iż Koalicja tzw. Obywatelska uważa się za sukcesorów namiestników Moskwy; jeśli uznaje ich „umowy" za wiążące, powinna także respektować wpisaną do konstytucji PRL przewodnią rolę PZPR i przyjaźń z ZSRR, czyż nie?

„Przestrzeganie umów" z czasów zniewolonej Polski przez kandydatkę na szefową rządu niepodległej Polski w sprawie reparacji ma paskudny wydźwięk, zważywszy, że nie są to jej pieniądze ani KO, lecz ofiar największej zbiorowej tragedii w całej ponadtysiącletniej historii naszego narodu i kraju: ponad 6 mln zabitych, najwięcej z wszystkich poszkodowanych państw świata w wojnie rozpętanej przez Niemców, 1,5 mln inwalidów i z trwałym uszczerbkiem zdrowia, 2,5 mln przymusowych robotników, 2,5 mln wysiedleńców, zrujnowane miasta i wsie, ogółem 40 proc. zniszczonych nieruchomości, ponad 98 tys. fabryk i zakładów, 43 proc. spalonych lub zrabowanych dóbr kultury narodowej...

Rękę po reparacje i odszkodowania wyciągnęli wszyscy, w tym kraje, które kolaborowały z niemieckimi okupantami, jakoś wstyd im nie było. Więc, Szanowna Kandydatko na premiera RP, proszę, oszczędź sobie tę wspaniałomyślną „darowiznę" na rzecz sprawców. Bo to nie pani była przydzielona w KZ Stutthof do Leichenkommando – codziennego znoszenia zwłok i wsadzania do krematoryjnego pieca, tylko mój nieżyjący już ojciec. Więc, zamilcz, proszę, przynajmniej w tej sprawie.

eprasa.pl a665b7dce2

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI/REPORTER, MARIUSZ GRZELAK/REPORTER, MAGDALENA PASIEWICZ/EAST NEWS, MARCIN BRUNIECKI/REPORTER, PIOTR MOLECKI/EAST NEWS, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a665b7dce2



Tematy wstydu opozycji

Dla opozycji są groźniejsze niż błędy polityczne Grzegorza Schetyny i wpadki wyborcze Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Pokazują, na czym naprawdę polega polityka Koalicji Obywatelskiej i jej partnerów, obnażają złą wolę, bylejakość oraz jej arogancję wobec interesów państwa i społeczeństwa. Tematy wstydu – pięć problemów totalnej opozycji, o których przeciwnicy dobrej zmiany nie lubią mówić publicznie



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Nieważne, czy w grę wchodzą setki miliardów złotych z polskiej gospodarki, czy zdrowie psychiczne dzieci w szkołach, nieistotne są pozwy prokuratury, apele rodziców, raporty Centralnego Biura Antykorupcyjnego czy po prostu dobro obywateli – na wszystkie te sprawy politycy opozycji odpowiadają: nic się nie stało, nie ma o czym rozmawiać. I zmieniają wtedy temat – na krytykę Zjednoczonej Prawicy, byle tylko odwrócić uwagę od sedna sprawy.

1. MAFIE VAT-OWSKIE DRENOWAŁY POLSKĘ

4 września w drogę ruszyły dziesiątki cystern wstydu – samochodów imitujących transport paliwa, z wielkim napisem „Cysterny wstydu PO-PSL" z wizerunkiem Grzegorza Schetyny i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Akcja ma przypomnieć Polakom, że za czasów rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz system finansów publicznych był tak nieszczelny, że w ciągu ośmiu lat sprawowania przez nich władzy Polska straciła ok. 200 mld zł. Jednym z symboli przekrętów, jakie mafie robiły w Polsce, są cysterny z paliwem, które wjeżdżały bez skutecznej kontroli ze strony Urzędu Celnego. „Minister finansów ma wiedzę o tym, że każdego dnia setki cystern wjeżdża i nie płaci VAT od paliw [...]. Przecież każdego dnia to dziesiątki milionów złotych. Jak może

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. POLSKA PRESS / EASTNEWS

funkcjonować minister finansów, który o tym wie od 2011 r." – zeznawał przed sejmową komisją śledczą ds. wyłudzeń VAT Sławomir Siwy, przewodniczący Związku Zawodowego Celnicy PL.

Gdy cysterny wstydu wyjechały w Polskę, opozycja zaatakowała kłamstwem: że pojazdy zostały udostępnione przez spółkę skarbu państwa PKN Orlen. Rzecznikowi prasowemu Platformy Obywatelskiej szybko przyszło sprostować nieprawdę – już 10 września Sąd Okręgowy w Warszawie nakazał Janowi Grabcowi wyjaśnić, że informacja nie miała nic wspólnego z rzeczywistością.

Jednak ten schemat nie jest odosobniony – za każdym razem, gdy media lub politycy zaczynają wspominać „tematy wstydu", opozycja zmienia przedmiot rozmowy i atakuje Zjednoczoną Prawicę.

Poseł PO Zbigniew Konwiński, członek sejmowej komisji śledczej badającej nieefektywne ściąganie VAT w latach 2008–2015, posiada poważną wiedzę dotyczącą problemów podatkowych z czasów PO-PSL. Zapytany o dziesiątki miliardów, których zabrakło w budżecie z tytułu niezapłaconych podatków, odpowiada, że ten problem istniał także wcześniej oraz że istnieje także dzisiaj. – To był problem nie tylko Polski, lecz generalnie problem Unii Europejskiej, o tym toczyła się np. debata w Izbie Lordów w 2007 r. – mówi tygodnikowi „Sieci" parlamentarzysta. W Polsce jednak za rządów Tuska brakowało niekiedy ponad 25 proc. wpływów z VAT. Poseł opozycji twierdzi, że przecież „PiS nie popierało, ale wręcz często próbowało opóźnić uszczelnianie systemu, jak to się działo w 2013 r.". Konwiński przytacza sytuację z komisji sejmowej, w której PiS, będące wówczas w opozycji, chciało skonsultować pomysł wprowadzenia odwróconego VAT na pręty stalowe i przekazać go do dalszej ekspertyzy. Poseł PiS Marcin Horała, jednocześnie przewodniczący sejmowej komisji śledczej ds. wyłudzeń VAT, tłumaczy, że takie pomysły były rozwiązaniem szalenie ułomnym i fragmentarycznym: – Rządzący niby zwalczali karuzelę i proponowali odwrócony VAT na pręty stalowe czy na elektronikę. To było jednak gonienie króliczka, a nie łapanie go, bo kiedy wprowadzono obostrzenia na złom, to przestępcy przenosili aktywność na pręty, paliwa czy elektronikę – tłumaczy Horała tygodnikowi „Sieci". – To były działania, które mogły pomóc danej branży, pozostawiając szkodliwość w skali ogólnokrajowej. Bardziej całościowe rozwiązanie wprowadzono dopiero na dwa miesiące przed wyborami 2015 r. – dodaje poseł PiS. Uchwalenie jednolitego pliku kontrolnego było jednak wciąż wadliwe, zresztą rząd Ewy Kopacz go nie wprowadził – dopiero ekipa Beaty Szydło wdrożyła system i dokonała niezbędnych uzupełnień. – Rozwiązanie PO-PSL trzeba było poprawić, bo nie miało podstawowej funkcjonalności automatycznego raportowania, które było kluczowe, by uszczelnienie zadziałało systemowo – wyjaśnia Horała.

> Gdy cysterny wstydu PO-PSL wyjechały w Polskę, opozycja zaatakowała kłamstwem. Rzecznikowi Platformy nakazem sądu szybko przyszło sprostować nieprawdę

Politycy opozycji chętniej skupiają się na niedoskonałościach komisji śledczej niż na samym problemie. – Teraz także wpływy z podatków są mniejsze niż by oczekiwano – twierdzi Konwiński. I dodaje: – Mam obraz tej komisji jako absolutnie polityczny.

Jednak sam fakt drenowania Polski przez mafię VAT-owską pozostaje niezakwestionowany. Przewodniczący Horała nie pozostawia pola do wątpliwości: – W latach 2007–2015 ten problem nasilił się drastycznie, o czym mówią nawet oficjalne raporty dla Komisji Europejskiej. Luka VAT wzrosła z 8 do ponad 25 proc., czyli czterokrotnie – podsumowuje. Czy nieszczelność podatkowa szacowana na setki miliardów złotych nie zaskoczyła posła Konwińskiego? – To wszystko jest ocenne – oponuje parlamentarzysta PO.

2. DZIKA REPRYWATYZACJA W WARSZAWIE

Hanna Gronkiewicz-Waltz przez ponad dekadę była wiceprzewodniczącą PO (2006–2017) oraz prezydentem Warszawy (2006–2018). To za jej czasów przedwojenne kamienice w stolicy odzyskiwały osoby, które już od dawna nie żyły, a według metryki miałyby więcej niż 100–110 lat. W ten sposób ze złamaniem prawa oddano „duchom" dziesiątki majątków w stolicy, a prezydent Warszawy zareagowała dopiero po ujawnieniu sprawy przez media w 2016 r. Rozwiązano co prawda Biuro Gospodarki Nieruchomościami i zdymisjonowano dwóch wiceprezydentów, ale Platforma nie poniosła żadnej politycznej odpowiedzialności za sprawę. Poseł PiS Sebastian Kaleta z sejmowej komisji weryfikacyjnej, działającej od 2017 r., wskazuje w rozmowie z „Sieci", że „opozycja, a PO w szczególności, nigdy w sposób wyraźny czy dorozumiany nie odcięła się od Hanny Gronkiewicz-Waltz i patologicznego systemu, który wykwitł w jej ratuszu".

eprasa.pl a665b7dce2

Prokuratura uznała układ urzędniczy za wielki system korupcyjny, a media donosiły o dziesiątkach krzywd lokatorów, którzy byli wyrzucani z domów na rzecz nowych, tajemniczych właścicieli. Kaleta wskazuje, że sygnały o nieprawidłowościach trafiały do najwyższych organów i instytucji nadzorowanych przez ówczesną koalicję rządzącą. – Nic z tym nie zrobiono – komentuje poseł PiS – sprawa tej afery rozciąga się na całą Platformę, która ponosi za to polityczną odpowiedzialność, ale nikt z tej partii nie odciął się wyraźnie od Hanny Gronkiewicz-Waltz, zapewne dlatego, że wszyscy jadą na tym samym wózku.

– To, co mogła zrobić prezydent Warszawy, gdy sprawa została ujawniona, zostało zrobione. Ludzie zostali zwolnieni, wprowadzono nowe procedury – ripostuje w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" członek komisji weryfikacyjnej Robert Kropiwnicki z PO. Poseł wskazuje, że nieprawidłowe zwroty nieruchomości „odbywały się w wyniku decyzji sądowych", w domyśle: ludzi niezwiązanych z Platformą. W świetle faktów trudno jednak utrzymać wrażenie, że koalicja rządząca nie miała o niczym pojęcia – już w 2012 r. rzecznik praw obywatelskich Irena Lipowicz informowała o rażących nieprawidłowościach kancelarię samego premiera Tuska. Ówczesną RPO trudno nazwać „pisowską", skoro po śmierci Janusza Kochanowskiego w Smoleńsku to Platforma wysunęła ją jako kandydatkę na to stanowisko. Jednak jej apele o interwencje zostały przez Tuska zlekceważone. Zdaniem Sebastiana Kalety dzika reprywatyzacja zaczęła się nasilać od końca 2009 r. Trudno zwykłą koincydencją nazwać to, że w tamtym czasie Donald Tusk zdymisjonował szefa CBA Mariusza Kamińskiego i powołał na to stanowisko Pawła Wojtunika.

Czy ówczesna partia rządząca ponosi polityczną odpowiedzialność za nieprawidłowości w Warszawie? Przecież to PO sprawowała wówczas rządy w stolicy i w państwie. – To pana teza – odpowiada tak zagadnięty poseł Kropiwnicki. Czy więc nikt z polityków Platformy nie dokonał żadnych zaniedbań? – W tej sprawie decydują mieszkańcy Warszawy, a oni ostatnio wybrali prezydenta z Platformy Obywatelskiej – dopowiada. Samej afery w żaden sposób nie łączy on z dawną wiceszefową PO.

3. AFERA AMBER GOLD

Także sejmowa komisja śledcza ds. Amber Gold doszła do smutnych wniosków, że państwo polskie w czasach Donalda Tuska było jedynie teoretyczne. – Rząd w tej sprawie nie zrobił nic, mimo tego że sam premier wiedział o piramidzie finansowej – przekonuje poseł PiS Bartosz Kownacki, który angażował się w prace komisji od samego początku. Podczas przesłuchania Tuska Kownacki zapytał byłego premiera: „Miał pan informacje od służb, czy pan chociaż zapytał, jak działają w tej sprawie, czy pan o cokolwiek zapytał?". – W odpowiedzi było tylko milczenie – mówi poseł PiS.

> Sprawa afery reprywatyzacyjnej rozciąga się na całą PO, która ponosi za nią polityczną odpowiedzialność. Nikt w tej partii nie poczuwa się jednak do winy

Komisja pracowała przez prawie trzy lata, w czasie których przesłuchała 150 świadków, a sprawdzając funkcjonowanie instytucji państwa i osób publicznych, stwierdziła, że jedynie Komisja Nadzoru Finansowego i Ministerstwo Gospodarki działały wobec tej piramidy finansowej poprawnie. Z bezczynności premiera Tuska nie wyrwało nawet to, że 18 tys. ludzi powierzyło nieuczciwej spółce pieniądze na łączną kwotę 851 mln zł. Jak głosi raport końcowy: „W ocenie komisji śledczej powstanie i ekspansja Grupy Amber Gold były wynikiem słabości państwa, dysfunkcjonalności organów stojących na straży praworządności i wymiaru sprawiedliwości, systemowych luk prawnych, bierności i pobłażliwości aparatu urzędniczego, a także braku stosowania przepisów prawa przez organy władzy publicznej".

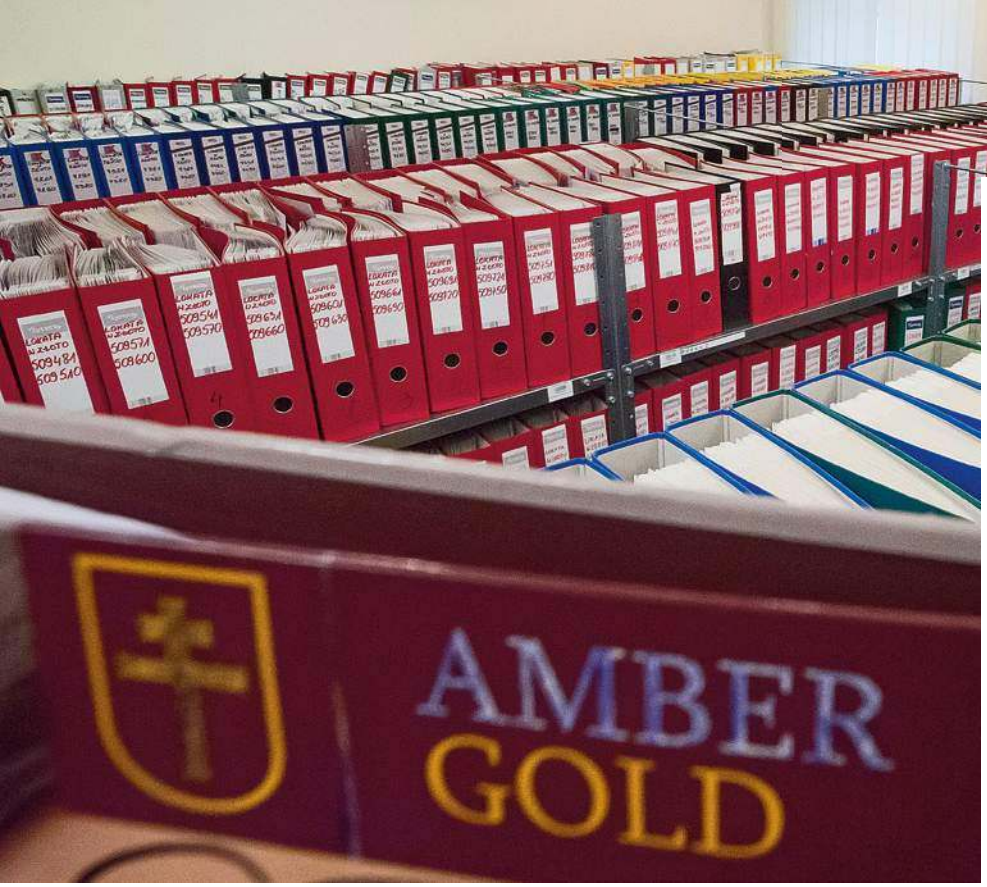
Także i w tej sprawie opozycja nie wskazuje na ani jedno uchybienie ze strony sprawującej wówczas rządy Platformy Obywatelskiej. Poseł PO Krzysztof Brejza – dziś bardziej znany z zaangażowania w farmę trolli w inowrocławskim ratuszu rządzonym przez jego ojca Ryszarda Brejzę – ograniczył swoją refleksję na temat komisji do słów, że jej jedynym celem było „upolowanie Donalda Tuska, Michała Tuska, Pawła Adamowicza". Na żadnym z posiedzeń Brejza nie zgodził się z komisją w ocenie patologii funkcjonowania państwa wobec Amber Gold. Z posłem Brejzą nie udało mi się nawiązać kontaktu mimo zapewnień, że rozmowa będzie dotyczyła jedynie prac komisji, a nie farmy hejtu w inowrocławskim ratuszu.

Czy nikt z członków opozycji nie mógłby wyjaśnić, co się właściwie działo z tymi aferami? Przecież PO deklaruje się jako partia liberalna gospodarczo. Istnieje w tej doktrynie koncepcja leseferyzmu, w której państwo jest postrzegane jedynie jako nocny stróż, który nie ingeruje w sprawy biznesowe swoich obywateli. Jednak totalna opozycja nie używa tego argumentu – bo wtedy dotknęłaby kolejnego tematu tabu.

4. BRAK PROGRAMU GOSPODARCZEGO

Grzegorz Schetyna oficjalnie deklaruje linię polityczną swojej partii jako liberalną – tak wielokrotnie powtarza Cezaremu Michalskiemu w wywiadzie rzece pt. „Historia pokolenia" (Warszawa 2019). Państwo dynamicznych przedsiębiorców z niskimi podatkami miałoby sens i konsekwentny obraz – problem polega na tym, że jest to program nieprawdziwy. Z jednej strony władze PO licytują się z PiS na programy społeczne, a z drugiej – ogłaszają niemoc państwa. „Nic, co zostało dane, nie będzie zabrane" – powtórzyła kilkakrotnie Małgorzata Kidawa-Błońska w toku kampanii wyborczej.

eprasa.pl a665b7dce2



Miała na myśli głównie program 500+, o którym jej partyjni koledzy jeszcze wiosną 2015 r. mówili, że „pieniędzy na takie programy nie ma i nie będzie" (Jacek Rostowski, minister finansów w rządzie PO-PSL), dodatkowo w „sześciopaku" Schetyny jest punkt o dopłatach dla najmniej zarabiających – co to ma wspólnego z liberalizmem? A może podniesienie VAT o jeden punkt procentowy, z 22 na 23 proc. było posunięciem zgodnym z liberalizmem gospodarczym? Bo taką właśnie zmianę zaproponował rząd Tuska Polakom od 2011 r.

Liberalizm w wykonaniu Tuska i jego spadkobierców to słabe państwo wobec problemów obywateli (Amber Gold, reprywatyzacja), słabe wobec mafii (karuzele VAT), ale silne, gdy obywatela trzeba przycisnąć – podnoszeniem podatków lub wydłużeniem lat pracy. W tym sensie Platforma Obywatelska jest konsekwentna – realizuje program Kongresu Liberalno-Demokratycznego, polegający na zwijaniu państwa. Dodaje do tego jednak punkty programu, których nie realizowała i nawet nie rozważała, będąc u władzy: przyznawanie czeków na opiekę seniorom czy zasilanie emerytur pakietami akcji (sic!). Państwo bezradne wobec najsłabszych obiecuje dziś ustami Schetyny opiekę dla seniorów czy najmniej zarabiających. Jeśli więc w PO funkcjonuje „leseferyzm", to z udziałem takiego stróża nocnego, który nie tyle śpi, ile idzie „haratać w gałę".

5. ANTYKOŚCIELNOŚĆ

Ta rewolucja PO i Nowoczesnej dokonuje się najciszej ze wszystkich, a jest prawdopodobnie najgroźniejsza z ukrytych działań liberałów. – Platforma świadomie idzie w kierunku elektoratu lewicowego – mówi tygodnikowi „Sieci" Marek Biernacki, dziś kandydat do Sejmu z list Koalicji Polskiej, ale do stycznia 2018 r. członek PO. Biernacki został wykluczony z partii, z którą był związany przez 16 lat, bo w sprawie aborcji głosował zgodnie ze swoim sumieniem, czyli za zaostrzeniem ustawy antyaborcyjnej. Poseł przekonuje, że obecna PO daleko odeszła od chadeckich wzorców, które część działaczy stawiała sobie w pierwszych latach istnienia partii. – W „sześciopaku" Schetyny jest mowa o związkach partnerskich. Skoro mężczyzna i kobieta mogą wziąć ślub cywilny, to po co ta formuła? – pyta retorycznie Biernacki. Okazuje się, że jest to jednak nie tylko furtka dla małżeństw homoseksualnych, lecz także sprzeczne z nauką Kościoła wprowadzenie dodatkowej, swobodniejszej niż małżeństwo (choćby w oparciu o ślub cywilny), relacji między kobietą a mężczyzną. – To uderza w rodzinę – konstatuje Biernacki.

Ale były członek PO przestrzega przed poważniejszymi konsekwencjami marszu Platformy na lewo: – Poprzez wybory do Parlamentu Europejskiego, podczas których podniesiono kwestie światopoglądowe, i przez ataki na Kościół społeczeństwo można podzielić niczym siekierą – brutalnie i na stałe – przekonuje polityk. Przecież przybranie ideologii lewicowej nie pozostaje tylko w warstwie słownej. – Była posłanka SLD Katarzyna Piekarska kandyduje z pierwszego miejsca na liście Koalicji Obywatelskiej, a przecież jest to osoba o radykalnie lewicowych poglądach – mówi Biernacki. – Wielu działaczy PO będzie więc pracować w kampanii wyborczej na korzyść polityków o skrajnych postulatach obyczajowych – konstatuje poseł.

Niektórzy politycy rezygnują ze startu w wyborach ze względu na lewicowy skręt swojej partii. – Proszę spojrzeć na Włodzimierza Karpińskiego, Grzegorza Raniewicza czy Magdalenę Marek – oni zrezygnowali z ubiegania się o reelekcję, bo duszna atmosfera światopoglądowa była dla nich trudna do zniesienia – podsumowuje Biernacki.

Ale tej jesieni PO jeszcze nie ujawni swoich wszystkich metamorfoz programowych – Schetyna wciąż stara się stać w rozkroku pomiędzy dawnym elektoratem centrowym a wyborcami lewicy. W następnych latach ten temat wstydu zostanie wciągnięty na sztandary i w miejsce niby-centrowej partii okaże się nam zwyczajna liberalna lewica, która już na dobre zakorzeniła się w Europie Zachodniej, a w Polsce jest nadal trudna do zaakceptowania.

O tym jednak liderzy totalnej opozycji nie mówią publicznie. O ile kłamstwo powtórzone sto razy ma się stać prawdą, o tyle prawda przemilczana stokrotnie ma zniknąć ze świadomości obywateli. Na to właśnie liczy totalna opozycja – gdy w pamięci społecznej zatrą się fakty o wielomiliardowych aferach z czasów PO-PSL, gdy nikt nie będzie pytał o szczegóły programu gospodarczego, Schetyna bądź jego następca objawią się Polakom jako kategoryczna lewica. Jeśli wrócą do władzy, to przekonamy się o tym na własne oczy, ale na refleksje będzie już za późno.

Fot. WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

eprasa.pl a665b7dce2



JAN ROKITA

Zuchwalcy

Z badań IBRiS wynika, że „swingujące centrum", do którego w tak wielu demokracjach adresowane są partyjne kampanie wyborcze, w polskich warunkach społecznych jest mirażem wymyślonym przez marketingowych ekspertów

„Politycy dwóch wielkich partii mają przed wyborami tylko połowę roboty do wykonania" – mówił podczas krynickiego Forum Ekonomicznego 2019 Marcin Duma, prezentując wyniki badań opinii publicznej, jakie przeprowadził jego Instytut Badań Rynkowych i Społecznych (IBRiS). W gruncie rzeczy bowiem ani Prawo i Sprawiedliwość, ani Platforma Obywatelska nie muszą już przekonywać do siebie wyborców, ponieważ przygniatająca większość spośród nich jest bezapelacyjnie przekonana.

CENTRUM NIE ISTNIEJE

Zdaniem Dumy w tej sytuacji głównym zadaniem obu partii w toku kampanii jest „doprowadzenie 13 października swoich zwolenników do lokali wyborczych". Z badań bowiem wynika, iż w efekcie trwałości i ostrości międzypartyjnego konfliktu w naszym kraju przepływy wyborców pomiędzy dwiema wielkimi partiami są trudne i rzadkie, zwłaszcza w warunkach emocjonalnego pobudzenia mas towarzyszącego kampanii wyborczej.

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. Krzysztof Radzki/East News

i asekuranci

Konwencja programowa PiS w Lublinie

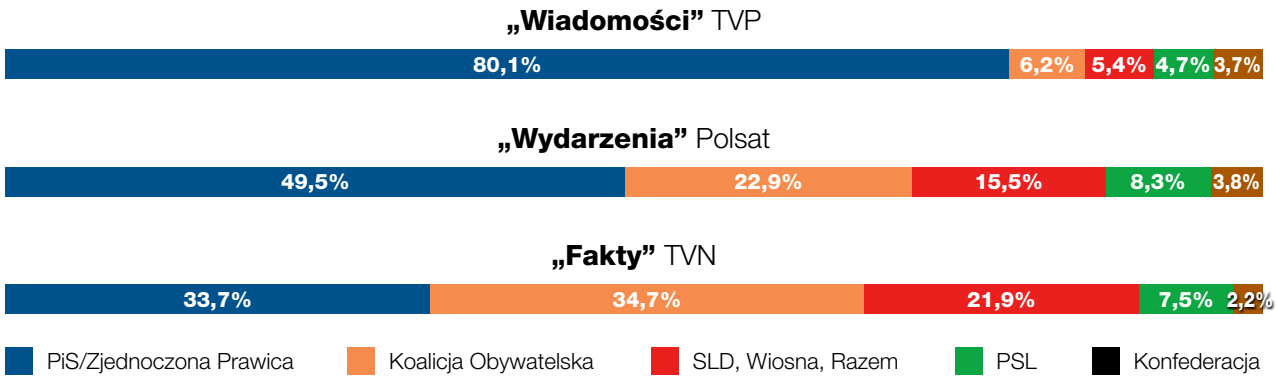
„Nie ma już w Polsce różnicy między twardym i miękkim elektoratem PiS i PO" – przekonywał Duma, gdyż ów tzw. miękki elektorat, gotów pójść w tę albo w tamtą stronę, został skutecznie zlikwidowany. Owszem, są tacy, którzy mogą się wahać pomiędzy oddaniem głosu na Platformę albo Lewicę, ale „swingujące" społeczne centrum między PO i PiS de facto nie istnieje.

Jeśli ta teza jest prawdziwa, to byłby to bardzo ciekawy przyczynek do diagnozy polskiego społeczeństwa. Wskazywałby bowiem na to, iż owo „swingujące centrum", do którego w tak wielu demokracjach adresowane są partyjne kampanie wyborcze, w polskich warunkach społecznych jest mirażem wymyślonym przez marketingowych ekspertów, często chętnych dawać błędne rady politykom. Zwłaszcza tak popularne w mediach napomnienia liderów PiS (w tym samego Jarosława Kaczyńskiego), aby przed wyborami byli mili i układni, musiałyby wyglądać na całkiem absurdalne.

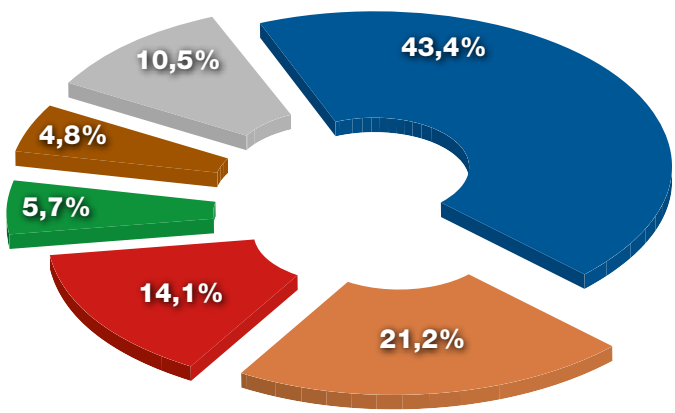
Teza postawiona przez IBRiS byłaby także odpowiedzią na często stawiane przez ekspertów z niekłamanym zdziwieniem pytanie: jak to możliwe, że tzw. afery (czyli zmasowana negatywna propaganda, mająca służyć kompromitacji i wyborczemu wycięciu tego czy innego lidera wrogiego obozu) w zasadzie nie mają istotniejszego wpływu na przedwyborcze sondaże? Skoro bowiem wyborcy dwóch głównych partii są twardzi, a przepływy trudne i rzadkie, to nic dziwnego, że np. usilne i zażarte kampanie prowadzone przez TVP przeciw szefowi klubu PO Sławomirowi Neumannowi albo przez „Gazetę Wyborczą"

eprasa.pl a665b7dce2

JAK GŁOSUJĄ WIDZOWIE



DEKLAROWANE POPARCIE



Badania przeprowadzone przez IBRiS w dniach 24 sierpnia – 4 września 2019 r. na grupie 8000 pełnoletnich Polaków metodą telefonicznych standaryzowanych wywiadów kwestionariuszowych wspomaganych komputerowo (CATI).

przeciw ministrowi Zbigniewowi Ziobrze, skazane są na niepowodzenie. Albowiem partyjne media jednej bądź drugiej strony sporu mają nikłe (czy zgoła żadne) oddziaływanie na wyborców konkurencyjnych formacji.

Owszem, tego rodzaju negatywna propaganda nie jest całkiem bezowocna, bo oddziałuje na stan przedwyborczej mobilizacji obu stron. Czyli tego właśnie, co szef IBRiS uznaje za drugie, a w polskich warunkach kluczowe zadanie polityków w trakcie kampanii. Te same badania pokazują skądinąd, że np. kierowana przez prezesa Jacka Kurskiego TVP zwraca się niemal wyłącznie do wyborców PiS (80 proc. widzów „Wiadomości" to zwolennicy tej partii). Widać wyraźnie, że nasilenie politycznej propagandy tej stacji jest tak wielkie, że praktycznie odrzuca ono tych, którzy nie podzielają politycznej linii obecnego obozu władzy.

Jeśli więc w programach TVP prowadzona jest nawet najbardziej uporczywa kampania przeciw takiemu czy innemu liderowi Platformy, to jej wyłączną funkcją jest emocjonalna mobilizacja elektoratu PiS, aby ten ogarnięty zgrozą na myśl, jak straszni ludzie mogliby dorwać się do władzy w razie zwycięstwa opozycji, został w ten sposób „doprowadzony" (jak mówi Marcin Duma) 13 października do urn wyborczych. Podobną funkcję pełnią tego rodzaju kampanie prowadzone po drugiej stronie przez „Wyborczą" lub TVN, choć (co ciekawe) propaganda partyjna w wydaniu owej amerykańskiej stacji telewizyjnej musi być trochę mniej obcesowa niźli TVP, skoro – według badań – przewaga widzów „Faktów" będących zwolennikami PO nad tymi, którzy są za PiS, jest bardzo niewielka. Wygląda więc na to, że pisowców propaganda TVN a limine przynajmniej nie odrzuca.

WYLENIAŁY LEW

W pogłębionych badaniach jakościowych IBRiS interesujący jest również opis społecznej percepcji dwóch walczących ze sobą o władzę stron. Jak relacjonował Marcin Duma, dominującym symbolicznym wyobrażeniem Platformy jest lew, ale syty i wyleniały, podczas gdy PiS powszechnie przypisywane są władczość, sprawczość i spryt. Co więcej, tego rodzaju percepcja nie jest jakoś istotnie zależna od partyjnych wyborów, co znaczy, że na przekór naszej potocznej intuicji zwolennicy PiS i Platformy dość podobnie widzą obie formacje, choć z tego widzenia wyciągają skrajnie odmienne konsekwencje.

Tego rodzaju sytuacja wskazywałaby na to, iż taka percepcja obu partii jest jako tako „obiektywna", czyli że w debacie i oglądzie publicznym partie te jawią się takimi, jakie naprawdę są. Można przypuszczać, że w odniesieniu do Platformy wrażenie asekuranctwa albo nawet swoistego kunktatorstwa musiało się pogłębić w rezultacie nagłego virement niepopularnego, ale rzeczywistego partyjnego przywódcy, jakim jest Grzegorz Schetyna, na uśmiechniętą i miłą warszawską posłankę, o której jednak nikt w Polsce na serio nie sądzi, iż naprawdę będzie następnym premierem. Cokolwiek powiedzieć o piarowskich zaletach tej podmiany (znajdujących potwierdzenie w jednoznacznie pozytywnych sondażach), umacnia ona powszechne dziś po obu stronach przekonanie, iż ten lew nie rzuci się już na serio na żadną ofiarę, a tym samym rysowana przez Platformę perspektywa straszliwego i bezlitosnego

4/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2

odwetu na obecnej władzy za jej wszystkie przewiny definitywnie traci wszelką społeczną powagę.

Sam lider partii dodaje do tego zresztą ciągle nowe elementy: w Krynicy, prezentując plany PO, przepraszał publiczność za to, że zabiera jej czas, a zaraz potem w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" martwił się, czy kukizowcy po wyborach aby na pewno „pozostaną w opozycji, a nie pójdą na współpracę z PiS". To jasne, że z taką wolą walki jeszcze nikt w demokracji nie wygrał wyborów.

WŁADCZY SPRYCIARZE

Jakby dokładnie na odwrót, percepcja społeczna PiS nawiązuje do zuchwałości i mocy, czyli najbardziej klasycznego gatunku politycznej dzielności, podziwianej niegdyś przez Makiawela albo wielbionej półtora wieku temu przez kanclerza Bismarcka jako „Schneidigkeit", czyli „kategoryczna stanowczość", mająca wówczas być ideałem niemieckiej polityki. Jak podkreśla szef IBRiS, pewien rodzaj atencji dla tego rodzaju postawy w polityce wykazują nawet mocni zwolennicy opozycji. Nic dziwnego, bo jak dotąd strategia „wejdź oknem, jak cię wyrzucają za drzwi" (to metafora pochodząca z badań), przynosi obecnemu obozowi rządzącemu wyraźne polityczne sukcesy, a w każdym razie daje cały czas sporą demokratyczną przewagę nad przeciwnikami. Jest w tym także swego rodzaju uznanie za umiejętność wypracowania przez PiS reputacji władzy, która dotrzymuje zobowiązań.

> Dominującym symbolicznym wyobrażeniem PO jest lew, ale syty i wyleniały, podczas gdy PiS powszechnie przypisywane są władczość, sprawczość i spryt

Nawet zatem wtedy, gdy ktoś odczuwa niepokój o przyszłość kraju wobec lawinowo rosnących z roku na rok transferów socjalnych, to i tak w jakiś sposób imponuje mu to, iż obecna władza nie tylko z nadmiarem wypełniła swoje – wydawać by się mogło cztery lata temu – mocno populistyczne zobowiązania, ale na dodatek nie spowodowało to dotąd jakiegokolwiek kryzysu. A teraz, przed kolejnymi wyborami, znów ogłasza skokowe podwyżki płac i nowe wypłaty dla emerytów. I to właśnie ów władczy i sprawczy wizerunek PiS sprawia, że po obu stronach sporu nie ma nikogo, kto by teraz wątpił w wykonalność tych nowych, bardzo przecież ryzykownych planów.

Wiele lat temu Leszek Miller w przypływie pychy mówił, iż jak SLD obieca gruszki na wierzbie, to naprawdę one tam wyrosną. Paradoksalnie taki pogląd jest dziś szeroko rozpowszechnioną społeczną opinią na temat PiS.

REKLAMA



eprasa.pl a665b7dce2



Operacja Kidawa-Błońska

Grzegorz Schetyna wymyślił „genialny" plan na ostatnią prostą kampanii wyborczej. Ale ten wydawałoby się bezpieczny, a nawet asekuracyjny pomysł może się okazać gwoździem do trumny jego politycznej kariery



STANISŁAW JANECKI

Zaskoczę ich, będą musieli zmienić narrację, opinia publiczna zaciekawi się nowością i będzie dociekać przyczyn, a my staniemy się przedmiotem powszechnego zainteresowania, w dodatku pozytywnego – tak można streścić powierzchowne motywacje Grzegorza Schetyny, gdy wskazywał wicemarszałek (wcześniej marszałek) Sejmu Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na premiera rządu z udziałem Koalicji Obywatelskiej. Motywacje głębokie były konsultowane tylko z dwoma najbliższymi współpracownikami i nie zostały ujawnione, choć nie jest trudno je zrekonstruować. Wprawdzie przewodniczący Platformy Obywatelskiej od kilku tygodni śledził niekorzystne tendencje sondażowe dla swojego ugrupowania oraz opartej na nim koalicji (przede wszystkim te robione na wewnętrzne potrzeby), ale nie zamierzał rezygnować z bycia pierwszą twarzą i postacią opozycji.

Musiał jednak coś zrobić, najlepiej w duchu politycznego happeningu. Dlatego, wedle informacji z jego najbliższego otoczenia, pomysł z Małgorzatą Kidawą-Błońską narodził się zaledwie nieco ponad dobę przed jego ujawnieniem. Zaskakując tym samą kandydatkę na premiera oraz działaczy partii (koalicji). O tej niespodziance najpierw wiedziało tylko pięć osób w PO, w tym sama zainteresowana i pomysłodawca, a kilka godzin przed konwencją, czyli późną nocą, dowiedzieli się koalicyjni liderzy. Głębokie powody takiej decyzji nie były komunikowane wcale. A dalekosiężne skutki tej decyzji docierają do Grzegorza Schetyny dopiero obecnie i właściwie wyłącznie go niepokoją, żeby nie powiedzieć – przerażają.

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. Krzysztof Kaniewski/REPORTER

PLAN SCHETYNY

Powierzchowne przyczyny zagrania kartą Kidawa-Błońska są czysto marketingowe. Z jednej strony chodziło o granie nowością, kobiecością, biografią (prawnuczka prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i premiera Władysława Grabskiego, czyli polityków z demokratycznego okresu istnienia II Rzeczypospolitej), łagodnością, kulturą osobistą, warszawskością. Z drugiej taka decyzja miała pokazać Grzegorza Schetynę jako osobę zdolną do poświęcenia własnej kariery, rozsądną, w jakimś sensie szlachetną, otwartą i liczącą się z krytyką, świadomą negatywnego wizerunku oraz bardzo słabej pozycji w rankingach zaufania.

Oczywiście Grzegorz Schetyna nie jest masochistą i osobiście te wszystkie negatywne skojarzenia wyłącznie go irytują, upewniając w trwaniu wbrew opinii publicznej i części członków własnej partii, ale zupełnie czym innym są marketingowe konieczności, a czym innym ich ocena przez zainteresowanego. Co oznacza, że te wszystkie skojarzenia z altruizmem, mądrością i samokrytyką to kwestie wymuszone, na które Grzegorz Schetyna się godził, zgrzytając zębami. Ale uznał, że musi to zrobić z powodów dużo poważniejszych niż wizerunkowe czy marketingowe.

Wskazując na Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydata Koalicji Obywatelskiej na premiera, Schetyna przede wszystkim próbuje rozwiązać swoje problemy z przywództwem w partii i przyszłością w wielkiej polityce. Badania robione na wewnętrzne potrzeby PO były jeszcze bardziej niekorzystne dla jego partii (koalicji) niż oficjalne sondaże, dlatego przewodniczący PO uznał, że KO nie ma szans na przejęcie władzy. A jeśli jakiekolwiek, to najwcześniej w 2023 r. Skoro tak, to Schetyna nie mógł sobie pozwolić na to, by być jedynym odpowiedzialnym za wyborczą porażkę. I nie mógł być kandydatem na premiera, który automatycznie jest twarzą kampanii, ale też twarzą wyborczej porażki.

Kandydatura Małgorzaty Kidawy-Błońskiej została tak pomyślana, żeby mogła zrekompensować KO część strat wynikających z negatywnej oceny Grzegorza Schetyny, ale też jako zachęta dla lewicowego wyborcy, który popierał PO, gdy SLD słabł. I ten wyborca może znowu głosować na Sojusz, skoro jest on zwornikiem zjednoczonej lewicy i często stanowi alternatywę dla Koalicji Obywatelskiej. Małgorzata Kidawa-Błońska ma być argumentem za tym, żeby od PO i KO się nie odwracać, bo lewica może się z nią pod wieloma względami identyfikować. To nie jest błahy problem dla KO i samego Grzegorza Schetyny, gdyż zauważalna jest tendencja zyskiwania przez zjednoczoną lewicę poparcia niemal w takim samym wymiarze, w jakim traci je Koalicja. Choć zatem oddanie pola Małgorzacie Kidawie-Błońskiej sześć tygodni przed wyborami niewiele jest w stanie zmienić w przebiegu samej kampanii, może sprawić, że KO mniej straci na rzecz lewicy. A Grzegorzowi Schetynie stwarza szansę podzielenia się odpowiedzialnością za ewentualną porażkę, co dla niego i jego politycznych planów ma fundamentalne znaczenie. Jeśli taki atut nie zadziała, można będzie to tłumaczyć obiektywnymi procesami w społeczeństwie, którym przewodniczący PO nie mógł się przeciwstawić, ale przynajmniej zrobił wszystko, co się dało. I nie był głuchy na krytykę.

RATUNKOWY KANDYDAT

Obecnie dla Grzegorza Schetyny najważniejsze jest utrzymanie stanowiska szefa partii (jego kadencja kończy się w grudniu br.). Jako przegrany kandydat na premiera miałby o wiele trudniej, może nawet nie miałby żadnych szans na pozostanie szefem partii na kolejne cztery lata. Podczas pierwszej kadencji w roli szefa partii Grzegorz Schetyna rozprawił się z wewnętrzną opozycją, wyrzucając niektórych (np. Jacka Protasiewicza, Stefana Niesiołowskiego, Michała Kamińskiego, Stanisława Huskowskiego), wypychając innych (np. Marka Biernackiego czy Jacka Tomczaka) albo upokarzając (jak Bogdana Zdrojewskiego). Obsadził też praktycznie wszystkie ważne stanowiska w partii swoimi ludźmi. Czego nie udało mu się w partyjnych rozgrywkach, załatwił listami wyborczymi, gdzie tak przydzielał miejsca, żeby zminimalizować możliwość wejścia do Sejmu i Senatu osób jakkolwiek od niego niezależnych. Co oznacza, że kilka miesięcy przed wyborami przewodniczącego PO Grzegorz Schetyna maksymalnie się zabezpieczył wewnątrz partii.

W jakimś stopniu ograniczył także możliwość atakowania go po wyborach, przede wszystkim przez opozycyjne media, skoro usunął się niejako na ich życzenie w cień i zrealizował część postulatów płynących stamtąd. Ale w razie wyborczej porażki – choć zależnie od wielkości przegranej – i tak będzie krytykowany. Schetyna przygotował więc sobie alibi i będzie mógł się nim zasłaniać. Małgorzata Kidawa-Błońska jest dla przewodniczącego PO optymalną kandydatką dla odwrócenia uwagi od jego kłopotów i wydawała się najmniejszym zagrożeniem. Z tego powodu, że jest kobietą, że wcześniej nie brała udziału w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach i walkach frakcji, że nie ma żadnych własnych wyrazistych poglądów, ma słabą pozycję w aparacie partii, nie jest w Polsce powszechnie rozpoznawalna (około jednej czwartej

eprasa.pl a665b7dce2

ankietowanych nie wiedziało, kim jest) i będzie się miarkowała ze względu na „bagaż biograficzny", czyli na to, że jest prawnuczką prezydenta Stanisława Wojciechowskiego oraz premiera Władysława Grabskiego.

Fundamentalne znaczenie ma dla Grzegorza Schetyny zachowanie stanowiska szefa partii, zapewnienie jej maksymalnej reprezentacji w parlamencie, i to takiej reprezentacji, która nie będzie dążyć do rozliczenia przewodniczącego ani tym bardziej do prób jego zastąpienia. Schetyna chce w ten sposób powtórzyć metodę przetrwania w opozycji przez Jarosława Kaczyńskiego. Nawet kosztem zmniejszenia partii, ale takiego, które nie zaszkodzi jej efektywności w opozycji. W tym scenariuszu Małgorzata Kidawa-Błońska mogłaby odegrać rolę pomocniczki i wybawicielki od kłopotów, także tych związanych z niepewnym wynikiem Grzegorza Schetyny w Warszawie. Wprawdzie jakakolwiek jedynka KO w stolicy może liczyć na przyzwoity wynik, ale akurat Grzegorz Schetyna mógłby przegrać w bezpośredniej konfrontacji z Jarosławem Kaczyńskim, co dla jego planów walki o przywództwo w partii na kolejne cztery lata byłoby zabójcze.

Powrót do kandydowania we Wrocławiu zdejmuje ze Schetyny ryzyko porażki o dalekosiężnych skutkach, a z Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, w razie jej dobrego rezultatu, czyni (a raczej czyniło, gdyż obecnie szef PO ma już dodatkową wiedzę i doświadczenia) optymalną kandydatkę w wyborach na prezydenta RP. Optymalną z punktu widzenia epopei z niekończącym się powrotem Donalda Tuska do polskiej polityki, gdyż były premier raczej nie wystąpiłby przeciwko Małgorzacie Kidawie-Błońskiej ani nie wskazałby jej przeciwniczki, np. prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiewicz. Kandydatura Kidawy-Błońskiej nie wywołałaby też większych kontrowersji wewnątrz PO i KO ani tym bardziej otwartego buntu.

LIS W KURNIKU

Wskazując na Małgorzatę Kidawę-Błońską, przewodniczący PO nie przewidział jednak, że ona sama, popierająca ją tzw. warszawka oraz jego przeciwnicy w partii mogą uwierzyć w to, iż kandydatka na premiera może się też podjąć innych zadań. Grzegorz Schetyna był wyraźnie zaskoczony, gdy na partyjnej konwencji Małgorzata Kidawa-Błońska powiedziała, że wiele osób mu dziękuje za wskazanie właśnie jej. Było to bowiem otwarte stwierdzenie, że jest gotowa zastąpić szefa partii nie tylko w roli kandydata na premiera.

Schetyna powinien wiedzieć, że każda realna władza, a nawet jej perspektywa, zmienia ludzi. Osoby powściągliwe, skromne i bez większych politycznych ambicji nagle stają się pewne siebie i przestają dostrzegać własne ograniczenia. Tak też w ciągu kilkunastu godzin stało się z Małgorzatą Kidawą-Błońską. Czy Schetyna zapomniał, że warszawka oraz liberalno-lewicowe media zawsze traktowały go jak mniejsze zło, jako parweniusza i „lwowską żulię" (jak to w rozmowie z Janem Vincentem-Rostowskim wyraził Radosław Sikorski).

> Aż 44 proc. badanych chciałoby, żeby Małgorzata Kidawa-Błońska zastąpiła Grzegorza Schetynę na stanowisku przewodniczącego PO. Tego lider Koalicji Obywatelskiej na pewno się nie spodziewał

Małgorzata Kidawa-Błońska to zupełnie ktoś inny, wręcz esencja tego, co lubią warszawka, salon III RP oraz liberalno-lewicowe media. To dla nich krew z krwi. I zaraz po wskazaniu byłej marszałek Sejmu jako kandydatki na premiera zaczęło się jej otorbianie przez zastępy samozwańczych oraz delegowanych przez różne środowiska doradców, pomocników i apologetów. Doradzających, by skorzystała z okazji, tym bardziej że jest osobą mogącą uratować opozycję i Polskę. Odwołano się nawet do obowiązku kontynuowania dzieła pradziadków, czyli prezydenta Wojciechowskiego i premiera Grabskiego.

W takiej atmosferze nawet najbardziej odporne osoby nie są w stanie zapanować nad poczuciem historycznej misji oraz nad własnym ego i narcyzmem. Tym bardziej gdy słyszą dookoła, że tylko one mogą zbawić ojczyznę umęczoną przez rządy PiS. Grzegorz Schetyna takie przemiany ludzi wielokrotnie obserwował, jednak zaryzykował. Tyle że to ryzyko oznacza wpuszczenie lisa do kurnika, co jego przeciwnicy będą chcieli wykorzystać. Małgorzata Kidawa-Błońska nie ma wprawdzie żadnego zaplecza w partii, ale jeśli porażka KO będzie dotkliwa, a wynik kandydatki KO na premiera dobry, zaplecze może się szybko powiększyć i sprawić Schetynie kłopot. Tym większy, gdyby poparł ją Donald Tusk.

Nie trzeba było długo czekać na pierwsze sondaże nie tylko wskazujące, kto powinien być kandydatem opozycji na szefa rządu, ale też sprawdzające szanse kandydatów na przewodniczącego PO. W sondażu Pollster dla „Super Expressu" okazało się, że Kidawę-Błońską widzi jako kandydata na premiera 43 proc. ankietowanych, Schetynę zaś zaledwie 6 proc. Ale prawdziwym ciosem dla lidera PO jest to, że aż 44 proc. badanych chciałoby, żeby Kidawa-Błońska zastąpiła go na stanowisku przewodniczącego PO.

Okazuje się więc, że bardzo doświadczony polityk, jakim jest bez wątpienia były wicepremier i marszałek Sejmu, nie przeliczył kosztów swego „wistu" w Kidawę-Błońską albo popełnił w tych rachunkach katastrofalny błąd. Może się bowiem okazać, że próbując się zabezpieczyć przed utratą przywództwa w partii i podzielić odpowiedzialnością za spodziewaną porażkę wyborczą, nie zrealizuje żadnego z zakładanych celów. I że osoba, którą uważał za niegroźną, a wręcz przyjazną, może mu wbić nóż w plecy i pokrzyżować plany, których przez wiele lat nie był w stanie zniweczyć Donald Tusk. Dlatego Grzegorz Schetyna zaczął już żałować swego „genialnego" posunięcia i przygotowuje się do rozwalenia własnego projektu, gdyby ewoluował tak, jak w pierwszych dniach po jego ogłoszeniu.

42/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2

Forum Ekonomiczne w Krynicy: LNG pozwoli Polsce na uniezależnienie się od gazu z Rosji

Już w ubiegłym roku w Polsce udział gazu LNG w ogólnym miksie gazowym wyniósł 20 proc. Taki odsetek według analityków ma zostać osiągnięty w Europie w 2030 r. – powiedział Piotr Woźniak, prezes PGNiG, w trakcie debaty pod tytułem „Gaz dla Europy. Co oznacza rewolucja LNG"

Od dawna energetyka i surowce energetyczne są ważnymi tematami Forum Ekonomicznego w Krynicy. I tak było w tym roku, w trakcie XXIX Forum. Jednym z tematów był skroplony gaz (LNG) oraz to, jak zmieni on energetykę w Europie. Jak wynika z debaty pod tytułem „Gaz dla Europy. Co oznacza rewolucja LNG", da on Polsce i oszczędności, i zwiększy bezpieczeństwo energetyczne.

– Z szacunków analityków wynika, że w 2030 r. LNG będzie stanowić 20 proc. rynku gazu. U nas ten poziom został osiągnięty już w zeszłym roku, m.in. dzięki spadkowi importu ze Wschodu. Z tego kierunku importu rezygnujemy – nie podobają się nam warunki, na jakich gaz jest sprzedawany. Mamy kontrakt, który wywindował ceny i je usztywnił. LNG może konkurować z niesłychanie drogim gazem rosyjskim. LNG, które sprowadzamy, jest o 20–30 proc. tańsze niż gaz rosyjski – dodał Piotr Woźniak.

Wysokie ceny gazu z Rosji są dotkliwe zwłaszcza w okresie, kiedy rynkowe ceny gazu są niskie – a tak właśnie jest teraz.

– Obecnie mamy zły okres dla gazu w Europie, cena za megawatogodzinę spadła do ok. 8 euro, a więc do poziomu jeszcze nienotowanego. Dla nas jest to fatalna sytuacja, ponieważ mamy kontrakt rosyjski, ze sztywną ceną, z zapisem, że musimy zapłacić za gaz, nawet jeśli go nie weźmiemy. Oznacza to, że kupujemy ten gaz drogo, a sprzedajemy po cenie rynkowej – mówił prezes PGNiG.

Piotr Woźniak namawiał inne kraje do korzystania z LNG i do rozbudowy mocy przesyłowych, m.in. dlatego, że obecnie Europa Środkowa znajduje się w kleszczach rosyjskich gazociągów.

– Realizujemy nasz program 300+, co oznacza, że kolejne 300 gmin uzyska dostęp do gazu – powiedział Piotr Woźniak podczas innej debaty w trakcie XXIX Forum Ekonomicznego pod tytułem „Sprawiedliwa transformacja. Perspektywy energetyczne na następną dekadę".

Rozbudowa mocy przesyłowych jest ważna także dlatego, że w Polsce powstaje coraz więcej zakładów energetycznych nastawionych na produkcję prądu z gazu, tak jak w przypadku elektrowni w Grudziądzu i Stalowej Woli.





Wcale nie jestem odważny

eprasa.pl a665b7dce2



Nawet gdyby mój uniwersytet wyrzekł się mnie ustami swoich władz, to ja się go nie wyrzeknę. Tu pracował mój ojciec, tu kończył studia w 1950 r., z tą uczelnią jestem związany od 1986 r., czyli od ukończenia studiów. Nigdy nie szukałem łatwiejszego ani lepiej płatnego miejsca pracy. Byłem mu wierny

Z prof. Aleksandrem Nalaskowskim z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu rozmawia Dorota Łosiewicz

Został pan zawieszony w obowiązkach nauczyciela akademickiego na trzy miesiące za felieton krytykujący ideologię LGBT zatytułowany „Wędrowni gwałciciele". Ten tekst ukazał się pod koniec sierpnia w tygodniku „Sieci". Rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu prof. Andrzej Tretyn uznał, że mógł się pan dopuścić postępowania niegodnego nauczyciela akademickiego. Ma pan poczucie, że zachował się niegodnie?

Aleksander Nalaskowski: Wierzę, a przynajmniej próbuję wierzyć, że jest to sprawa między mną a moją uczelnią. To, że rzecznik prasowy uczelni poinformował lokalną gazetę dwa dni wcześniej, niż mnie o całej sprawie powiadomiono, uznaję za wpadkę. Coś na kształt niedociągnięcia. To jest mój uniwersytet, a ja jestem jego wychowankiem. Jestem z nim związany od ponad 40 lat. Jako pracownik naukowy tej uczelni nie mam sobie nic do zarzucenia. Nie znajduję takiego miejsca ani momentu, w którym zachowałbym się niegodnie. Przed chwilą przejrzałem anonimowe ankiety studentów dotyczące moich wykładów. Oceniało mnie 660 osób. W skali od 1 do 5 dostałem 4,6 pkt. To jest dla mnie wykładnia pracy nauczyciela akademickiego. Jestem zawsze przygotowany do wykładu, poświęcam na to sporo czasu. Nieprzygotowanie do wykładu czy nieuzasadnione jego nieodbycie byłoby zachowaniem niegodnym profesora. Rektor, któremu winien jestem posłuszeństwo i szacunek, podjął pewną decyzję. Precyzyjniej: podjął ją prorektor Andrzej Sokala. To jego podpis widnieje na dokumencie. Tej decyzji muszę się podporządkować. Zreformowane szkolnictwo wyższe nie pozwala zachować tej sytuacji w murach uczelni. Nie mogę się odwołać do rektora, prosić o rozmowę. Niestety muszę tę sprawę wynieść na zewnątrz, bo jedyną ścieżką prawną jest odwołanie do sądu pracy. Tak to wymyślił minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin. Mogę się komunikować z rektorem przez media – tu szlak wytyczył rzecznik prasowy uczelni – albo przez sąd. Nie mogę w rozmowie bezpośredniej poprosić rektora o zmianę jego decyzji. Ta sytuacja budzi moje zakłopotanie, bo to jest mój uniwersytet.

> Mam bezwzględny zakaz kontaktu ze studentami, prowadzenia badań naukowych, do których w przypadku humanisty należy również czytanie, a zatem zakazano mi tym samym wizyt w bibliotece uniwersyteckiej

Jak się pan poczuł, gdy się dowiedział o zawieszeniu?

Wielki smutek. Nawet gdyby mój uniwersytet wyrzekł się mnie ustami swoich władz, to ja się go nie wyrzeknę. Tu pracował mój ojciec, tu kończył studia w 1950 r., z tą uczelnią jestem związany od 1986 r. Nigdy nie szukałem łatwiejszego ani lepiej płatnego miejsca pracy. Byłem mu wierny. Mam wysokie oceny wykładów, bardzo dobre recenzje książek, jestem cytowany i nagle uznano, że przynoszę wstyd uczelni. Mam nadzieję, że ta sprawa jest do wyprostowania. Bardzo mnie boli, gdy widzę, że prześmiewczo przekręcane jest nazwisko mojego rektora. Nie chcę, by go obrażano. Został wybrany w demokratycznym trybie. Jestem mu winny szacunek i posłuszeństwo i oczywiście dostosuję się do tej dotkliwej kary, którą uważam za surową, tym bardziej że nie mam poczucia, bym na jakąkolwiek karę zasłużył.

A może pan po prostu nie został zrozumiany? „Gazeta Wyborcza" informowała: „profesor UMK w tygodniku »Sieci« nazwał osoby LGBT »gwałcicielami«. Został zawieszony na trzy miesiące". Tymczasem pan mówił o gwałcie na wartościach, korzeniach.

„Gazeta Wyborcza" ma problemy z rozumieniem metafor. Jednak trudno mi odpowiadać za to, czy „Gazeta Wyborcza" coś rozumie, czy czegoś nie rozumie.

Ale może władze uczelni też nie zrozumiały tej myśli?

Z jednego z pism, które do mnie dotarły, wnioskuję, że osoby, które mnie oceniały, opierały się na enuncjacjach prasowych i fragmentach mojego

Fot. Fratria

eprasa.pl a665b7dce2

felietonu, ale nikt nie czytał tego tekstu. Było im może o tyle trudniej, że tekst nie jest dostępny w internecie, co utrudnia weryfikację tego, co napisałem, a czego nie napisałem. Mam podejrzenie, że sporo osób, które coś mi zarzucają, nie zna tego tekstu w całości. W pierwszym akapicie, w dość mocnych słowach, zarysowałem obraz tego, co widziałem w Białymstoku. Widziałem tę obscenę. Nie mogłem obleśnych wytatuowanych, grubych bab zachowujących się jak w filmie porno nazwać szczupłymi, apetycznymi przyzwoicie zachowującymi się anorektyczkami. To był język felietonu, nie pracy naukowej, ale język opisujący rzeczywistość, którą widziałem. One się tam całowały, obściskiwały itd. To wszystko pod ochroną policji w dwustronnym szpalerze, a mnie, starszego pana, wypychano na trawę i w kałuże. A jakby tego mało, to policja mnie filmowała. A ja po prostu chciałem przejść.

To, o czym pan mówi, to pierwsza część felietonu. Tymczasem całość zmierza do smutnej konstatacji, że lubieżnie gwałcone są wartości-źródła, na których wyrosła pedagogika. Tego dotyczył felieton.

Zgadza się. I nie mogę na ten gwałt patrzyć spokojnie, ponieważ czuję się dziedzicem tradycyjnej pedagogiki opartej na filozofii, na logice. Jeżeli teraz próbuje się ingerować w prawa naturalne lub nawet je podważać, to jakże mam się zajmować naukowymi fanaberiami i subtelnościami, skoro podcina się korzenie nauki!

Obawiam się, że popełnia pan myślozbrodnię, nie idąc z „postępem".

Zgoda z postępem jest mi zupełnie obojętna. Ja chcę pozostawać w zgodzie z własnym sumieniem. Ono jest dla mnie wyznacznikiem. Jeśli moje sumienie mówi mi, że postępuję słusznie, to nie ma takiej siły, która mogłaby mnie zatrzymać. Nie ma takiego strachu, który by mnie sparaliżował. A boję się. Wcale nie jestem odważny.



Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Fot. Shutterstock

Skoro działa pan w zgodzie z sumieniem i zostaje za to ukarany, to może rzeczywiście coś jest nie tak z prawem do wolności sumienia i wypowiedzi?

> Liczę, że to jakieś koszmarne nieporozumienie, które uda się wyjaśnić. Ale mam wewnętrzny spokój, bo postąpiłem w zgodzie ze swoim sumieniem

Niech to oceniają ci, którzy widzą tę sytuację. Nie chcę tu wchodzić w ocenę decyzji rektora i wcześniej wytłumaczyłem dlaczego. Teoretycznie nie jest to kara, bo to ma być czas na wyjaśnienie. Jednak to jest kara, zostawiłem bowiem seminaria z rozgrzebanymi pracami magisterskimi, nie wolno mi się zajmować doktorantami, którzy piszą u mnie prace doktorskie. Mam bezwzględny zakaz kontaktu ze studentami, nie mogę ich wychowywać. Nie mogę brać udziału w gremiach akademickich, a także mam zakaz prowadzenia badań naukowych, do których w przypadku humanisty należy również czytanie, a zatem zakazano mi tym samym wizyt w bibliotece uniwersyteckiej. Nie ma jeszcze orzeczenia dyscyplinarnego, ale już czuję się jak zbrodniarz, jestem niebezpieczny dla uczelni i dla studentów.

Dostaje pan wyrazy wsparcia?

Wiele. Otrzymuję je zarówno od profesorów, jak i osób mniej utytułowanych. Martwi mnie np. egzamin poprawkowy. W związku z sytuacją musi zastąpić mnie dziekan, który prowadzi zupełnie inny przedmiot i ma teraz niewdzięczną rolę. A ja do Bożego Narodzenia nie mogę się nawet na uczelni pojawić. I nie wiem, co będzie dalej. Liczę, że to jakieś koszmarne nieporozumienie, które uda się wyjaśnić. Ale mam wewnętrzny spokój, bo postąpiłem w zgodzie ze swoim sumie-

56/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2

niem. I nie ma takich konsekwencji, których bym nie był gotów ponieść. Napisałem wiele książek. Znam zatem i rozumiem język polski. Rozumiem znaczenie słów, których użyłem. Pisałem z pełnym rozmysłem. Opisałem językiem felietonu obraz, który widziałem. A widziałem tęczowe Matki Boskie, tęczowe godło, waginy udające Hostię. Nie mogłem milczeć. Po prostu moja mama by się za mnie wstydziła.

Ma pan poczucie, że środowisko LGBT odniosło zwycięstwo?

W pewnym sensie tak, ponieważ ono domagało się właśnie takiego zachowania uczelni, oprotestowując mnie. Żądano zwolnienia mnie z pracy, co być może nastąpi. Wszystkie uczelnie przeżywają wzloty i upadki, chwile lepsze i gorsze. Być może teraz w ogóle jest trudny czas wyższych uczelni, dla samodzielnego myślenia, dla Nalaskowskiego. Ale przecież uniwersytet ma trwać. Dłużej klasztora niż przeora.

Wołał pan w felietonie do profesury o przebudzenie, ale chyba nie takie przebudzenie miał pan na myśli?

Apelowałem o krytyczne myślenie, o to, by się sprzeciwiać się ideologii LGBT, mieć odwagę się nie zgadzać. Mnie się te marsze nie podobają, moja godność akademicka nie pozwala tego tolerować. Profesura milczy. Jeden z dziekanów poparł mnie w formalnym liście do rektora. Dostaję słowa poparcia od profesury z całej Polski, ale to pojedyncze głosy. Moja uczelnia głośno milczy. Jedna z pań profesorek psychologii opublikowała protest, w którym zarzuca mi chamstwo. Jej prawo. Jednak zarzuca mi także nawoływanie do przemocy, którego tam nie było. Do buntu, do protestu owszem, ale nie do przemocy. Ta pani zarzuca mi wreszcie kłamstwo. A ja nie wiem, w którym miejscu tego tekstu miałbym kłamać. Zarzut kłamstwa należy udowodnić. Tymczasem moim zdaniem głośno powiedziałem prawdę.

O co tak naprawdę walczą działacze LGBT?

Walczą o pole łowne. O takie rozluźnienie trybów, by była większa otwartość na nieheteronormatywne kontakty. Żeby liczba kandydatów na partnerów mogła się zwiększyć. A jeśli ktoś staje na przeszkodzie, próbuje się go zmiażdżyć, pomimo haseł tolerancji wypisanych na transparentach. Kościół staje na przeszkodzie, to próbuje się go zniszczyć, Nalaskowski przeszkadza, to się go zawiesza.

Dlaczego środowiska, które teoretycznie walczą o tolerancję, są jej pozbawione?

Złodziej zawsze najgłośniej krzyczy: „Łapać złodzieja!". Odebrano nam już tęczę, odebrano nam pojęcie tolerancji, rozmyto miłość, próbuje się rozmyć pojęcie małżeństwa, seksualności. To proces, który ma źródła w nieokiełznanej cielesności, w chuci. O to tu chodzi.

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas



SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. Shutterstock

Wywracanie rodziny

Spór wokół rodziny ma rzeczywiście cywilizacyjny charakter i nie ma w nim miejsca na kompromis. Nawet jeśli przyjmiemy, że obie strony tego sporu mogą żyć obok siebie – w pewnym stopniu już tak się dzieje, zwłaszcza na Zachodzie – to i tak konfliktu między nimi nie da się uniknąć. Bo mamy do czynienia z całkowicie odmiennym zestawem pojęć i ich interpretacją



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Konwencja w Lublinie, w trakcie której PiS przedstawiło swój program na kolejną kadencję, całkowicie przesłoniła odbywające się zaledwie dzień wcześniej analogiczne spotkanie PO. Przesłoniła nawet nie tyle rozmachem (choć różnice były tu zauważalne gołym okiem), ile bardzo konkretną ofertą skierowaną do pracowników najemnych (podwyższenie pensji minimalnej), emerytów i rolników. Nic dziwnego, że opozycja natychmiast podjęła wysiłki, aby zdyskredytować ten zanadto widoczny sukces partii rządzącej.

WYRYWANIE Z KONTEKSTU

Początkowo próbowano krytykować zbyt – jakoby – bizantyjski styl konwencji PiS, pytano o koszty. Potem, gdy nie przyniosło to spodziewanych rezultatów, uchwycono się fragmentu wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego poświęconego rodzinie. Prezes PiS bowiem stwierdził, że uważa rodzinę za „komórkę społeczną o zupełnie fundamentalnym znaczeniu dla ciągłości pokoleń, dla przekazywania kultury, cywilizacji, dla trwałości większych wspólnot. Ale rodzinę widzimy tak jak tutaj. Jedna kobieta, jeden mężczyzna w stałym związku i ich dzieci. To jest rodzina!".

Ostatnie dwa zdania, wyrwane z szerszego kontekstu, rozpowszechniano potem jako kolejny dowód na niegodziwość Jarosława Kaczyńskiego. Sugerowano – a robili to czołowi politycy opozycji, tacy jak Bartłomiej Sienkiewicz czy Aleksandra Dulkiewicz – że prezes PiS, mówiąc o związku kobiety i mężczyzny, odrzuca rodziny rozbite, niepełne, krytykuje matki i ojców samotnie wychowujących dzieci, i tak już przecież ciężko doświadczonych przez los. Zastosowano tu podobną taktykę do tej, jaką wcześniej posłużono się w przypadku „gorszego sortu", gdzie również wyrwane z kontekstu dwa słowa przedstawiono – całkiem zresztą skutecznie – jako pogardliwą opinię Jarosława Kaczyńskiego na temat niechętnej mu części społeczeństwa. To celowe przekłamanie było i dotąd jest wykorzystywane jako usprawiedliwienie dla agresywnego języka sporej części opozycji: skoro Kaczyński nazwał nas „gorszym sortem", to teraz my odwdzięczymy się pisowcom „prymitywami" oraz „ordynarnymi ryjami".

Jednak tego godnego pożałowania „sukcesu" w brutalizacji debaty publicznej nie da się już tak łatwo powtórzyć. Nie tylko dlatego, że osiągamy na tym polu wyżyny, ale również dlatego, że obie strony sporu mają już jasne, ugruntowane zdanie o przeciwnej stronie i zgoła nic nie może go już chyba zmienić. Chodziło więc raczej o otumanienie tych wszystkich, którzy starają się nie angażować w bieżące konflikty polityczne. Tak aby osobiście zabolała ich rzekoma pogarda prezesa PiS wobec rozbitych rodzin. I aby – w związku z tym – oddali głos na opozycję, a jeśli nawet nie, to żeby przynajmniej pozostali w dniu wyborów w domach.

Opozycyjni spece od kampanii wyborczej popełniają jednak w swoich – wydawałoby się sprytnych posunięciach – jeden zasadniczy błąd. Otóż zakładają oni najwyraźniej, że polskie społeczeństwo składa się wyłącznie z durniów patentowanych. Bo chyba jedynie dureń nie byłby w stanie uchwycić, że mówiąc o rodzinie jako o związku kobiety i mężczyzny, prezes PiS nie uderzał w rodziny niepełne, lecz w ideologię LGBT. Nie powiedział przy tym zresztą niczego oburzającego ani niestosownego, taka właśnie definicja rodziny znajduje się przecież w obowiązującej Konstytucji RP. Tej samej

eprasa.pl a665b7dce2



konstytucji, o której łamanie opozycja oskarża partię rządzącą i w której obronie jej sympatycy zakładają charakterystyczne koszulki.

Sam Kaczyński odniósł się zresztą do tych zarzutów w wywiadzie dla radiowych „Sygnałów dnia", gdzie jeszcze raz wyjaśnił, że jego formacja jest „w pełni za szacunkiem dla kobiet – bo to są zwykle kobiety, ale zdarzają się i mężczyźni – którzy dzieci wychowują samotnie. Natomiast uważamy, że to, co jest fundamentem naszej cywilizacji, czyli ten trwały związek między mężczyzną a kobietą i dziećmi, które przychodzą z tego związku na świat, jest czymś niezwykle cennym i to właśnie w tym wymiarze cywilizacyjnym". Trzeba naprawdę ogromnie złej woli, aby interpretować te słowa jako zamach na osoby samotnie wychowujące dzieci.

DWA ŚWIATY

Nie ulega jednak wątpliwości, że wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego jest wymierzona w ideologię LGBT. Nie tyle w osoby homoseksualne, ile właśnie w ideologię, która dąży do reinterpretacji pojęcia rodziny, tak aby nowa definicja tego słowa objęła również związki jednopłciowe. Wszystko bowiem sprowadza się do języka. W tej chwili chyba większości z nas nie przyjdzie do głowy, aby – przykładowo – uznać zakochaną parę nastolatków za rodzinę. Jeśli jednak przyjmiemy, że głównym lub wręcz jedynym wyróżnikiem rodziny jest miłość dwojga ludzi, to dlaczego nie uznać dwójki licealistów trzymających się w parku za ręce za pełnoprawną rodzinę? Na tej samej zasadzie dlaczego nie mielibyśmy również uznać za rodzinę kochającej się pary homoseksualnej? Ale skoro już ją uznamy za rodzinę, to oczywistą konsekwencją powinno być przyznanie tej parze prawa do wychowania dzieci. Bo przecież wychowanie dzieci (bo już niekoniecznie posiadanie) jest naturalnym i niezbywalnym prawem każdej rodziny.

Trzeba mieć jednak świadomość, że takie rozszerzenie definicji rodziny, aby obejmowała każdy związek kochających się dwojga ludzi, musi ostatecznie doprowadzić do zatarcia się tego pojęcia i w rezultacie do unicestwienia rodziny. Jeżeli jeszcze przyjmiemy, że trwała rodzina jest fundamentem społeczeństwa, to kolejną konsekwencją może być jedynie jego rozpad.

Oczywiście ktoś może zapytać, czy para homoseksualna nie jest w stanie stworzyć trwałego związku

eprasa.pl a665b7dce2

i wychowywać dzieci? Z pewnością są trwałe pary jednopłciowe, jednak na przeszkodzie stoją tu biologia i kultura. Nie ma takiej technologii, nawet najbardziej nowoczesnej, która byłaby w stanie umożliwić poczęcie dziecka dwóm osobom tej samej płci. Zawsze musi znaleźć się dawca części materiału, komórki jajowej lub nasienia: a zatem kobieta lub mężczyzna. Zrodzone w ten sposób dziecko, pozbawione naturalnej matki lub ojca, traci część swojej tożsamości. Urodzone na zamówienie, bo przecież inaczej się nie dało, staje się tym samym częściowo uprzedmiotowione. Jest człowiekiem i zarazem produktem stworzonym w laboratorium oraz opłaconym niczym zakupy w sklepie. Jeżeli zredukujemy człowieka do takiej roli, to równocześnie zredukujemy wartość życia ludzkiego w ogóle. O możliwych następstwach tego stanu rzeczy lepiej nawet nie myśleć.

Może zatem adopcja? Tu pojawia się argument, że przecież lepiej będzie dziecku w kochającym domu niż w sierocińcu. Pewnie tak, ale pod warunkiem że nie będziemy wartościować kochających się związków i uznamy, że związki homoseksualne są równe heteroseksualnym. Bo tylko wtedy dzieci, zarówno te oddane w adopcję parom homoseksualnym, jak i te, które trafią do par heteroseksualnych, będą potraktowane równoprawnie. Żeby jednak tak się stało, musimy najpierw uznać pary homoseksualne za rodzinę. I dokładnie w tym miejscu wracamy do punktu wyjścia.

Nic więc dziwnego, że z konserwatywnego punktu widzenia nie może być mowy o redefinicji pojęcia rodziny. I że nie przypadkiem za rodzinę uznaje się tutaj trwały związek mężczyzny i kobiety. Ten spór ma rzeczywiście cywilizacyjny charakter, nie ma w nim miejsca na kompromis. Nawet jeśli przyjmiemy, że oba nurty mogą żyć obok siebie – w pewnym stopniu już tak się dzieje, zwłaszcza na Zachodzie – to i tak konfliktu nie da się uniknąć. Bo mamy do czynienia z całkowicie odmiennym zestawem pojęć i ich interpretacją.

UCIECZKA OD WOLNOŚCI

Rodzina jest nierozerwalnie związana z wolnością. Tworząc rodzinę, mamy wpływ na kształt społeczeństwa, w którym żyjemy – zarówno obecny, jak i przyszły. Sami z kolei czerpiemy z doświadczeń poprzednich pokoleń. Ten kulturowy aspekt rodziny ma kluczowe znaczenie, dlatego nie miłość dwojga osób jest najważniejszym wyróżnikiem rodziny, choć oczywiście jest ona, a przynajmniej powinna być, głównym spoiwem związku.

Zacierając pojęcie rodziny, tracimy zatem szeroko pojętą wolność i tożsamość. Nie przypadkiem totalitarny system komunistyczny, szczególnie w swojej pierwszej rewolucyjnej fazie, dążył do unicestwienia rodziny. Wkrótce po przejęciu władzy przez bolszewików w Rosji radykalnie zliberalizowano prawo, legalizując aborcję i dopuszczając rozwody. Rozwieść się można było listownie, wystarczyło, że jedno z małżonków, nawet nie powiadamiając o tym drugiego, wysłało do urzędu zawiadomienie o rozwodzie wraz z symboliczną opłatą skarbową. Wśród komsomolców (członków młodzieżowej przybudówki partii bolszewickiej) propagowano wolną miłość, a zrodzone z ich przelotnych związków dzieci – o ile ciąża nie została przerwana – często trafiały na „wychowanie państwa", czyli do sierocińców, nazwanych szumnie domami dziecka.

W ten sposób życie ludzkie traciło wartość, a społeczeństwo przekształcało się w łatwo sterowalną masę. W późniejszym okresie, już podczas dyktatury Stalina, ponownie zaostrzono przepisy, utrudniając rozwody i zakazując aborcji, ale było to skutkiem gwałtownego spadku dzietności, mniej dzieci oznaczało bowiem mniej rąk do pracy i mniej poborowych w wojsku. Rozwinięte reżimy totalitarne, takie jak Korea Północna, rozstrzygnęły ten problem, ustalając, że obywatele mają obowiązek rodzić dzieci i oddawać je państwu. Człowiek pozbawiony rodziny staje się bowiem niewolnikiem władzy.

Niewykluczone, że zmierzamy dziś – jako cywilizacja zachodnia – w analogicznym kierunku. Oczywiście nie chodzi o to, że przekształcimy się w północnokoreańską despotię. Chodzi raczej o to, że szukając wolności, coraz bardziej się od niej oddalamy. Wraz z zacieraniem się pojęcia rodziny, następuje proces niwelowania różnic między płciami, a w ślad za nim zanegowanie podziału na orientacje seksualne. Dziś jeszcze wielu z nas reaguje ironicznym uśmieszkiem na widok zniewieściałych mężczyzn, stukamy się w czoła, oglądając zdjęcia z pokazów mody, podczas których brodaci panowie kręcą biodrami, paradując w szpilkach i spódnicach. Jednak jest to proces oswajania nas ze zmianami cywilizacyjnymi.

> Czy będziemy czuć się bardziej wolni, gdy odrzucimy obecny model rodziny i zrzucimy z siebie wszelką odpowiedzialność, przekazując ją jakiejś zwierzchniej instancji?

Czy panowie i panie, uważający się za – w najlepszym razie – „niedookreślonych" płciowo, będą mogli stworzyć trwałe lub w ogóle jakiekolwiek rodziny? Czy będą mogli spłodzić potomstwo i je wychować? A może lepiej będzie zamówić dziecko w klinice, a potem ewentualnie, gdy zmienią się priorytety życiowe, oddać je na wychowanie państwu?

Czy w takim świecie macierzyństwo nie będzie uchodzić za wyjątkowo nieestetyczne, wręcz zwierzęce, a tradycyjny model rodziny za charakterystyczny dla nizin społecznych?

I czy wreszcie, zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność i przekazując ją jakiejś zwierzchniej instancji, będziemy się czuć dzięki temu bardziej wolni?

Oczywiście nikt z nas nie wie, jaka będzie przyszłość. Ale nie zwalnia nas to od myślenia o możliwych konsekwencjach naszych dzisiejszych wyborów.

eprasa.pl a665b7dce2



Tusk odwraca kota ogonem

Zamiast załatać dziurę w budżecie, uszczelniając VAT, bo wtedy można obniżyć podatki, inwestować, uruchamiać programy społeczne, rząd PO sięgnął do kieszeni Polaków

Z Marcinem Horałą, przewodniczącym sejmowej komisji śledczej ds. VAT, posłem PiS, rozmawia Edyta Hołdyńska

W raporcie końcowym z prac komisji śledczej ds. VAT rekomenduje pan postawienie przed Trybunał Stanu Donalda Tuska, Ewy Kopacz, Jacka Rostowskiego i Mateusza Szczurka. Czy wierzy pan, że tak się stanie?

Marcin Horała: Są do tego podstawy, ale tak naprawdę zależy to od wyborców. W Sejmie musi się znaleźć większość 3/5 posłów, którzy będą gotowi, żeby tak postawić sprawę.

Co konkretnie wskazuje na tę odpowiedzialność polityczną byłych premierów?

Poza odpowiedzialnością karną, bo kilka zawiadomień do prokuratury już złożyliśmy, jest odpowiedzialność konstytucyjna. Zachodzi w przypadku naruszenia obowiązków konstytucyjnych przez osobę, która pełni najwyższe funkcje w państwie. Do takich przypadków należy obowiązek Rady Ministrów dbania o bezpieczeństwo wewnętrzne państwa i ochronę interesów skarbu państwa. Jeżeli przez osiem lat zginęło z budżetu ok. 250 mld zł, a zjawisko to z roku na rok narastało, to jest to skala, która zagraża bezpieczeństwu ekonomicznemu państwa i krytycznie narusza interes skarbu państwa. Do osądzania takich przewinień został powołany Trybunał Stanu.

250 mld zł to jest górna granica szacunków, jeżeli chodzi o lukę VAT-owską. Pańscy oponenci polityczni, w tym Donald Tusk, twierdzą, że luka nie wyniosła aż tyle. Kiedy były premier stanął przed komisją śledczą, mówił o tym, że za PiS luka także jest ogromna. Jedna strona podaje kwoty, druga wartości procentowe. Zgadza się pan, że luka w VAT to problem ponadpolityczny?

Luka w VAT jest zawsze. Jakaś jej część ma przyczyny legalne, np. bankructwa czy pomyłki. Również

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a665b7dce2

oszustwa podatkowe będą się zdarzały, bo taka jest natura człowieka. Pytanie, co rząd robi, by temu przeciwdziałać. Od łącznego szacunku ważniejsza jest dynamika. Luka w 2007 r. była nieduża, a potem dynamicznie rosła. Najwięcej o tym zjawisku mówią nam dane procentowe – ile procent z tego, co powinno wpłynąć z VAT, nie wpłynęło do budżetu. W latach 2007–2015, według szacunków, ta wartość wzrosła od ok. 8 proc. do 25–27 proc. Tak więc za rządów Platformy luka wielokrotnie wrosła, a za rządów PiS maleje. PO używa różnych statystycznych sztuczek, żeby to zamazać. Podaje np. średnią arytmetyczną za całe osiem lat swoich rządów. A przecież odziedziczyła niską lukę i psucie tego stanu zajęło kilka lat. Do średniej wchodzą też lata, kiedy luka rosła, ale nie osiągnęła jeszcze rekordowego poziomu. PO zaniża średnią. Z kolei PiS odziedziczył rekordową lukę i zaczął ją zmniejszać. Średnia z pierwszych lat naszych rządów będzie więc jeszcze dość wysoka, ale będzie z roku na rok malała.

Komisja śledcza rzeczywiście wskazuje w raporcie, że w 2009 r. kierownictwo resortu finansów miało wiedzę na temat skali nadużyć podatkowych, konkretnie w obrocie produktami elektronicznymi, ale też o środkach prawnych przeciwdziałających rzeczonym nieprawidłowościom. Jednak kiedy Donald Tusk był pytany m.in. o raporty PwC czy artykuły w prasie z tamtego okresu, mówił, że to publicystyka. Nie było twardych danych?

To odwracanie kota ogonem. To nigdy nie będzie twarda matematyka, bo luki nie da się obliczyć co do złotówki. Chociażby dlatego, że grupy przestępcze nie prowadzą księgowości, którą można potem zebrać i podliczyć. To jest tak, jakby ktoś powiedział: tak, ukradziono samochód, ale jeden rzeczoznawca mówi, że jego wartość to 60 tys., a drugi, że 62 tys. zł. A więc skoro nie mamy twardych danych, tylko publicystkę, to nie możemy mieć pewności, że doszło do kradzieży. Tak samo z VAT. Szacunki będą się nieco różnić, ale są miarodajne. Pierwszy raport był zamówiony przez Komisję Europejską w 2009 r., kolejny w 2012, później były następne. Z początku Polska wyglądała jeszcze nieźle, bo startowała z bardzo dobrego poziomu, ale widać było postępujące pogorszenie.

Co się w zasadzie wówczas wydarzyło? Dlaczego nikt nie zauważył, że powstają firmy słupy wystawiające faktury opiewające na setki tysięcy złotych, czekają na zwrot VAT i zwijają interes?

Na lukę składają się trzy strefy. Biała, szara i czarna. Biała strefa powstaje legalnie, to bankructwa, legalna optymalizacja podatkowa i pomyłki przedsiębiorców. Szara strefa to „zwykłe" oszustwa podatkowe, np. niewystawianie faktur na część swojego obrotu po to, żeby zapłacić mniej. I strefa czarna, czyli wyspecjalizowane grupy przestępcze, które nie prowadzą żadnej działalności gospodarczej, tylko okradają budżet. Podstawowy model wyglądał następująco. Na początku firma wystawia fakturę z dużą należnością z tytułu VAT i nie dokonuje rzeczywistej wpłaty do urzędu skarbowego. Potem następuje obrót w gąszczu firm na niewielkiej marży i one odprowadzają ów minimalny VAT. Na końcu jest firma, która uzyskuje prawo do zwrotu, bo np. dokonuje dostawy do innego kraju unijnego. Urząd skarbowy wypłaca więc żywą gotówkę, „zwracając" podatek, który w lwiej części nie był w rzeczywistości nigdy zapłacony. A więc przestępcy kradną z budżetu żywą gotówkę.

Jak to było możliwe, że obowiązujące wówczas przepisy pozwalały na to, że powstał w Polsce raj dla oszustów?

Po pierwsze, wmontowano kilka ułatwień do prawa podatkowego, które były przedstawiane jako ułatwienia dla przedsiębiorców. Stanowiły de facto drobną ulgę dla firm i ogromną furtkę dla oszustów podatkowych. To chociażby prawo dla nowo rejestrowanych film do kwartalnego rozliczania VAT. Powstawała firma zarejestrowana na „słupa" i trudniła się wyłudzeniami, a dopiero po kwartale miał nastąpić jej pierwszy kontakt ze skarbówką. Realnie po pięciu, sześciu miesiącach do firmy wchodziła kontrola. Gotówka była już wówczas dawno wyprowadzona, a jedynym złapanym był „słup", czyli np. bezdomny bez majątku. Po drugie, całkowicie zabrakło systemowego działania uszczelniającego. Po trzecie, uszczelnienia punktowe były opieszałe, fragmentaryczne i dziurawe. Np. na poszczególne grupy towarów wprowadzano odwrócony VAT. To jest narzędzie bardzo ułomne. Wprowadzane na jedną grupę towarów powodowało, że przestępcy przenosili się na inną. To pomagało tylko danej branży, ale nie łatało dziury w budżecie. Wyłudzenia przenosiły się kolejno na złom, pręty stalowe, elektronikę, paliwa. To było gonienie króliczka, tak żeby go nie złapać. Rozmontowano też system ścigania przestępstw gospodarczych. W wytycznych premier nie zadaniował CBA. Zlikwidowano departament ochrony bezpieczeństwa ekonomicznego państwa ABW, który został połączony ze zwalczaniem terroryzmu i kontrwywiadem.

Nie było też odpowiedzialności karnej za przestępstwa skarbowe. Obowiązywały jedynie kary grzywny. Całkowicie niewspółmierne do skali wyłudzeń podatku. Dlaczego?

Artykuł 8 Kodeksu karnego skarbowego mówi wprost: jeśli jakiś czyn spełnia przesłanki Kodeksu karnego skarbowego i przepisów karnych innych ustaw, to należy stosować tzw. zbieg idealny. Czyli np. za zafałszowanie faktury zasądza się karę z KKS, ale też jest odpowiedzialność z Kodeksu karnego za fałszowanie dokumentu.

Tymczasem Sąd Najwyższy w dwóch orzeczeniach przychylił się do teorii, że w takim wypadku przepisy KKS są prawem specjalnym, które uchyla prawo ogólne. Zatem należy stosować wyłącznie przepisy karne skarbowe, skutkujące wyraźnie niższymi karami. Swoją cegiełkę dołożył prokurator Parchimowicz, obecnie szef stowarzyszenia prokuratorów, który uważa się za zwalczanego przez reżim PiS. On był wówczas naczelnikiem wydziału przestępczości gospodarczej Prokuratury Krajowej. I to on napisał do prokuratur w całym kraju, żeby szczególnie zwrócić uwagę na owe orzeczenia SN. Przez okres kilku

eprasa.pl a665b7dce2

lat realna kara za wyłudzanie podatków to była grzywna albo więzienie w zawieszeniu. Niewielki procent przestępców złapanych na wyłudzeniu podatków dostawał karę więzienia bez zawieszenia. Dla kogoś, kto na działalności przestępczej zarabia miliony, kara więzienia w zawieszeniu lub grzywny jest śmieszna.

W wyniku prac komisji śledczej złożono kilka wniosków do prokuratury. Ta rozpatrzy działania Sławomira Nowaka, Mateusza Szczurka, Jacka Rostowskiego, Jacka Kapicy, Andrzeja Parafianowicza i Macieja Grabowskiego. Co komisja im zarzuca?

Pierwszy z wniosków dotyczy dziwnego trybu przyjmowania nowelizacji ustawy o VAT w 2008 r. Była seria dziwnych, nieformalnych spotkań i rozmów, które organizował minister Nowak. I wydawał potem polecenia pracownikom resortu finansów. Tam działała Renata Hayder, osoba powiązana z firmą doradczą EY. W ministerstwie zachował się e-mail, gdzie pani Hayder z adresu w domenie EY pisze do pracownika ministerstwa w tonie oznajmującym i przedstawia propozycje resortu finansów w kwestii podatków. Minister Rostowski wprowadził tę panią do resortu bez żadnych podstaw prawnych.

To ujawniła w zeznaniach przed komisją Elżbieta Chojna-Duch. Jej słowa wstrząsnęły opinią publiczną, bo pokazały, w jaki sposób działał resort od środka. Czy to właśnie tam należy szukać odpowiedzialności za wyciek podatków? Wśród pracowników resortu czy ich szefów, którzy w pewnym momencie zaniechali zmian uszczelniających podatek VAT? Kogo pan obwinia?

W rozumieniu potocznym winę ponoszą oni wszyscy. Natomiast czym innym jest odpowiedzialność karna i konstytucyjna. Przykładowo były premier, szef największej formacji politycznej, od którego decyzji zależało, jakie ustawy będą przyjmowane i w jakim kierunku idą zmiany, ponosi odpowiedzialność konstytucyjną za zabezpieczenie interesu państwa. Odpowiedzialność karna może być stosowana za przestępstwo niedopełnienia obowiązków lub przekroczenia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego. Tu możemy mówić o konkretnych działaniach lub zaniechaniach. Przykładowo w 2015 r. przygotowano w resorcie finansów propozycje do ustawy uszczelniającej VAT i osobistą decyzją ministra Szczurka ta inicjatywa została zablokowana. Zachowała się potwierdzająca to notatka – stąd jedno z zawiadomień, które skierowaliśmy do prokuratury.

> Jacek Rostowski w toku przesłuchań przyznał, że nie zna się na podatkach. Byłem w szoku, bo myślałem, że wiedzę techniczną o finansach ma

To jaki cel miała PO, nie dotykając tej sprawy?

To jest zagadka, którą nie do końca udało się rozwikłać. Racjonalnie rzecz biorąc, we własnym interesie politycznym każdemu zależy na tym, żeby załatać dziurę w budżecie, bo wtedy można obniżyć podatki, inwestować, uruchamiać programy społeczne. Jeżeli na stole leży sposób na to, żeby zebrać pieniądze do budżetu, który na dodatek sam w sobie jest popularny, bo ludzie popierają ściganie przestępców, to nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobiono. Zamiast tego sięgnięto do kieszeni Polaków poprzez podwyżkę głównej stawki VAT, podwyższenie wieku emerytalnego. Musielibyśmy się cofnąć w czasie i założyć politykom podsłuchy, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak postąpili. To niewykonalne.

To indolencja czy zła wola?

Niektórzy wykazali się po prostu niekompetencją. Były minister Jacek Rostowski w toku przesłuchań przyznał, że nie zna się na podatkach i w ogóle nie kojarzy unijnej dyrektywy VAT-owskiej. W pewnym momencie zaczął mówić o udziale samorządów w podatku VAT, co jest bzdurą. Byłem w szoku, bo nawet jeśli go krytykowałem, to myślałem, że wiedzę techniczną o finansach ma. Niektórzy byli też zaślepieni ideologią lumpenliberalizmu, wypaczoną do twierdzenia, że właściwie zawsze im mniej pieniędzy w budżecie, tym lepiej (nawet jakby to znaczyło, że budżet jest okradany). Z pewnością nie można też wykluczyć złej woli.

PO zarzuca PiS głosowanie przeciw wprowadzeniu odwróconego podatku VAT. Dlaczego partia tak głosowała?

Ustawy PO wchodziły w życie bez względu na to, jak głosowało PiS. Nie byłem wówczas posłem, ale jestem w stanie zrozumieć moich kolegów. Jeżeli są proponowane rozwiązania, które z grubsza idą w dobrym kierunku, ale z drugiej strony są spóźnione, fragmentaryczne, dziurawe i nie rozwiązują podstawowego problemu, to właściwie nie ma dobrego sposobu głosowania.

Jest pan zadowolony z prac komisji? Czy miała ona dość czasu, żeby wszystko zbadać? Raport jest opasły, są wnioski i rekomendacje, ale czy to nie pretekst do urządzenia polowania na polityków PO, jak sami mówią?

Zarzucanie komisji sejmowej, że jest polityczna, jest dziwne. Komisje ze swej istoty są polityczne, są bowiem organem Sejmu. Sformułowaliśmy wnioski w zakresie odpowiedzialności konstytucyjnej i karnej. Był czas na pokazanie ludziom mechanizmów i przeanalizowanie, jak się to wszystko działo. Nasze zadanie zostało wykonane, reszta zależy od Sejmu przyszłej kadencji. To on będzie decydował o stawianiu przed Trybunałem Stanu, o kierowaniu spraw do prokuratury i sądów.

eprasa.pl a665b7dce2

Walka o czyste powietrze może być prawicowa

Państwo dobrobytu to również państwo o dobrym powietrzu. Co z tego, że doganiamy gospodarczo Niemcy czy Francję, skoro oddychamy zanieczyszczeniami? Musimy to zmienić. I zmieniamy – mówi Piotr Woźny, pełnomocnik premiera ds. programu Czyste powietrze, prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Przychodzę do gabinetu ministra, który ma walczyć o czyste powietrze, a nawet u pana na półkach bryłki węgla...

Piotr Woźny: (śmiech) To prezent od moich przyjaciół z województwa śląskiego, z departamentu ochrony powietrza. Wszystko po to, by pamiętać, jak ważne jest to, którym węglem można palić, a którym nie.

Świetnie się składa, czas kupowania opału na zimę powoli się zaczyna. Którym węglem możemy palić?

Ten, który jest pyłem albo miałem, nie powinien trafiać do pieców. Po rozmowach z naukowcami i ekspertami, po wielu lekturach i badaniach, nie mam wątpliwości, że jeśli palimy węglem, to musi być on grubszy, w postaci brył.

Ale miał jest tańszy.

Obserwuję ceny węgla i dzisiejsza sytuacja powinna sprawić, że dobry węgiel na zimę kupimy stosunkowo tanio. Poza tym grubszy węgiel, niewyrzucający w powietrze całego tego zanieczyszczenia, jest bardziej kaloryczny, lepiej trzyma ciepło, a co za tym idzie – jest bardziej opłacalny z punktu widzenia domowego budżetu. Weryfikujemy dziś efekty tego, co robiliśmy przez ostatnie półtora roku, jak choćby wprowadzane normy jakości węgla. To będzie pierwszy pełen sezon grzewczy, gdy te normy będą obowiązywać. Chodzi o ochronę wszystkich nas – byśmy się po prostu nie truli.

Wszystko pięknie, ale jak jako klient mam rozróżnić jakość węgla?

Sprzedawcy będą musieli wydawać klientom świadectwa jakości węgla. Każdy z czytelników „Sieci" ma prawo zażądać takiego dokumentu przy zakupie.

Mogą nas oszukać.

Inspekcja handlowa ma kompetencje, pieniądze i narzędzia, by działać. W ub.r. odbyło się 700 kontroli, teraz będzie podobnie. Jednak jakość węgla to tylko jeden aspekt problemu – musimy powiedzieć o piecach, które mamy w domach. Trudno sobie to wyobrazić, ale przez lata w Polsce nie obowiązywały jakiekolwiek przepisy co do parametrów takich pieców.

Można było palić wszystkim?

Można było dorwać sześć kawałków blachy, spawarkę i sklecić kocioł na paliwo stałe. Tak to wyglądało jeszcze do niedawna. Efekt? Po Polsce rozlały się kotły, w których palone są śmieci i najgorszej jakości paliwa. Chcemy to zmienić.

Jak?

Wprowadzając przepisy jakościowe, które sprawią, że kupując piec, będziemy mieli pewność, że ta maszyna jest w porządku.

Pan to mówi z perspektywy warszawskiego biurka, a taki piec kosztuje. Jego wymiana także.

Dlatego to operacja na wielką skalę, rozłożona na lata. Z jednej strony wprowadzamy przepisy w interesie konsumentów, ale są one opakowane kilkoma udogodnieniami. Dla osób, które płacą podatek od osób fizycznych, mamy ulgę do 53 tys. zł – na kupno nowego kotła, fotowoltaikę etc. Możemy tę ulgę rozpisać sobie na sześć lat.

Tyle wystarczy?

Tak. To jasne, że ceny podlegają wahaniom, ale to kwota, którą z ekspertami Banku Światowego i Komisji Europejskiej zdefiniowaliśmy jako podstawę do tego, by udało się wymienić piec i ocieplić dom – może nie w rewelacyjnym,



eprasa



ale dobrym standardzie. Druga sprawa to program Czyste powietrze. Tutaj wysokość dotacji uzależniona jest od wysokości dochodu na członka rodziny.

I znowu – wszystko brzmi dobrze, ale jest wielu Polaków – często są to starsze osoby – którzy nie skorzystają z ulgi, nie złożą wniosku.

Musimy im pomóc. Stąd wielkie zadanie i pieniądze – gminy muszą się nauczyć zajmować osobami, które są dotknięte problemem ubóstwa energetycznego – pracownicy MOPS powinni do nich dotrzeć, bo to one są narażone na oszustwa i wydają sporo. Dla nich proponujemy dofinansowanie na poziomie nawet 100 proc. (70 proc. zapłaci rząd, pozostałe 30 samorząd).

A może to wszystko to jakaś lewacka fanaberia? Przez lata paliliśmy, czym chcieliśmy i jakoś szło.

Wystarczy spojrzeć na dane Światowej Organizacji Zdrowia – spośród 50 miast z najgorszym powietrzem w 2016 r. mieliśmy tam 33 polskich reprezentantów, a w 2018 r. aż 36! Rozmawiam ze środowiskiem lekarzy, pulmonologów, pediatrów – dane są zatrważające, poziom szkodliwych pyłów, benzoalfapirenu, jest wielki. Nie mamy już czasu, by zwlekać z działaniem, bagatelizować – nie, nie jest za pięć dwunasta, ale parę minut po.

Kiedy się to zmieni?

Mam wariant optymistyczny i pesymistyczny.

Poproszę drugi, pewnie bardziej realny.

To perspektywa roku 2027, może 2028. Ta data jest nieprzypadkowa, mamy bowiem z tyłu głowy nową perspektywę unijną właśnie na lata 2021–2027. Mam nadzieję, że do jej końca – łącząc środki krajowe i unijne – będziemy w stanie wyjść na prostą.

O jakich pieniądzach mówimy?

To zawsze jakieś szacunki ekspertów, ale Bank Światowy wskazuje, że ocieplenie i wymiana kotłów w Polsce to jakieś 150 mld zł.

Olbrzymie pieniądze.

Tak, ale dużo możemy zrobić, tworząc właściwe regulacje prawne. Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na tych, którzy wymagają pomocy, dać 100 proc. dofinansowania, bo sami sobie z tym nie poradzą.

Może sobie poradzą.

Dobrym przykładem miasta z problemem czystości powietrza jest Józefów – mieszanka bardzo bogatych, ale i ubogich mieszkańców. A przy okazji nadreprezentacja fanów Janusza Korwin-Mikkego – rozmawiam z nimi i nagle się okazuje, że w tym przypadku stają się zwolennikami interwencji państwa (śmiech). Musimy mieć na uwadze, że obok ubogich jest też masa majętnych ludzi, których musimy...

Zachęcić czy przymusić?

Jedno i drugie. Mamy też inne narzędzia: jak choćby przy budowie nowych domów, których co roku powstaje ok. 80 tys. Jestem zwolennikiem ostrych, precyzyjnych restrykcji, by te nowe domy nie powiększały nam skali problemu.

A jest z nimi problem?

Jesteśmy w Polsce mistrzami tworzenia regulacji z niedokręconymi śrubkami. W prawie budowlanym mamy sytuację, w której idąc z wnioskiem o budowę, muszę powiedzieć, jakie będę miał źródło ciepła. Inwestor pokazuje na papierze, że wszystko jest eko, po czym dokonuje nieistotnej zmiany w projekcie budowlanym, zmieniając sposób ogrzewania i nie musi pokazywać tego urzędnikowi.

Zmieńcie to.

Nowelizacja prawa budowlanego to sprawa, mam nadzieję, jeszcze tej kadencji, trzymam kciuki za ministra Artura Sobonia.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a665b7dce2



Przez lata skupiliśmy się w Polsce na gonieniu Zachodu, na ciężkiej pracy. Czas pomyśleć również o innych obszarach tej gonitwy

Fot. Andrzej Wiktor

Wracam do tezy, że troska o czyste powietrze nie jest domeną prawicy.

Zanim o tym, to trzeba wskazać, że problem istnieje od dłuższego czasu – od lat łamiemy unijne przepisy co do standardu i jakości powietrza. Warto przypomnieć, że wyrok TSUE mówi, że w latach 2007–2015 Polska nie stworzyła systemu...

...i znowu te osiem lat.

Tak zadekretował Trybunał Sprawiedliwości (śmiech). Fakt faktem, że wówczas nie zrobiono nic – żadnych regulacji co do paliw, żadnych co do kotłów, walka ze smogiem była odłożona na margines. Mieliśmy pilotaże, które bez twardej podstawy w prawie były przestrzelone finansowo.

W dyskusji politycznej pojawia się też czasem apel: rezygnujmy z węgla!

Cieszę się, że klasa polityczna w latach 2015–2019 przeszła gigantyczną lekcję, przez co znacząco podniósł się poziom wiedzy co do ekologii czy ochrony środowiska. Debata o węglu jest jednak polityczna – uczestnicy dyskusji celowo posługują się sloganami, nie wchodząc na poziom konkretu.

To zejdźmy na moment.

Czym innym jest palenie węgla w dużych instalacjach przemysłowych, a innym palenie w domach. Polska energetyka zawodowa jest oparta w 80 proc. na węglu – to fakt.

Faktem jest też, że musimy zejść z tego poziomu.

Tak, bo mamy podatek emisyjny w UE, zaczniemy płacić za CO_2 jak za zboże.

Dyskusje co do tego CO_2 i wpływu człowieka trwają.

Zostawiam to naukowcom, ekspertom ONZ czy kolejnym konferencjom klimatycznym. Człowiek ma wpływ na środowisko i powinniśmy robić wiele, by je szanować, by nasze dzieci czy wnuki mogły nadal korzystać z dóbr Ziemi. Nie mam wątpliwości, że wspomniany podatek jest narzędziem polityki energetycznej najsilniejszych państw UE – Niemiec czy Francji. Ale jeśli chcemy zadekretować koniec węgla, to trzeba odpowiedzieć: co w zamian dla 3,5 mln gospodarstw domowych? Co w zamian dla przemysłu państwowego? Trzeba wskazać źródła energii, które zastąpią elektrownie na węgiel.

Trochę umyka pan z tą oceną połączenia prawicy i troski o czyste powietrze czy szerzej – o ekologię.

Może dlatego, że nie jestem politykiem i nie mam takich ambicji, ale obóz Zjednoczonej Prawicy jest bardzo chłonny w tym zakresie. Chodziłem w 2017 r. z prezentacją na temat smogu do najważniejszych polityków.

Nie patrzyli na pana jak na kosmitę?

Racjonalni politycy bardzo szybko rozumieją, że każda złotówka wydana na walkę ze smogiem jest inwestowana zarazem w poprawę ochrony zdrowia, jakości energetycznej naszych domów (a co za tym idzie – mniej za tę energię płacimy), zmniejszamy emisję CO_2, wreszcie – docieramy do ubogich energetycznie, przekierowując odpowiednie wsparcie.

I pan mówi to politykom PiS, a oni?

Dane, które pokazałem, argumenty, o których mówiliśmy, trafiły do nich. Porównanie jakości powietrza, jakim oddycha Polak, z tym, którym oddycha Niemiec czy Francuz, zrobiło wielkie wrażenie. Przez lata skupiliśmy się w Polsce na gonieniu Zachodu, na ciężkiej pracy, czas pomyśleć również o innych obszarach tej gonitwy.

Wychodzi na to, że troska o czyste powietrze śmiało może być prawicowa.

Pewnie. To kwestia komfortu życia. Państwo dobrobytu to również państwo o dobrym powietrzu. Co z tego, że doganiamy gospodarczo Niemcy czy Francję, skoro oddychamy zanieczyszczeniami? Musimy to zmienić. I zmieniamy.

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. Materiały prasowe

Tabloid na srebrnym ekranie

Patryk Vega chwali się publicznie, że od kilkunastu lat nie ma telewizora i nie czyta gazet. Być może dlatego, kręcąc „Politykę", łyknął bez żadnej refleksji scenariusz, który jest wykrzywioną, tabloidową wersją, przepuszczoną przez sito wyobrażenia małego Jasia o mechanizmach władzy



ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

Ze skruchą muszę przyznać, iż nie widziałam żadnego filmu Patryka Vegi. I myślałam, że umrę w błogiej nieświadomości ogromu jego talentu, gdyby nie to, że redakcja „Sieci" uprzejmie poprosiła (to eufemizm), bym się udała do kina i obejrzała film „Polityka" oraz napisała, co o nim myślę.

WRAŻENIE DÉJÀ VU

Nie jestem krytykiem filmowym, ale już w czerwcu, po pierwszym marketingowym wiście Vegi, który w wywiadzie ujawnił swoje zamiary obalenia pisowskiego reżimu („komunikowano mi wprost, że ten film uderzy w określone frakcje polityczne i może mieć wpływ na wynik wyborów, dlatego namawiano mnie do przesunięcia premiery na po wyborach i składano różne intratne propozycje") i jego opowieściach o pełnej konspiracji przy tworzeniu tego dzieła oraz próbach wykradzenia scenariusza, obśmiałam to mocno, porównując reżysera Vegę do mojego ulubionego agenta Bonda. Agent Jej Królewskiej Mości nie z takimi dyktaturami sobie radził, to może i reżyserowi Vedze to się uda.

No i się nie udało, co zresztą przewidziałam. Nie dałam się nabrać na prowadzoną – muszę przyznać, że z wielkim rozmachem oraz znajomością socjotechniki i marketingu – akcję propagandową, nie drżałam z obawy, że film Vegi może mieć wpływ na wynik wyborów, jak zapowiadał, ani nie cieszyłam się z tego powodu. Czasy, gdy film był „ze wszystkich sztuk najważniejszą dla władzy" – słowa ludowego komisarza oświaty Anatolija W. Łunaczarskiego (niesłusznie przypisywane Leninowi) – dawno minęły. I żaden film władzy nie obali, jeżeli nie zrobią tego ludzie mający dość jej arogancji, złodziejstwa

eprasa.pl a665b7dce2



oraz braku troski o obywateli i państwo. Tym bardziej film zły, nudny i pozbawiony mocy oddziaływania na emocje widza. Patryk Vega dał nam bowiem towar mocno odgrzewany, i to nie w nowoczesnej kuchence mikrofalowej, ale w jakimś piecu chlebowym jak z noweli Prusa „Antek".

Od początku filmu miałam wrażenie déjà vu – ja to wszystko gdzieś widziałam, gdzieś o tym czytałam, gdzieś oglądałam... Nawet jeśli jakieś postacie czy sytuacje zostały mocno przerysowane, wykrzywione do granic ponadkarykaturalnych, to wszystko gdzieś było... Było. W tabloidach i internecie, w memach i wpisach anonimowych trolli.

Kpiny z premier Szydło, insynuacje w sprawie orientacji seksualnej czołowych polityków PiS, głośny romans prawicowego posła, „swawolny Dyzio", czyli szef gabinetu politycznego ministra, opozycyjny lider o mentalności pierwszego sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, teczki, taśmy, zdjęcia, wypadek rządowej kolumny... Ale u Vegi mamy to podlane jeszcze dodatkowym sosem, który miał dodać smaku potrawie, a sprawił, że jest ona niestrawna.

Ten sos to mieszanina niechęci do polityków, pogardy i oskarżania o najniższe instynkty, jakie są motorem ich publicznej działalności. Pieniądze, władza, intrygi, bezwzględność w niszczeniu politycznych przeciwników, wzniosłe słowa oraz moralna pryncypialność na pokaz i łamanie wszelkich zasad prywatnie. Politycy są nie tylko zewnętrznie brzydcy (scena z powoływania przez prezydenta rządu), lecz także zepsuci do szpiku kości. A społeczeństwo? Społeczeństwo w filmie Vegi to tłum, który potrafi tylko krzyczeć: „Konstytucja!". I obie te wizje reżysera są po prostu nieprawdziwe.

FILMOWY FAST FOOD

Patryk Vega chwali się publicznie, że od kilkunastu lat nie ma telewizora i nie czyta gazet. Być może dlatego łyknął bez żadnej refleksji scenariusz, który jest wykrzywioną, tabloidową wersją, przepuszczoną przez sito wyobrażenia małego Jasia o mechanizmach władzy, tego, co naprawdę w polskiej polityce się dzieje. Czarno-białe barwy rzadko sprawdzają się na kinowym ekranie, a w życiu klasyfikowanie według nich ludzi i wydarzeń może sprowadzić na manowce. Nie tylko artystyczne.

> Vega dał nam towar mocno odgrzewany, i to nie w nowoczesnej kuchence mikrofalowej, ale w jakimś piecu chlebowym jak z noweli Prusa „Antek"

Jeden z krytyków filmowych wyraził przypuszczenie, iż Vega chciał stworzyć dzieło rangi „Wesela" Wyspiańskiego. Śmiały to pogląd, lecz jeśli już przyjąć to założenie, to chocholi taniec u Vegi zamienia się w pląsy do muzyki disco polo i nie jest to taniec niemocy ani słabości narodu, który nie potrafi się zjednoczyć, lecz nieudolne podrygi marionetek, które reżyser obdarza pozorną władzą demiurgów.

Nie jest największą wadą filmu Vegi, że ani to komedia, ani dramat, ani thriller, bo zdarzały się wielkie dzieła filmowe, które nie mieściły się w tej klasyfikacji. Film Vegi jest po prostu nieprawdziwy, bo nawet jeśli poszczególne sceny i postacie mają w sobie jakiś rdzeń autentycznych osób i wydarzeń, i nawet jeżeli przyjmiemy, że twórca ma prawo do satyrycznej i osobistej interpretacji otaczającego go świata, to jednak obraz zarówno polityków, jak i społeczeństwa powinien nieść z sobą choćby namiastkę wiarygodności.

„W moim filmie chcę pokazać polityków takimi, jakimi naprawdę są. Na co dzień widzimy pewną fasadę, obserwujemy to, co oni kreują na potrzeby mediów" – mówił Vega we wspomnianym przeze mnie czerwcowym wywiadzie. Na deklaracjach się skończyło, dokładnie bowiem ową medialną kreację, przeżutą i przetrawioną przez tabloidy, dał widzom. Ten film miał pokazać, jak jest robiona polityka, czego według Bismarcka ludzie nie powinni oglądać. Tak samo jak nie powinni widzieć, jak jest robiona kiełbasa. To bardzo cyniczne stwierdzenie, bo polityka ani nie jest aż tak obrzydliwie robioną kiełbasą, jak twierdził Bismarck, ani też wykwintnym i eleganckim sufletem, jak chcą to widzieć niektórzy apologeci władzy. Potrawa zaserwowana przez Vegę jest tylko fast foodem udającym prawdziwe danie, niedostarczającym żadnych wartości organizmowi.

Jeśli Patryk Vega chciał dać widzom film w krzywym zwierciadle pokazujący rzeczywistość, jaka nas otacza, to poniósł klęskę. Dwie sceny z filmu

eprasa.pl a665b7dce2

„Rozmowy kontrolowane" Sylwestra Chęcińskiego z 1991 r. więcej mówią o podziale na „my i oni" i przepaści cywilizacyjnej ich dzielącej niż cały film „Polityka", który miał zdiagnozować nowy podział na „my" i „oni".

Pierwsza to zaproszenie przez pułkownika SB Molibdena przełożonego generała na wigilię:

***Molibden:* „Gdyby towarzysz generał zechciał dać się zaprosić na tradycyjną wigilię".**
***Zambik:* „Bardzo chętnie. Kiedy urządzacie?".**
***Molibden:* „Dwudziestego czwartego".**
***Zambik:* „Aha, znaczy jeszcze przed świętami. Może i słusznie".**

I druga, kiedy już ta wigilia się odbywa. W mieszkaniach, domach i chałupach śpiewają kolędy, a u Molibdena... „Podmoskownyje wieczera" :

***Molibden:* „Miał być szczupak po litewsku, ale że nie dostałem szczupaka, więc będzie goloneczka w piwie, towarzyszu generale".**
***Zambik:* „Bardzo wystawna wigilia".**
***Molibden:* „No zgodnie z tradycją właściwie powinien być opłatek".**
***Zambik:* „Słusznie, słusznie, ale nie róbcie z tego zagadnienia. Najważniejsza jest tradycja. Podzielimy się jajeczkiem".**



POŚLADKI METAFORYCZNE

Nie powstał dotąd żaden wielki polityczny film opowiadający naszą historię po 1989 r., a polska kinematografia staje się powoli całkiem sprawną maszynką do robienia pieniędzy na pseudokomediach romantycznych (najczęściej bezczelnie powielających zagraniczne pierwowzory) i sensacyjnych filmach akcji, w których dialogi opierają się głównie na wulgaryzmach, bo nie do pojęcia jest, żeby prawdziwy macho nie klął (nie wspominając jego kobiet).

Jeżeli Patryk Vega taki film chciał zrobić, to jednak oprócz talentu do robienia pieniędzy potrzebna jest jeszcze ta iskra boża, ten dotyk muzy, który sprawia, że widz nie odrywa wzroku od ekranu, by sprawdzić na telefonie, czy nie ma jakiejś wiadomości, a po zapaleniu świateł w kinowej sali nie zrywa się z fotela, by jak najszybciej wrócić do swoich zajęć.

Wielką metaforą filmu „Polityka" w jego finale miała być scena, w której marszałek senior wypina gołe pośladki na parlamentarzystów w czasie inauguracyjnego posiedzenia Sejmu i... wraca spokojnie do dalszego prowadzenia obrad. Gdyby Vega chciał naprawdę pokazać politykom cztery litery, to marszałek senior zabrałby z sali posiedzeń swoje pośladki i nigdy by tam już nie wrócił. Ale wtedy cały ten film musiałby być zupełnie inny...

We wspomnianych przeze mnie „Rozmowach kontrolowanych" w finale prezes Ochódzki, grany przez Stanisława Tyma, powoduje zawalenie się Pałacu Kultury i Nauki i, spoglądając na ruiny, mówi: „To się odbuduje".

Może warto nakręcić film o tym, dlaczego Pałacu Kultury i Nauki nie trzeba odbudowywać?



eprasa.pl a66b...ice2

Fot. Materiały prasowe (3)



Czas na wielkie produkcje filmowe

Chcemy, by festiwal był dużą imprezą branżową, wychodzącą poza granice Polski. Widzimy naszą misję w podnoszeniu jakości filmów historycznych, które u nas powstają. Chcemy, by to wszystko było coraz bardziej profesjonalne, robione z głową, przemyślane

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Arkadiuszem Gołębiewskim, operatorem, reżyserem, twórcą i dyrektorem Festiwalu Filmowego „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”

Fot. Andrzej Skwarczyński

Przed nami 11. Festiwal Filmowy „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci“, pierwsza i wciąż najważniejsza tego typu impreza w Polsce. Każda edycja to prawdziwy kalejdoskop tematów i różnych pól artystycznej i patriotycznej aktywności, ale zawsze jest też jakiś motyw przewodni. Co proponujecie w tym roku?

Arkadiusz Gołębiewski: To rok szczególny, bo obchodzimy 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Jest to pretekst do opowiedzenia polskich doświadczeń osadzonych w historii świata. Szukaliśmy klucza do tej opowieści i sięgnęliśmy po niezwykłe dziedzictwo, jakim są materiały archiwalne Juliena Bryana, legendarnego amerykańskiego reżysera, dokumentalisty i fotografa, pracującego w Polsce w latach 1935–1939. To jego prace pokazały światu niemieckie bestialstwo z okresu kampanii wrześniowej, cierpienia ludności cywilnej i heroizm obrońców stolicy. Działał w porozumieniu z władzami, na polecenie prezydenta Stefana Starzyńskiego

eprasa.pl a665b7dce2

otrzymał do dyspozycji samochód, tłumacza i ochronę. Postać dzisiaj trochę zapomniana, mimo że pewnie wszyscy znamy jego zdjęcia i kadry filmów.

Jego zdjęcia, np. „Dziecko w ruinach Warszawy", to obrazy ikoniczne, same w sobie stanowiące już część naszej historii.

Bryan opuścił płonącą Warszawę 21 września 1939 r. Zabrał z sobą kilkadziesiąt rolek taśm filmowych i fotograficznych z wyjątkowym materiałem archiwalnym i przez Berlin, Szwecję ewakuował się do Stanów Zjednoczonych. Był bardzo blisko śmierci, blisko tych, którzy cierpieli, głodowali, walczyli na barykadach. On to wszystko dokumentował z niezwykłym wyczuciem i z wielkim talentem. Przypomnienie dorobku Juliena Bryana będzie ważnym motywem festiwalu. To tym bardziej potrzebne, że mówimy o człowieku, który był przyjacielem naszego kraju, który zachwycał się II Rzeczpospolitą, filmował i fotografował tradycje ludowe, ale również nasze sukcesy, choćby słynną lokomotywę Luxtorpeda.

Wracał do Polski kilkukrotnie także po II wojnie światowej.

Zawsze był przyjmowany bardzo serdecznie, zachowały się wspaniałe fotografie z wizyt w domach jego bohaterów. Bryan swoją pasją i misją działania bardzo wpisuje się w idee festiwalu NNW. Mnie osobiście jego styl pracy jest bliski. Podobnie jak on, dokumentując rzeczywistość zarówno aparatem fotograficznym, jak i kamerą, zazwyczaj kieruję ją w stronę zwykłych ludzi. Dobrze, że od kilku lat jego dorobek promują Instytut Pamięci Narodowej, Archiwum Akt Nowych czy Muzeum II Wojny Światowej; my się do tych działań dołączamy w tym roku.

Gościem festiwalu będzie Sam Bryan, czyli syn słynnego dokumentalisty.

Tak. Sam Bryan jest już w Polsce, a na festiwalu odbierze on Sygnet Niepodległości, który przyznaliśmy Julienowi, a jednocześnie będzie przewodniczył pierwszej edycji Międzynarodowego Konkursu Filmów Dokumentalnych. Sam jest filmowcem, a także wykłada filmoznawstwo. Przywołanie pamięci o Bryanie i jego niezwykłym dorobku zapewne wzmocni obecność niezwykłych gości festiwalu, czyli bohaterów zdjęć Juliena Bryana.

> Na festiwalu będzie Kazimiera Mika. We wrześniu 1939 r. miała dziewięć lat i to ona klęczy nad ciałem zastrzelonej starszej siostry Andzi na pamiętnej fotografii Juliena Bryana

Tych słynnych zdjęć z września 1939 r.?

Tak, będzie Kazimiera Mika. We wrześniu miała dziewięć lat i to ona klęczy nad ciałem zastrzelonej starszej siostry Andzi na pamiętnej fotografii Bryana, które stało się głównym symbolem niemieckiego bestialstwa. Pani Kazimiera jest w dobrej formie, to niezwykle miła, sympatyczna osoba i cieszę się, że będzie z nami. Uhonorujemy ją nagrodą Drzwi do Wolności. Przyjedzie także bohater innego bardzo znanego zdjęcia, przedstawiającego chłopca z kanarkiem siedzącego na tle ruin zburzonego domu. To Zygmunt Aksenow, który znalazł klatkę z ptaszkiem po bombardowaniu w miejscu, gdzie mieszkał jego przyjaciel. Potem pan Zygmunt walczył w powstaniu warszawskim w szeregach batalionu „Bończa" pod pseudonim Malarz. Uchodził za jednego z najlepszych snajperów w całym oddziale. Prześladowali go komuniści, został aresztowany i skazany na pięć lat, pracował przymusowo w śląskich kopalniach. Dziś mieszka na Śląsku. Jemu również podziękujemy, wręczając Sygnet Niepodległości, i wspólnie otworzymy wystawę zdjęć Juliena.

O Julienie Bryanie głośniej zrobiło się po tym, gdy kilka lat temu IPN wydał poświęcony mu album „Oblężenie Warszawy w fotografii Juliena Bryana", ale i tak wciąż jest za cicho. Przecież zaraz po powrocie w 1939 r. do USA zmontował film pt. „Oblężenie", pokazujący bohaterską postawę warszawiaków. Pokazywano go w całej Ameryce, był też nominowany do Oscara. Ten człowiek nie tylko dokumentował Polską tragedię, lecz także promował naszą sprawę.

Dzięki Bryanowi świat dowiedział się o bestialstwie Niemców. Pierwszą kronikę II wojny światowej obejrzało ok. 100 mln osób na świecie, a zdjęcie płaczącej dziewczynki nad ciałem zamordowanej siostry Andzi stało się na całym świecie ikoną bezwzględnej wojny. Bryan to wielki przyjaciel Polski, widać to w jego materiałach, ale również w tym, jak wychował swojego syna Sama, wzbudzając w nim miłość do Polski. Od kilku dni obserwuję go z kamerą podczas spotkań w całej Polsce. Zarówno podczas wizyt u bohaterów fotografii ojca, jak i podczas spotkań w szkołach jest bardzo wzruszony, opowiada o tym, co ojciec przekazał mu o Polsce, wspomina ich wspólne wizyty w naszym kraju. To nasz wielki kapitał, który ciągle niewystarczająco wykorzystujemy w polskiej polityce historycznej. Zgłębiając teraz temat Bryana, dowiedziałem się, że przed laty Sam chciał przekazać Polsce całość materiałów ojca. To ponad 40 godzin archiwów. Okazuje się, że nie było po naszej stronie odpowiedzialnego partnera, aby materiał pozyskać. Niewielka część tego archiwum trafiła do IPN, a resztę Sam przekazał do Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Na szczęście mamy przełom. Obecnie IPN na Przystanku Historia prezentuje wystawę Juliena, a jego syn Sam podróżuje z ekspozycją po Polsce. Duża w tym zasługa filmowca Eugeniusza

eprasa.pl a665b7dce2

Starky'ego, przyjaciela Sama, który to wszystko przygotował. Taką postać powinno się bardziej promować. Może jesienią, gdy do Polski zawita Donald Trump, ktoś podejmie ten wątek. My w każdym razie będziemy dużo mówili o tej postaci, na festiwalu będzie wystawa wielkoformatowych zdjęć, pokażemy wyjątkowe materiały Bryana, a – co ważne – temat archiwów stanie się tematem paneli i warsztatów przygotowanych razem z AAK i IPN. Pod hasłem „Każdy Polak ma archiwum" chcemy rozpropagować modę na zbieranie rodzinnych pamiątek.

W jakim sensie?

Festiwal NNW to wydarzenie, które trwa przez cały rok. Po gali zamknięcia ruszamy w Polskę i świat, prezentując w pigułce nasz festiwal. Tylko w 2018 r. takich retrospektyw było 11. Docieramy zarówno do dużych miast, jak Kraków, jak i małych miejscowości, jak Stare Gałki koło Wyszogrodu. Oprócz filmów, warsztatów dla młodzieży honorujemy świadków historii i często ci wiekowi bohaterowie bądź ich rodziny przynoszą w reklamówce ważne dokumenty, zdjęcia i pytają, co z tym zrobić? Podobnie jest podczas spotkań z emigracją. Umiera starsze pokolenie i najczęściej ich bliscy, już znacznie mniej związani emocjonalnie z Polską, wynoszą kartony na śmieci.

My młodym ludziom wskazujemy, gdzie mają szukać inspiracji. Radzimy: „Przeglądajcie stare fotografie, rozmawiajcie z bliskimi, prowokujcie do wspomnień, refleksji, a zobaczycie, że wasz dziadek, prababcia, wujek to często bohater, którego życiorys to gotowy scenariusz filmowy".

Czasem jakiś mały detal wystarczy, by odkryć niesamowitą historię. Najczęściej tragiczną. To są doświadczenia powszechne. Była II wojna światowa, a potem represje stalinowskie. Szacuje się, że przez więzienia i obozy przeszło ok. 1,5 mln Polaków. W każdej rodzinie jest więc ktoś, kto ucierpiał.

Często są to sprawy skrywane, czy to z obawy, czy z innych powodów. Bywa, że bez ich opowiedzenia rodziny nie mogą wyjść na prostą.

To bardzo ważne. Ta rana ciągle się goi. Bardzo się cieszę, że aktywność mojego środowiska sprawiła, że wiele rodzin, przez dekady żyjących ze stygmatem „bandytów", wyszło z tej traumy, dowiedziało się, że ich krewni byli tak naprawdę bohaterami. Są przecież i tacy szczęśliwcy, którzy dzięki pracy zespołu prof. Szwagrzyka mogli swoich mężów, ojców odnaleźć i pochować. Te historie są ciągle paliwem dla wielu filmowców, których gościmy na festiwalu. Warto o tym głośno mówić i się cieszyć, że sprawy prozaiczne, jak zbieranie pamiątek, mogą się stać wsparciem dla różnych nowo powstających instytucji, jak muzea żołnierzy wyklętych, Muzeum II Wojny Światowej, Muzeum Historii Polski, Muzeum Kresów, Rodzinny Dom Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej. To są niezwykle cenne inicjatywy resortu kultury, ale wiele dzieje się również oddolnie. Np. w Ciechanowie lokalna społecz-

Cieszę się, że aktywność mojego środowiska sprawiła, że wiele rodzin, przez dekady żyjących ze stygmatem „bandytów", wyszło z tej traumy, dowiedziało się, że ich krewni byli bohaterami



Fot. Andrzej Skwarczyński

ność zabiega, żeby dawną katownię UB wykupić i zamienić na lokalne muzeum. Ważne, by te wszystkie nowe placówki wypełnić żywą historią, pamiątkami, konkretnymi opowieściami.

W ostatnich latach festiwal otwierał się na historię zmagań o wolność naszych sąsiadów: Węgrów, Czechów, Rumunów. Czy w tym roku też tak będzie?

Wspomniany już Międzynarodowy Konkurs Filmów Dokumentalnych, będący nowym elementem festiwalu, to próba ujęcia w bardziej formalne ramy naszych związków z Europą Środkowo-Wschodnią. Co ważne, to nie jest tak, że tylko my patrzymy w stronę sąsiadów. Środowiska zainteresowane historią widzą w nas, także w naszym festiwalu, przykład tego, jak można przekładać zainteresowanie przeszłością na język sztuki. Polska jest tu z pewnością wyraźnym liderem. Tylko w ubiegłym roku przyjęliśmy ok. 100 gości z zagranicy. Stałymi bywalcami są Czesi, Węgrzy, mieszkańcy krajów nadbałtyckich. W tym roku będą też goście z Rumuni i Albanii. Przyjeżdżają zarówno filmowcy, jak i świadkowie historii, m.in. Mária Wittner z Węgier, legendarny czeski partyzant Josef Mašín czy opozycjonistka Petruška Šustrová. Od kilku lat gościmy historyków, szefów instytucji publicznych zajmujących się historią totalitaryzmów. Zaprezentujemy m.in. film o czwórce albańskich dzieci skazanych przez komunistów na więzienie, pokażemy też film o greckokatolickich biskupach zamęczonych w latach 40. i 50. XX w., przywołamy postać Jánosa Esterházyego, węgierskiego arystokraty i polityka żyjącego na Słowacji, który zmarł w komunistycznym więzieniu, niedługo może zostać on wyniesiony na ołtarze. To bardzo ciekawa postać, także dlatego, że jego matką była Polka, Elżbieta z Tarnowskich.

W Polsce to zainteresowanie historią najnowszą jest rzeczywiście większe niż w innych krajach regionu?

To jest wręcz przepaść. U naszych sąsiadów powstaje co najwyżej kilka filmów dokumentalnych rocznie, podczas gdy do tegorocznej edycji festiwalu NNW zgłoszono ok. 70 filmów, a bywało, że było ich nawet dwa razy więcej. Teraz jest ich nieco mniej, ale za to prezentują one wyższy poziom. Dotyczą głównie tematyki z lat 1939–1989, ale jest też kilka filmów o II Rzeczypospolitej; te wystartują w osobnym konkursie Niepodległa.

Co roku gościcie także sporą grupę młodzieży amerykańskiej. W tym roku też przybędzie?

Tak. To przedstawiciele bardzo dużej organizacji National History Day i młodzieży, która wygrała konkurs wiedzy o Polsce. Goście zza oceanu przez ostatnie dwa lata prezentowali sztuki, a w tym roku pokażą film przywołujący bohaterów powstania w getcie warszawskim. Co ważne, nie mówimy tutaj o Polonusach, ale młodzieży amerykańskiej, która dotąd nie miała żadnych związków z naszą ojczyzną. Widzę, jak nasza historia coraz bardziej ich wciąga, porywa. To cenna premia za naszą festiwalową konsekwencję. To jest klucz do sukcesu: rok po roku konsekwentnie robić swoje, trzymać się raz obranego kursu.

Jak festiwal odnajduje się w warunkach dobrej zmiany? Bo wyrósł z pragnienia mówienia prawdy, także ze sprzeciwu wobec relatywizmu. Dziś Polska jest już jednak inna, pedagogika wstydu może nie umarła, ale na pewno ledwo dycha.

Często słyszę pytanie: kiedy było łatwiej, czy wówczas, gdy zaczynaliście, czy teraz? Nigdy nie było łatwo. Na pewno wokół jest więcej akcji patriotycznych, mamy więc „konkurencję". Powstały ważne instytucje państwowe, które realnie zaczynają wprowadzać skuteczną politykę historyczną. To nas bardzo cieszy, o to nam chodziło, gdy zaczynaliśmy. Jak na to odpowiadamy? Być może mniej uwagi poświęcamy przełamywaniu różnych barier na polu historycznym, walce o prawdę, a więcej sprawom stricte filmowym. Chcemy być dużą imprezą branżową, wychodzącą poza granice Polski. Widzimy naszą misję w podnoszeniu jakości filmów historycznych, które u nas powstają. Chcemy, by to wszystko było coraz bardziej profesjonalne, robione z głową, przemyślane. By finansowanie, produkcja i dystrybucja stały na jak najwyższym poziomie. Wciąż mamy w tej sferze olbrzymie rezerwy.

Ale chyba z pieniędzmi na filmy dotyczące historii jest nieco lepiej, niż było?

Owszem, pieniędzy realnie jest znacznie więcej, ale to nie znaczy, że więcej powstaje filmów. Bo z jednej strony są duże możliwości, ale z drugiej rosną wymagania, także biurokratyczne, organizacyjne. Środowisko konserwatywne przez te 30 lat nie zbudowało zaplecza producenckiego i to jest duże ograniczenie dla wielu twórców. Obciążeniem zapewne jest też światowa tendencja, że branża filmowa zdominowana jest przez ideologię lewicową. Konserwatystom zawsze było i jest znacznie trudniej, i to zarówno na etapie edukacji, jak i potem produkcji. W ostatnich latach otworzyło się wiele możliwości dla patriotycznych produkcji. Zarówno PISF, jak i TVP są partnerami dla wielu produkcji, podobnie jak inne instytucje podlegające ministrowi Glińskiemu czy też różne ministerstwa, jak MON, lub instytucje państwowe, jak NBP.

Wbrew sprzyjającej aurze środowisko filmowe, które mam zaszczyt skupiać na festiwalu NNW, nie do końca potrafi wykorzystać w pełni tę szansę. Tematy są świetne, odwaga podejmowania trudnych, często ryzykownych politycznie tematów jest, ale barierą stają się bardzo złożone procedury aplikowania, a potem rozliczania wniosków. Z tym mogą się zmierzyć doświadczone studia producenckie, dysponujące zawodowym zapleczem i środkami. Sam artysta nie jest w stanie dać sobie rady w tym biegu przez płotki. Twórcy, którzy chcą się zajmować polskimi losami, którzy się nie boją, mają w sobie pasję, muszą dostać wsparcie. Zarówno gdy chodzi o dobre ujęcie tematu, scenariusz itp., jak i w sferze organizacyjnej i finansowej. My to widzimy i od czterech lat oferujemy wsparcie, organizując warsztaty scenariuszowe, montażowe oraz tzw. Pitching Forum, czyli swoisty inkubator filmów. Warto podkreślić, że dzięki wsparciu projektu przez PISF wszystkie warsztaty są bezpłatne, co jest rzadkością. Mamy sukcesy, bo w zeszłym roku na 12 prowadzonych

eprasa.pl a665b7dce2

przez nas projektów aż pięć zostało zrealizowanych. To bardzo dużo. Mamy też – dzięki wsparciu TVP i KRRiT – 32 tys. zł na nagrody dla najlepszych pomysłów.

Aby sytuację uzdrowić, należy też ujednolicić wielość przepisów, którymi kierują się urzędnicy nadzorujący projekty. Ograniczeniem są również wysokie wkłady własne, jakie muszą uiszczać podmioty aplikujące o granty. W tym środowisku orężem są tematy i bezkompromisowość w ich podejmowaniu. Słabością zaplecze finansowe i produkcyjne.

> Środowisko konserwatywne przez te 30 lat nie zbudowało zaplecza producenckiego i to jest dużym ograniczeniem dla wielu twórców

Festiwal odbywa się w prestiżowym miejscu – w Gdyńskim Centrum Filmowym, i to niemal bezpośrednio po Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Czy to próba wejścia do tzw. głównego nurtu, chęć pokazania, że kino patriotyczne, niepodległościowe, wolnościowe nie musi siedzieć gdzieś w piwnicy?

Na pewno Gdynia nam służy, odkąd tu się przenieśliśmy dziewięć lat temu, z roku na rok rośniemy. Z nikim nie konkurujemy, robimy swoje. Moim zdaniem jesteśmy potrzebnym dopełnieniem, kontynuacją Festiwalu Filmów Fabularnych. Dodajemy to, co tam nie wybrzmiało albo nie mogło wybrzmieć z takich czy innych przyczyn. Osobiście sądzę, że w perspektywie historycznej to, co my robimy, zostanie, że to przetrwa. To, co wydumane, przesadzone, przekombinowane, zostanie zapomniane. Światowa tendencja od lat pokazuje, że tematy historyczne, filmy wojenne są nadal najbardziej kasowymi przedsięwzięciami w Hollywood.

Co roku w czasie festiwalu honorujecie nagrodami kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt osób, które bądź o wolność bezpośrednio walczyły, bądź pomagały tym, co stali w pierwszym szeregu. Trzeba się spieszyć, bo ci ludzie odchodzą.

Znów: nasz festiwal stał się punktem odbicia do podjęcia różnych inicjatyw, które z różnych powodów były w Polsce zaniedbane. Dotyczy to także honorowania świadków historii. Zajęliśmy się tym, bo taka była potrzeba. Mamy więc Sygnety Niepodległości, dla tych, którzy walczyli. Mamy Drzwi do Wolności dla bohaterów drugiego planu, dla tych, którzy np. użyczali mieszkań ludziom Solidarności w stanie wojennym. Ale także dla tych, którzy wpuszczali nieco świeżego powietrza w świecie muzyki czy sztuki, np. artystów z Zachodu, którzy coś ważnego nam przekazali podczas koncertów w Polsce. Co roku mamy mnóstwo nowych zgłoszeń, widać, że to był trafiony pomysł.

Nagradzacie także wybitnych artystów służących sprawie wolności, nie tylko filmowców.



Tak, przyznajemy nagrodę za całokształt twórczości. Nasze wyróżnienie Platynowy Opornik w przeszłości przyjęli m.in. Antoni Krauze, Andrzej Trzos-Rastawiecki, Michał Lorenc. W tym roku nagrodzony zostanie wybitny reżyser Lech Majewski, który pokaże mało u nas znany, ale doceniony na świecie film „Onirica", opowiadający o Polsce roku 2010. Przyznajemy także nagrodę literacką im ks. Bukowińskiego, która w tym roku przypadnie Markowi Cichockiemu.

Zaczęliśmy tę rozmowę od przywołania rocznicy II wojny światowej. Za nami bardzo udane obchody. Czy Polska zaczęła wreszcie wygrywać wojnę o prawdę? Czy najgorsze już za nami?

Ważne, że się nie poddajemy, że nie ulegamy. Pierwsze efekty już są, a jeśli będziemy konsekwentni, możemy wiele osiągnąć. Nie ma dróg na skróty. Część ataków na Polskę wynika ze złej woli, ale spora część to po prostu rezultat braku wiedzy, zwykłej ignorancji, niedouczenia dziennikarzy.

Ktoś powiedział, że by narzucić kłamstwo, trzeba miliardów, aby obronić prawdę, wystarczą miliony.

My niestety nie wydaliśmy do tej pory nawet tych milionów. Wciąż za bardzo opieramy się na ideowości. Ale jednocześnie coraz więcej rozumiemy, rozpoznaliśmy już tę sferę dość dobrze. Teraz czas wyciągnąć armaty, np. wielkie produkcje filmowe, które będą miały szansę przebić się na Zachodzie.

Czy festiwal NNW wciąż jest imprezą otwartą dla wszystkich chętnych?

Tak, to pozostaje bez zmian. Program dostępny jest na stronie www.festiwalnnw.pl, ale można też przyjść w ciemno w dniach od 26 do 29 września i zapewniam, że w wielości wydarzeń (symultanicznie 5–6 wydarzeń) jakieś miejsce na sali projekcyjnej, koncercie, promocji książki czy panelu dyskusyjnym się znajdzie. Łącznie pokażemy ponad 50 filmów.

Autopromocja

eprasa.pl a665b7dce2

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox | **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**



Wojownicy Maryi



JAROMIR KWIATKOWSKI

Ci mężczyźni chcą radykalnie żyć Ewangelią. Podczas ślubowania biorą do ręki swoje miecze – symbol duchowej walki. Jednak ich głównym orężem jest różaniec. Założycielem tej wspólnoty jest były karateka – ks. Dominik Chmielewski, salezjanin

Ponad 2 tys. mężczyzn przyjechało 8 czerwca br. do Niepokalanowa na kolejne ogólnopolskie otwarte spotkanie formacyjne zorganizowane przez Wojowników Maryi – wspólnotę męską założoną przez salezjanina ks. Dominika Chmielewskiego. Podczas spotkania, którego motto stanowił cytat z Drugiego Listu św. Pawła Apostoła do Tymoteusza „Weź udział w trudach i przeciwnościach jako dobry żołnierz Chrystusa Jezusa" (2Tm 2, 3), ok. 120 mężczyzn zostało pasowanych na Wojowników Maryi, złożyło też uroczyste przyrzeczenie (tekst w ramce).

NAJBARDZIEJ MĘSKI MĘŻCZYZNA

Przed wstąpieniem do seminarium ks. Dominik przez 15 lat uprawiał karate. – Sztuki walki były pasją mojego życia – przyznaje. – Byłem fanatykiem treningów: ćwiczyłem trzy razy dziennie średnio po półtorej godziny. Osiągnąłem 3 dan – czarny pas z trzema belkami symbolizującymi trzeci stopień mistrzowski w karate.

Życiowy zwrot nastąpił podczas pielgrzymki do Medjugorie. – Uczestniczyłem tam w objawieniu Matki Bożej, stałem kilka metrów od Niej – opowiada ks. Dominik. – To było jedno z najbardziej poruszających moich doświadczeń – poczułem Jej miłość, tak jakby mówiła wprost do mojego serca: „Kochałam cię, kocham i zawsze będę cię kochać". Doświadczenie miłości, która spłynęła z Jej ramion, serca, było tak niesamowite, że zostałem całkowicie przemieniony. Efektem tego była – na początku nieśmiała, potem coraz bardziej śmiała – myśl, czy może moim powołaniem nie jest kapłaństwo.

Ks. Dominik podkreśla, że kiedy wstąpił do zgromadzenia salezjanów, została w nim mentalność wojownika, a jedynie zmienił się wróg. – Już nie walczę z człowiekiem, lecz z szatanem o człowieka. Walka fizyczna została zamieniona na walkę duchową – precyzuje.

Zaczął gromadzić wokół siebie mężczyzn. Dostrzegł bowiem potężny kryzys męskości we współczesnym świecie. – Mężczyźni nie znają swojej tożsamości, nie potrafią odkryć, co to znaczy być mężem całkowicie poświęconym swojej żonie, czy ojcem całkowicie poświęconym swoim dzieciom – wyjaśnia. I dodaje: – Moim pragnieniem jest formowanie szczególnie młodych mężczyzn do tego, by byli na wzór Jezusa Chrystusa, który jest wzorem męskości, najbardziej „męskim" mężczyzną w historii świata. Chcę im pomóc w odkryciu tej męskości, jaką prezentował Chrystus w Ewangelii oraz w zachwyceniu się nią.

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. Jacek Piętka

Ks. Dominik chce obejmować formacją mężczyzn w wieku 18–50 lat. Dlaczego akurat taki przedział wiekowy? – Z dwóch powodów – tłumaczy. – Po pierwsze, najwięcej małżeństw, które się rozpadają, ma 5–15 lat stażu. Trzeba formować młodych mężczyzn, bo oni wchodzą w małżeństwo i tkwią w nim przez kilka pierwszych lat, zupełnie nie wiedząc, jak być dobrym mężem i ojcem. Po drugie, wynika to z zasady dynamiki grupy. Młodzi lgną przede wszystkim do młodych. Gdy zobaczą, że na spotkaniach są głównie mężczyźni w wieku ich ojców, więcej nie przyjadą.

JAK ZOSTAĆ WOJOWNIKIEM

– Zachęcamy, by najpierw zapoznać się z informacjami na stronie internetowej www.wojownicymaryi.pl bądź na profilu Wojowników na Facebooku. Można też skontaktować się e-mailowo i dopytać o szczegóły – doradza 35-letni Wojciech Łapiński z podwarszawskiej Zielonki, właściciel Wydawnictwa SUMUS, które wydaje m.in. książki ks. Dominika, na czele z „Kecharitomene" – niezwykłą pozycją, w którą ten kapłan wlał całą swoją miłość do Maryi (okazała się ona wielkim sukcesem wydawniczym – dotąd sprzedało się już blisko 30 tys. egz.).

Dalszym krokiem jest przejście przez formację w trakcie otwartych spotkań organizowanych przez Wojowników Maryi, która kończy się uroczystym zawierzeniem podczas Ślubowania Mieczy, odbywającego się raz w roku. Takiego właśnie jakie odbyło się 8 czerwca.

– Podczas ślubowania kandydat na Wojownika oddaje swoje serce Maryi, zawierza Jej siebie i swoją rodzinę – podkreśla Wojciech. Każdy mężczyzna pasowany na Wojownika przygotowuje swój własny miecz – symbol duchowej walki z szatanem i grzechem.

Właściciel SUMUSA również został 8 czerwca pasowany na Wojownika Maryi. Zaznacza, że było to dla niego wyjątkowe wydarzenie. I dodaje: – Jestem dumny, że zostałem Wojownikiem, ale czuję też zobowiązanie, które mam do wypełnienia każdego dnia. Chcę być mężem (*ślub odbył się 3 sierpnia – przyp. aut.*), na którym zawsze może polegać żona. Mężem, który ma czas, żeby porozmawiać, przytulić czy wspólnie się pomodlić.

POJECHALI NA ZAPROSZENIE ŻON

Wśród nowych Wojowników Maryi są także Tomasz Pietrych, 51-latek z Rzeszowa, pracujący w branży transport-spedycja-logistyka, oraz jego kolega z tego samego kręgu rodzin Domowego Kościoła, 46-letni Konrad Błoński, handlowiec z Głogowa Małopolskiego.

– Na pierwsze nasze spotkanie, w listopadzie ub.r. w Lądzie nad Wartą, pojechaliśmy z inspiracji naszych żon, które się dowiedziały, że są takie spotkania – opowiada Tomasz. – Rozmawialiśmy o tym na kręgu i byliśmy zgodni, że chcemy się rozwijać w tym kierunku. Żony zrobiły nam niespodziankę i wręczyły własnoręcznie przygotowane pisemne zaproszenia to spotkanie. Napisały, że Maryja nas wzywa.

Tomasz przyznaje, że urzekła go atmosfera – piękna gotycka świątynia, kilkaset męskich głosów śpiewających „Bogurodzicę", konferencja ks. Dominika na temat roli Maryi w Kościele, świadectwa nawróconych mężczyzn. Z tym większą radością jechał na kolejne spotkania. Trochę się obawiał, czy na przeszkodzie do tego, by zostać Wojownikiem Maryi, nie stanie jego wiek. – To był ostatni dzwonek, bo trzy tygodnie później kończyłem 51 lat – podkreśla. I dodaje: – To dla mnie wielka radość, ale jednocześnie odpowiedzialność. Bycie Wojownikiem Maryi to nie tylko noszenie koszulki i miecza, ale przede wszystkim właściwe wypełnianie roli męża i ojca, świadczenie wobec ludzi, z którymi będę się spotykał, o roli Maryi w Kościele oraz dawanie przykładu chrześcijańskiego życia.

Również Konrad wracał z kolejnych spotkań formacyjnych z dobrze naładowanymi akumulatorami. – Ks. Dominik głosi słowo z mocą Ducha Świętego. To słowo penetruje umysł, ducha i duszę, człowiek jest w stanie pójść za jego słowem i przemieniać swoje życie – dzieli się wrażeniami. I dodaje: – Dla mnie najwspanialszym momentem tych spotkań był śpiew „Bogurodzicy". Ci, którzy już zostali pasowani na Wojowników, podnosili do góry swoje miecze. A ja czułem się tak, jakbym naprawdę szedł na bitwę pod Grunwaldem, przy czym miałem świadomość, że jest to wezwanie do bitwy o przemianę siebie, o kolejne swoje nawrócenie.

NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ

Ks. Dominik nadał wspólnocie silny rys maryjny. – Maryja jest nie tylko Matką, ale także Oblubienicą serca każdego Wojownika – wyjaśnia. – Każdy z nich jest formowany do tego, żeby Maryja była jego największą miłością, dopiero potem żona i następnie córka. Każdy Wojownik Maryi wchodzi w przestrzeń rycerza średniowiecznego, który najpierw ślubował Maryi, a dopiero potem królowi. Ma swoją Damę serca, dla której poświęca życie i duchową walkę.

– Dzięki ks. Chmielewskiemu odkrywam na nowo rolę, jaką odgrywa Maryja w Kościele – dodaje Tomasz. – Jest ona Arką Nowego Przymierza i jest Pełna Łaski – Kecharitomene. Tak zwrócił się do Niej archanioł Gabriel podczas Zwiastowania. To słowo jest zarezerwowane dla Maryi i w niebie wszyscy zwracają się do Niej w ten sposób. Ja to odkryłem dzięki tym spotkaniom i dzięki lekturze książki ks. Dominika – „Kecharitomene".

Konrad już kilka lat temu oddał swoje życie Maryi. – Jestem Jej niewolnikiem – podkreśla. – Kogo mamy bliższego od

eprasa.pl a665b7dce2

Niej? Nikogo. Ona jest radością świętych. Jezus dał nam Ją z krzyża, abyśmy się do Niej uciekali jako Wspomożycielki Wiernych i Pojednawczyni Grzeszników. Jezus był przy Niej przez 30 lat, od Niej wziął ciało i krew, a więc wszystkie składowe życia ziemskiego, wzrastał przy Niej, uczył się, Ona go kształtowała. W Nią więc powinniśmy się zapatrywać, Jej się oddawać, na Niej wzorować, zawsze i wszędzie prosić Ją o opiekę.

SZATAN BOI SIĘ RÓŻAŃCA

Wojownicy Maryi nie są jedyną męską wspólnotą w Kościele. Jak każda inna zadaje kłam twierdzeniu, że polski Kościół jest żeńskokatolicki, tzn. że w jego życie angażują się głównie kobiety, a mężczyźni wolą bierność pod chórem.

– Kiedyś mężczyźni nie chcieli angażować się w życie Kościoła, a tu paradoksalnie dzięki Maryi, a więc kobiecie, wracają na łono Kościoła – zauważa Wojciech.

– Mężczyźni są z natury wojownikami. Ta wspólnota kieruje naszą „wojowniczość" we właściwą stronę. Orężem nie jest pistolet, lecz różaniec, który ma prowadzić mężczyzn do świętości, a poprzez ich świętość uświęcać rodziny – dowodzi Tomasz. I dodaje: – Ks. Dominik podkreśla, że szatan boi się różańca. To jest prawdziwa broń, za pomocą której możemy walczyć i przeciwstawiać się złu.

– Mężczyzna jako wojownik może albo walczyć i krzywdzić ludzi, albo walczyć i nienawidzić swojego grzechu – uważa Konrad. – To ciągła walka – z sobą, ze swoimi słabościami. Ta walka nie ma końca i można się tu realizować, uświęcając się, co jest oczywiście niemożliwe bez Ducha Świętego i modlitwy. Ale jeżeli ktoś to praktykuje i wzrasta duchowo, to zrozumie, że to wspaniała walka i samorealizacja mężczyzny. Popatrzmy na Chrystusa: jaki inny wojownik oddał życie w cichości, w wielkim cierpieniu, a jednocześnie przebaczył prześladowcom? Tylko On. To jest największy wojownik wszech czasów, więc dobrze by było, abyśmy wszyscy chcieli być do Niego podobni.

Konrad zwraca też uwagę, że Wojownicy Maryi kreują inny obraz mężczyzny niż ten, który znamy z mediów. – Kiedy sięgam pamięcią do okresu dzieciństwa i przypominam sobie, jaki wizerunek mężczyzny był promowany w mediach czy filmach fabularnych, to był to albo James Bond, który był kobieciarzem, albo Al Capone, który w brutalny sposób ignorował życie ludzkie. Pomyślałem więc, że to wspaniały moment, byśmy promowali nowy obraz mężczyzn – napełnionych Duchem Świętym, rozmodlonych, walczących o swoje rodziny, o wiarę, Ojczyznę.

Zdaniem mojego rozmówcy ta wspólnota pobudzi mężczyzn do mocniejszego zaangażowania w życie Kościoła. – Obecnie jest wielu letnich katolików świeckich i, niestety, wielu letnich kapłanów – uważa Konrad. – A potrzeba nam świętych kapłanów i świętych mężczyzn, którzy odrzucają grzech i swoim przykładem chcą pokazać, że można żyć inaczej.

I dodaje: – W obecnym czasie, kiedy jest tak mało autorytetów, a tak wiele organizacji nieprzyjaznych Kościołowi, czarnych marszów, parad równości itd., potrzebujemy wspólnoty, która by pokazała, że drzemie w nas siła, że służymy prawdziwym wartościom.

Warto w tym miejscu wspomnieć o inicjatywie „Męskiego Różańca" na ulicach miast, która została zapoczątkowana w Warszawie, i w którą zaangażowało się kilkanaście wspólnot męskich (m.in. Wojownicy Maryi), a opiekunem duchowym tej inicjatywy został ks. Dominik Chmielewski. Do akcji włączyły się kolejne miasta, w tym Rzeszów, gdzie 1 czerwca tego roku ok. 60 mężczyzn przeszło czterokilometrową trasę z kościoła św. Krzyża do kościoła św. Józefa Kalasancjusza, odmawiając w ciszy różaniec. „Męski Różaniec" jest w tym mieście kontynuowany w pierwsze soboty miesiąca.

Konradowi marzy się, by uczestników takiej modlitwy było znacznie więcej. – Jak kilkaset chłopa wyjdzie na ulicę z różańcami w rękach, to zadamy kłam stereotypowi, że Kościół jest zniewieściały, dobry dla starszych pań, które odchodzą już na drugą stronę życia – tłumaczy.

DUCHOWI SYNOWIE KS. BOSKI

Wspólnota Wojowników Maryi szybko się rozrasta: do chwili obecnej formację przeszło ok. 1 tys. mężczyzn.

– Ideą ks. Dominika jest to, by grupy Wojowników Maryi powstawały także lokalnie – podkreśla Wojciech. – To już się zaczyna dziać i widzę, że jest w tym Boży plan. Struktura nie jest zbyt sformalizowana, ks. Dominikowi nie zależało bowiem na tym, by ją biurokratyzować, lecz aby pozwolić działać Duchowi Świętemu. Co jednak ważne: by założyć taką oficjalną grupę regionalną, trzeba przejść przez całą formację, przystąpić do pasowania na Wojownika i przygotować się do roli lidera.

Konrad z Tomaszem już myślą o tym, by na Podkarpaciu założyć takie grupy lokalne.

Ks. Dominik zwraca też uwagę, że formacja Wojowników dobrze wpisuje się w charyzmat zgromadzenia salezjańskiego, którego powołaniem jest praca formacyjna z młodzieżą, a przede wszystkim z młodymi mężczyznami. – To są duchowi synowie ks. Boski – mówi o Wojownikach ich twórca.

Najbliższe otwarte spotkanie ogólnopolskie Wojowników Maryi odbędzie się 19 października w Poznaniu

Tekst przyrzeczenia Wojowników Maryi

W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, biorąc na świadków wszystkich aniołów i świętych, a szczególnie św. Michała Archanioła, generała wojsk anielskich, i Was, braci moich, kładę swe ręce na Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia mojego Pana, i na Słowo Boże, które jest mieczem ducha, mając w ręku mój własny miecz, symbol bezwzględnej walki z grzechem i z szatanem, przyrzekam być wiernym, aż do oddania całego swojego życia, Jezusowi Chrystusowi, mojemu Panu i Zbawicielowi, i całkowicie oddać swoje życie Maryi, Najświętszej Panience, jako Pierwszej Damie mojego serca. Przysięgam walczyć ze swoim grzechem, z głównymi moimi wadami i stawać się nieustraszonym w walce z szatanem. Przyrzekam bronić Kościoła katolickiego, najwyższych wartości życia chrześcijańskiego, małżeństwa chrześcijańskiego i rodziny chrześcijańskiej. Przyrzekam stawać w obronie najsłabszych, szczególnie każdej kobiety, samotnej i wdowy, i każdego dziecka. Przyrzekam być wierny Ojczyźnie mojej i stać nieugięcie na straży jej honoru. Amen.

eprasa.pl a665b7dce2



Wreszcie nadeszły. „Legiony”. Duże kino o Wielkiej Sprawie. O miłości do Dziewczyny o niejednym imieniu

Idą Legiony

Fot. Jacek Piotrowski

eprasa.pl a665b7dce2



MACIEJ PAWLICKI

Kiedy kilka lat temu Adam Borowski i Tomasz Łysiak przyszli do mnie ze słowami „zróbmy film o Legionach”, pomyślałem, że to pomysł piękny, ale wariacki, nierealny. I wtedy pojawiła się myśl, że ci, którzy sto lat temu Polskę sobie wymarzyli, byli tysiąc razy większymi wariatami, porwali się na marzenie tysiąckroć większe. Skoro więc powstały Legiony i powstała Polska, jakże miałbym nie uwierzyć, że film „Legiony” jest realny?

Wszyscy czuliśmy, że to musi być film z rozmachem, epicki, a batalistyczne sceny mają wbijać w fotel. Godny swego tematu, ale także przemawiający do widza, który na co dzień ogląda hollywoodzkie produkcje. Także dlatego na głównych bohaterów wybraliśmy ludzi młodych, będących u progu swej życiowej drogi. Takich, którzy właśnie

swoje życie planują. Takich, którzy mają młodzieńczą wiarę, ambicję i odwagę, by zmieniać świat.

To, że sto lat temu tysiące chłopaków i dziewczyn, których rodzice, dziadkowie i pradziadkowie żyli w niewoli, postanowiło zamienić w rzeczywistość swoje marzenia o wolnej Polsce, jest urzekająco piękne, porywające. Dlaczego nie chcieli żyć jako posłuszni poddani tego czy tamtego imperium i robić karier w imperialnych centralach? Ćwicząc się cierpliwie i pokornie, jak należy najlepiej wykonywać polecenia imperialnych nadzorców, jak dbać o ich zadowolenie i pochwały. I z tego zadowolenia swoich panów czerpać satysfakcję niewolnika.

A oni po prostu zrozumieli, że w kraju zniewolonym, ukradzionym, poddanym obcemu dyktatowi, swoich pragnień, ambicji i planów nie zrealizują. Uznali, że nie chcą być niewolnikami, nie chcą być dłużej rusyfikowani czy germanizowani, za szczyt swych marzeń nie chcą uważać awansu w jakiejś stolicy jakiegoś imperium. Że chcą odzyskać swój dom. Wygonić z niego intruzów. A potem urządzić go samemu, bez niczyjego dyktatu, urządzić dla siebie.

Zrozumiałem, że mamy oto szansę opowiedzieć o tych, którzy w naturalny,









Fot. Kino Świat

Fot. Jacek Piotrowski

jakby organiczny sposób rozumieli to, co – moim zdaniem – jest istotą nowoczesnego patriotyzmu: utożsamienie własnego losu, własnych marzeń i własnego sukcesu z losem Ojczyzny. Myślę, że legioniści w ogromnej większości nie szli bić się „z obowiązku", z poczucia powinności, z moralnego zobowiązania wobec przodków. Oni (i one!) szli na ochotnika, w naturalnym odruchu sprzeciwu, że ktoś ukradł im dom. Dlatego – choć dziś to może się wydawać dziwne – oni się o tę wojnę modlili, „wojnę powszechną za wolność ludów". Bo tylko ona dawała im szansę w walce – jak mówi jeden z bohaterów naszego filmu – „garstce dzieciaków naprzeciw trzech imperiów".

Do wyreżyserowania filmu wymyśliłem Dariusza Gajewskiego, autora m.in. filmu „Warszawa", który wygrał festiwal w Gdyni i urzekł mnie przed laty. Jednym z głównych zagrożeń, przed jakimi staliśmy, było tworzenie opowieści słusznej i edukacyjnej, ale niedającej poczucia prawdziwości świata, tanio patetycznej i deklaratywnej. Patos, poezja i waga sprawy – tak, ale przede wszystkim „Legiony" miały być porywającą opowieścią filmową. Poruszającą emocje także tych, którzy o polskiej niepodległości wiedzą niewiele lub nic. Nie opowiadamy o postaciach stojących na pomnikach, ale o pokoleniu, o zwykłych chłopakach i dziewczynach, dzięki którym nie mówimy dziś po rosyjsku czy niemiecku i na masową skalę powróciło pragnienie niepodległości, wolności, pragnienie własnego państwa,

Bo przecież gdy 6 sierpnia 1914 r. Pierwsza Kadrowa wchodziła

eprasa.pl a665b7dce2







do Kongresówki, wielu zatrzaskiwało okiennice, gniewnie pomrukując: „Po co nam kolejna awantura?!". Tęsknotę do polskości trzeba było w wielu Polakach obudzić, bo skarleli w niewoli. Ambicję posiadania własnego państwa trzeba było w wielu Polakach obudzić. I może to było najważniejsze zwycięstwo Legionów, choć filmowa opowieść potrzebuje spektakularnego konkretu, dlatego są w naszym filmie spektakularne bitwy i potyczki, jest miłość, bo bez niej nie ma kina.

Gdy moja córka Klara przeczytała pierwsze wersje scenariusza, zareagowała precyzyjnie: „Fajni bohaterowie, ale dlaczego główna bohaterka jest jedynie biernym obiektem ich zainteresowania? Dlaczego nie opowiadacie o tamtych dziewczynach, które były aktywne, odważne i walczyły obok chłopaków?". Oczywiście miała rację. Dziewczyny są więc w „Legionach" aktywne, dzielne i odważne, wszak w samym wywiadzie Pierwszej Brygady było 40 kobiet pod dowództwem Aleksandry Szczerbińskiej, a Liga Kobiet Pogotowia Wojennego i kilka innych organizacji skupiały tysiące pań, które walczyły o polską niepodległość. Także po to, by w niej zrealizować swoje społeczne plany, dlatego Polki uzyskały prawa wyborcze już 28 listopada 1918 r., na kilkadziesiąt lat przed Francuzkami.

Jest też nasza opowieść historią dojrzewania do narodowej wspólnoty, zrozumienia, że nie jest ona jedynie tworem abstrakcyjnym, ale dając jej coś, o wiele więcej otrzymujemy w zamian. Legiony idą przez pokolenia – i oby szły zawsze.

eprasa.pl a665b7dce2

To jest ich czas

Młodzi, zdolni, intrygujący. Pojawią się na tegorocznym 44. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Są wśród nich: Bartosz Bielenia, Maria Dębska, Sebastian Fabijański, Eliza Rycembel i Maria Sobocińska. To ich czas



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Niektórzy z nich w Gdyni już byli. Ich nazwiska pojawiały się w obsadzie ważnych i uznanych tytułów, ale to inni skupiali na sobie większą uwagę. Teraz stanęli przed kamerami w pełnym świetle.

NIEPRZEWIDYWALNY

Na plakacie filmu „Boże Ciało" z krótko obciętymi włosami, w sutannie, uchwycony w dynamicznym kadrze, Bartosz Bielenia nie przypomina swoich wcześniejszych bohaterów. Ale jak oni ma w sobie to coś, co przykuwa uwagę. Tym razem, jak można sądzić, na dłużej. Jan Komasa, starszy raptem o 11 lat reżyser takich obrazów jak „Sala samobójców" i „Miasto 44", umożliwił aktorowi połączenie w jednej postaci cech stanowiących o jego oryginalności.

Nie bez powodu po wcześniejszych rolach kinowych – m.in w filmach „Disco polo" (2015), gdzie z niewinnym spojrzeniem grał diabolicznego oprawcę, „Na granicy" (2016; jurorzy festiwalu w Koszalinie nagrodzili go za „moc i wiarygodność"), ale też po tegorocznej premierze w „Ja teraz kłamię", w której zagrał zblazowanego przedstawiciela show-biznesu – powtarzały się głosy, że z taką twarzą i dynamiką może przekonująco grać zarówno psychopatę, jak i anioła. Jednak nie tylko fizjonomia pozwala Bieleni budować kolejne postaci ze wspomnianą już mocą i prawdą. Bohater najnowszego filmu to chłopak z kryminalną przeszłością, który po opuszczeniu zakładu poprawczego udaje księdza i charyzmą porywa otaczających go ludzi.

Urodzony w 1992 r. w Białymstoku Bielenia, absolwent krakowskiej PWST sprzed trzech lat, tak jak jego role nie daje się łatwo zdefiniować. Chłopak z Podlasia, swobodnie poruszający się na najważniejszych polskich scenach, bez kompleksów myślący o zagranicznych produkcjach, hipnotyzuje kolejnymi wizerunkami.

Jest bardzo przekonujący. Czy dlatego, że może się pochwalić wyjątkowo długim scenicznym doświadczeniem? Już jako siedmiolatek (odtwórca tytułowej roli w spektaklu „Mały książę") dostał angaż w białostockim Teatrze Dramatycznym. Do szkoły teatralnej w Krakowie dostał się za pierwszym podejściem. Jeszcze przed dyplomem został przyjęty do ze-

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a665b7dce2

społu Narodowego Starego Teatru. Dziś związany jest z warszawskim Nowym Teatrem Krzysztofa Warlikowskiego.

ZJAWISKOWA

Obok Marii Dębskiej (rocznik 1991) trudno przejść obojętnie. Podobnie jak obok jej ról. Uroda, osobowość, talent. Ale też mocny charakter. Obdarza nimi swoje bohaterki, z roku na rok potwierdzając, że sposób na życie, jaki wybrała, nie wziął się jedynie z genów i atmosfery filmowego domu, który tworzyli producent filmowy Zbigniew Domagalski i przecierająca szlaki dla kobiet reżyserek Kinga Dębska.

Jeszcze jako studentka łódzkiej Filmówki trafiła do obsady dwóch, jak się później okazało, znaczących filmów: „Moje córki krowy" Kingi Dębskiej oraz „Demona" Marcina Wrony (oba znalazły się w 2015 r. w konkursie głównym 40. festiwalu w Gdyni).

Dwa lata później przyjechała na festiwal z obsadą „Cichej nocy" w reż. Piotra Domalewskiego. Film zdobył Złote Lwy i nagrodę dla odtwórcy pierwszoplanowej roli, Dawida Ogrodnika, ale i młoda aktorka dała się zapamiętać znakomicie zbudowaną postacią siostry głównego bohatera, z pozoru najlepiej urządzonej życiowo, tymczasem maltretowanej przez męża.

W tym samym roku zagrała również w serialu „W rytmie serca". Jako starszy aspirant Weronika Nowacka – w pracy profesjonalna, prywatnie uwikłana w uczuciowy trójkąt – podbiła serca widzów.

Teraz o Złote Lwy walczyć będą dwa filmy z jej bardzo mocno zaznaczonym udziałem: osadzony w realiach II wojny światowej „Czarny mercedes" Janusza Majewskiego i „Piłsudski" Michała Rosy, gdzie wcieliła się w Aleksandrę Szczerbińską. Tymczasem trwa realizacja „Jesiennej dziewczyny". W tym filmie powierzono jej rolę Kaliny Jędrusik.

NA POCZĄTKU DROGI

Maria Sobocińska (rocznik 1994), ubiegłoroczna absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej, jest najmłodsza w aktorsko-operatorskim klanie. Wnuczka operatora Witolda Sobocińskiego oraz aktorów Wandy Chwiałkowskiej i Bohdana Mikucia; córka aktorki Hanny Mikuć i operatora Piotra Sobocińskiego. Ma też dwóch braci – operatorów filmowych – Piotra i Michała. Z takim rodzinnym zapleczem zapewne niełatwo zaznacza się własną artystyczną odrębność.

Debiutowała trzy lata temu w „Wołyniu", gdzie wcielała się w siostrę głównej bohaterki, dziś partneruje Pawłowi Wilczakowi w filmie Marcina Krzyształowicza inspirowanym losami autora „Złego". Akcja „Pana T." rozgrywa się w początkach lat 50. ubiegłego wieku.

„Wszystko dla mojej matki" Małgorzaty Imielskiej – również walczące o Złote Lwy – to „współczesny obraz dorastania w realiach zakładu poprawczego". W główną bohaterkę wciela się Zofia Domalik, tegoroczna absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej, córka aktorki Ewy Telegi i reżysera Andrzeja Domalika. Partnerują jej m.in. 19-letnia Helena Englert (córka Beaty Ścibakówny i Jana Englerta) oraz Maria Sobocińska.

Na początku kinowej drogi – za to od razu w głównej kobiecej roli – jest Wiktoria Wolańska (ur. 1993). Dla absolwentki warszawskiej Akademii Teatralnej sprzed dwóch lat, którą telewidzowie mogą kojarzyć z roli Ofki w „Koronie królów" czy Ady Poznańskiej z „Na Wspólnej", udział w filmie „Legiony" Dariusza Gajewskiego jest debiutem na dużym ekranie.

SPEŁNIONA OBIETNICA

Pięć lat wcześniej w filmie „Obietnica" Anny Kazejak zadebiutowała Eliza Rycembel (rocznik 1992). Aktorskie objawienie także dzięki kolejnym filmom – „Carte Blanche" (2015), „Niewinne", „#Wszystkogra" (2016); spektaklom Teatru TV czy takim serialom jak „Belfer 2".

Na 44. edycję FPFF przyjedzie jako tegoroczna absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej (którą przed wakacjami mogliśmy oglądać w serialu „Odwróceni. Ojcowie i córki") i aktorka trzech konkursowych filmów. W „Ciemno, prawie noc" Borysa Lankosza zagrała nastoletnią wersję głównej bohaterki (w tej roli Magdalena Cielecka), w „Piłsudskim" wcieliła się w Wandę Juszkiewiczównę. Najmocniej mogła zaznaczyć swoją obecność w „Bożym Ciele". Tymczasem trwa produkcja serialu „Osiecka", w którym tytułową postać współtworzą właśnie Eliza Rycembel i Magdalena Popławska.

BUNTOWNIK Z WYBORU

Stawkę młodych gwiazd tegorocznego festiwalu (choć w tym przypadku mówimy o roczniku 1987) zamyka Sebastian Fabijański. Aktor wyjątkowo mocno wchodzący w kolejne role. Nieustający buntownik – zarówno w filmowych kreacjach, jak i w życiu. Imponujący różnorodnością aktorskiego dorobku.

Mało kto pamięta, że debiutował w głównej roli na planie serialu „Tancerze" w 2009 r. Warszawską Akademię Teatralną ukończył sześć lat później. Zagrał m.in. w takich serialach, jak: „1920. Wojna i miłość", „Misja Afganistan", „Strażacy", „Belfer", „Pakt" czy „Ultraviolet". Przede wszystkim to jednak aktor kinowy. Z rolami w „Pod Mocnym Aniołem" i w „Mieście 44", w „Jezioraku" i „Paniach Dulskich", „Pitbullu. Niebezpiecznych kobietach", „Kobietach mafii" i „Botoksie", ale też w musicalowym „#Wszystkogra" i – tytułową – w megaprodukcji „Kamerdyner".

Ostatni tytuł, do którego zresztą, jak zawsze, przygotowywał się sercem, duszą i ciałem (ćwicząc zarówno jazdę konną, jak i grę na pianinie), wydawał się gwarantem aktorskiej nagrody w Gdyni 2018. Statuetkę otrzymał jednak kolega z planu – Adam Woronowicz, a Fabijański pozostał przy odebranej w Gdyni 2014 nagrodzie za aktorski debiut (podwójny: w filmach „Jeziorak" i „Miasto 44").

W tym roku przyjedzie na festiwal z ekipami „Legionów" (tu ma rolę równorzędną z Bartoszem Gelnerem) i „Mowy ptaków" Xawerego Żuławskiego, gdzie (sądząc po zwiastunach) brawurowo wcielił się w głównego bohatera. Może więc, mimo wyjątkowo długiej listy konkursowych tytułów, uda mu się tym razem wyjechać z Gdyni z aktorską nagrodą...

eprasa.pl a665b7dce2



Czas na nowy stary ANKH

Fot. Michał Kwaśniewski

Z Piotrem Krzemińskim, wokalistą i gitarzystą zespołu ANKH, rozmawia Marcin Wikło

Da się dzisiaj wyżyć z muzyki?

Piotr Krzemiński: Nasz zespół nie jest zamożny. Nie stoi za nami żadna duża wytwórnia, nie mamy wielkiego sponsora. I jeśli w tych realiach chcemy dzisiaj wydać płytę i umieścić ją na półkach w sklepach muzycznych, by mógł ją kupić każdy, to musimy poprosić o pomoc fanów. Szczegóły znajdą państwo na profilu facebookowym zespołu ANKH.

ANKH wygrał kiedyś festiwal w Jarocinie, potem przez lata graliście na wielkich scenach, kolejne płyty zyskiwały fanów. To spory dorobek, a mimo to jesteście dzisiaj poza rynkiem. Chcesz mi powiedzieć, że niepoddanie się dyktatowi dużych wytwórni może spowodować wykluczenie każdego artysty?

W zasadzie tak to wygląda. Duże wytwórnie zajęły praktycznie cały rynek wydawniczy. Jeśli z nimi trzymasz, to drzwi do salonu masz otwarte. Niezależni, jak my, muszą funkcjonować w tzw. offie, który akurat w Polsce jest zjawiskiem bardzo szerokim. Abstrahując od naszej muzyki, powstaje mnóstwo bardzo ciekawych rzeczy, w mojej ocenie kluczowych dla rozwoju, dla polskiej kultury. Ale wypłynąć bez siły wytwórni można tylko w określonym zakresie. Ja się na to nawet nie żalę, po prostu tak jest.

Czy to powoduje, że w życiu musicie robić coś innego, a muzyka jest tylko dodatkiem do pracy zawodowej?

Na co dzień jestem pedagogiem, prowadzę w Kielcach klub młodzieżowy Wolna Strefa w ramach Stowarzyszenia „Nadzieja rodzinie". Od 15 lat walczę z deficytami społecznymi u młodzieży. To jest w zasadzie moje źródło i centrum działania. Z innymi członkami ANKH jest podobnie, każdy coś robi. Muzyka jest w tym momencie kwestią pasji, nikt z nas nie zajmuje się nią zawodowo, choć ostatnio częściej koncertujemy.

Płyta, którą chcecie wydać, nosi tytuł „Tu jest i tam jest". To pierwsze wasze nagrania od 15 lat. Ile jest w nich starego ANKH?

Materiał powstawał przez lata, z bardzo prozaicznych, życiowych powodów wszystko się przesuwało i trwało dłużej, niż powinno. Artystycznie to może nawet nie wyszło na gorzej, tylko na lepiej. Brzmienie jest wciąż dla nas ważne i myślę, że jesteśmy rozpoznawalni. W nagraniach wzięło udział dwóch skrzypków: Michał Jelonek i związany z nami przez ostatnie lata Dominik Bieńczycki. Bardzo mocno nawiązujemy do starego ANKH, brzmień lat 90., ale w nowoczesnym, dojrzalszym wydaniu. Gdybym miał to jakoś zaszufladkować, to określiłbym naszą twórczość jako jazz-rock, ale nigdy nie chcieliśmy się zamykać w jednej stylistyce.

Podjęliście jednak jakieś działania, by nowe utwory zarejestrować i powstała z tego płyta...

Dzięki Urzędowi Miasta Kielce i Urzędowi Marszałkowskiemu wydaliśmy 500 egzemplarzy, które prawie w całości rozdaliśmy fanom na koncertach. Trochę mało. Chcemy, by płyta trafiła do każdego, kto lubi naszą muzykę i chciałby ją mieć.

W latach 90. płyta ulubionego zespołu w ręku to było coś. A teraz może czasy są takie, taki jest rozwój internetu i rynku muzyki w plikach elektronicznych, że myślenie o wydaniu płyty jest krokiem wstecz?

To jest pewnie kluczowe dla obecnych nastolatków, dla nich elektronika jest nawet nazbyt ważna. Nasze nagrania w internecie też oczywiście są. Ale człowiek jest taką przedziwną istotą, a szczególnie ten 30- czy 40-latek, do którego adresujemy swoją muzykę, że ceni sobie płytę, okładkę, może ją otworzyć, włożyć krążek do odtwarzacza, a książeczkę z tekstami przejrzeć. To jest jakaś wartość. Myślę, że ma to znaczenie także dla kolekcjonerów, jest ich bardzo wielu. Płyta w realnej formie jest dla mnie czymś bardzo na miejscu. Jeszcze jej czas nie przeminął. A może nawet wraca.

eprasa.pl a665b7dce2

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Seweryn forever

Ten rok jest dla mnie bardzo szekspirowski. Rozpięty między dwoma „Hamletami". Tym z Teatru Dramatycznego z Krzysztofem Szczepaniakiem (poszedłem dwa razy) i tym, na którego dopiero czekam, w Teatrze Telewizji – z Przemysławem Stippą. Były inne przedstawienia, choćby zaciekawiający „Król Lear" w Muzeum Powstania Warszawskiego. Było przypomnienie sobie po latach filmu „Zakochany Szekspir", który mnie teraz olśnił. Jest mnóstwo myślenia o Szekspirze, który ofiarował nam na deskach sceny cały świat.

Teatr Telewizji zaczął sezon w TVP Kultura spektaklem „Szekspir forever". To monodram Andrzeja Seweryna z Teatru Polskiego, będący wiązanką szekspirowskich scen przeplatanych słowem własnym. Niby przeniesiony wiernie na ekran ze sceny, co jest warunkiem powodzenia, bo aktor odgrywa swoisty show, dialogując z żywą publiką, którą trzeba także pokazać. A przecież jednak bardzo telewizyjny, skoro Seweryn w finale rozmawia sam z sobą, wreszcie rozdzielając się w pełni, dzięki pracy kamer, na dwie osoby – Ryszarda III (wtedy jeszcze księcia Gloucestera) i napastowanej przez niego podczas pogrzebu Lady Annę. W teatrze nie da się takiego efektu osiągnąć.

Artysta, który jest współautorem scenariusza i reżyserem, opowiada o Szekspirze, bawi się nim, posuwa teatralną umowność do granic (trzy role kobiece), czasem jest bliski ekshibicjonistycznej bufonady, ale jej nie przekracza. Przeciwnie, oferuje nam mnóstwo uwag celnych, ujmujących, a czasem przejmujących. Jego różnorodność aktorskich technik i wrażliwości, prawdziwy wachlarz, odpowiada kosmicznej różnorodności dramaturga ze Staffordu.

Ciekawie mówi o sensie postaci Falstaffa. Wstrząsająco wypowiada monolog Tymona Ateńczyka. I wreszcie w przywołanej końcowej konfrontacji dwóch postaci: demonicznego kaleki ze zranioną kobietą powala przynajmniej mnie na kolana. Powtórzę to, co pisałem niedawno przy okazji „Zakochanego Szekspira": wszystkiego potem było więcej, z większymi komplikacjami, ale tak naprawdę wszystko nam opowiedział już ON. I trzeba pośrednika rangi Seweryna, żeby nam to uświadomić tak do końca.

To także wielki triumf tłumacza Piotra Kamińskiego, który to wszystko raz jeszcze przetłumaczył, unowocześniając, a jednak niczego nie roniąc. A jeszcze słowo co do aktora. Miewam do niego czasem pretensje o tę czy inną decyzję związaną z prowadzeniem teatru czy nadmiernym zaangażowaniem w politykę (mógłby być bardziej ponad to, jak choćby inny gigant, Jan Englert). Ale to jeden z tych naszych wielkich, którzy czynią teatr czymś żywym, potrzebnym, uzależniającym mnie jak najmocniejszy narkotyk.

Zaczął się ten sezon, jak widać, bez taryfy ulgowej dla gustu masowego. Oferty, jakich wysłuchałem ostatnio w gmachu na Woronicza, zatykają dech w piersiach. Pierwsza w historii teatralna inscenizacja „Innego świata" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (adaptacja i reżyseria Igor Gorzkowski), „Dzień gniewu" Romana Brandstaettera (reżyseria Jacek Raginis-Królikiewicz), „Imperium" Wojciecha Tomczyka (reżyseria Robert Talarczyk), wreszcie wspomniany „Hamlet" przyrządzony przez Michała Kotańskiego – to tylko przykłady. Swoje produkcje pokażą po raz pierwszy reżyserka filmowa Kinga Dębska i reprezentantka młodego teatralnego pokolenia Lena Frankiewicz. Czy dostaniemy w sumie wszystkie barwy świata jak u Szekspira? Nie wiem, ale istnieje na to szansa.



Piotr Zaremba



Spowiedź w przedziale Intercity

Żółć, żal i zwątpienie, na początku tego monologu rozbrzmiewające najgłośniej, szydliwie, cichną aż do ostatniego zdania: prośby

Wojciech Stanisławski

Śledząc żar i jad dzisiejszych wypadów antyklerykalnych (które, przyznajmy, nieraz spotykają się z równie mało finezyjnymi kontrami), można westchnąć za filozofami oświecenia, którzy wadzili się z Bogiem i Jego sługami nie zawsze z dobrymi intencjami, ale zawsze z pewną elegancją. Można zatęsknić i za figlem jednego z największych polskich eseistów, Jerzego Stempowskiego, który, studiując w Berlinie w czasach przed pierwszą wojną światową i będąc nader wolnomyślnych przekonań, na pytanie ankietera dokonującego spisu powszechnego o swe wyznanie odparł „wolterianin" – po czym z niemałą satysfakcją przeczytał w wydanym rok później opracowaniu, że w Cesarstwie Niemieckim wśród dziesiątków innych wyznań figuruje i „wolterianizm", mający słownie jednego wiernego.

Brytyjski filozof Tim Crane jest chyba bardziej wyznawcą Davida Hume'a niż Woltera. Zdeklarowany ateista poświęcił swój opublikowany właśnie przez PIW esej rozważaniom nie tyle nad prawdziwością wiary religijnej, ile nad jej sensem i wewnętrzną spójnością, traktując swój głos jako polemikę z agresywnym plemieniem „nowych ateistów" spod znaku Richarda Dawkinsa. Crane stara się wytłumaczyć rzeszom osób radykalnie niewierzących religię jako zjawisko bardzo konkretne, mierzalne socjograficznie, kto wie, może nawet decydujące o losach świata, skoro wyznawanie którejś z religii deklaruje współcześnie 80 proc. ludzkości – a zarazem jako doświadczenie pojedynczego człowieka, które może nadać sens życiu jako całości.

To lektura ciekawa, szczególnie może dla osób wierzących – ciekawa w podobny sposób, w jaki dziś zajmować nas mogą dociekania badaczy sprzed wieków, poszukujących flogistonu, eteru i jednorożców: pokazuje bowiem skalę nieuchronnego pewnie niezrozumienia. Brytyjski filozof jest w stanie zdystansować się od ateistycznych radykałów, głoszących nie tylko, że religia jest „czymś w rodzaju fałszywej kosmologii", lecz że jej nieprawdziwość stanowi wystarczający powód, by czynnie się angażować w jej niszczenie. Jest w stanie wykazać fałszywość tuzina komunałów w rodzaju „religie są głównym źródłem przemocy na świecie", wskazać potrzebę porządkowania życia poprzez wspólnotowe rytuały.

To jednak ciągle historia i socjologia – im bliżej zaś transcendencji, tym bardziej Crane staje się bezradny. Jest w stanie wskazać istnienie wśród ludzi tego, co nazywa „impulsem religijnym", przez co rozumie „poczucie, że istnieje coś więcej niż świat fizyczny". Czym jednak miałoby być to „coś więcej" i dlaczego jego istnienie miałoby nas do czegokolwiek zobowiązywać? Filozof nie szuka odpowiedzi na to pytanie, pozostaje na stanowisku negocjatora, który usiłuje zbliżyć stanowiska „nowych ateistów" i „ludzi wierzących" – by ostatecznie odnotować, że „obie strony przekrzykują się nawzajem".

Trudno byłoby Crane'owi zrozumieć tekst tak niezwykły, jak opublikowane właśnie opowiadanie „Mniszek"

eprasa.pl a665b7dce2

ort ekstremalny

Andrzeja Horubały. Ja wiem, jeszcze od czasów powieści „Farciarz" (2003), a potem „Przesilenie" (2010), że to właśnie ten autor potrafi nazywać rozszczepienie między podniosłością a trywialnością, które jest nieodłączne od życia wspólnoty religijnej, a konkretnie: Kościoła w Polsce pierwszej połowy XXI w., od chrześcijanina, umieszczonego w tym osobliwym czasie. Wiedziałem, że to Horubała, w odróżnieniu od autorów ckliwych powieści o szlachetnych proboszczach, od youtube'owych kaznodziejów, kokietujących swoją niby-przaśnością, potrafi naprawdę wyzwolić język, jakim pisze się i mówi w Polsce o wierze i o Kościele, obmyć ten język z kisielu podniosłych słów, oskrobać go z werniksu, zakpić z kiczu i napuszenia. Tyle że robi to nie, jak chłopięta z młodzieżówki „Więzi", po to, by zabłysnąć swoją szlachetnością i smakiem (a najlepiej na łamach „Wyborczej"): Horubała zdziera te werniksy i lukry po to, żeby sięgnąć głębiej.

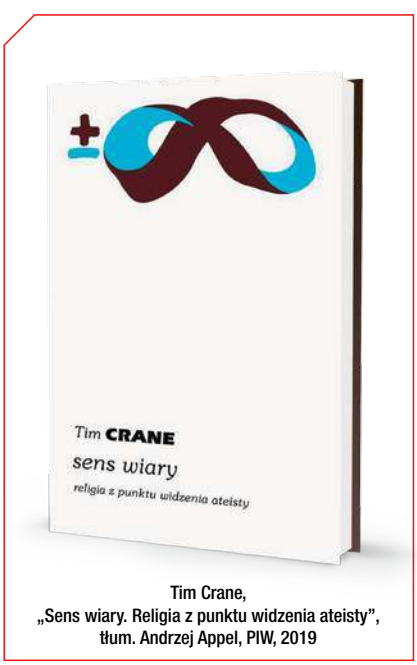
To wiedziałem już wcześniej – ale „Mniszek", prócz witriolowej ostrości w odrzucaniu tego, co bywa w codzienności Kościoła niepotrzebne, błahe, złe, sięga również do rzeczy najgłębszych: do pragnienia dowodu na prawdziwość wiary, do pierwszej pokusy – czyli wyboru wolności, która jest odrzuceniem Boga. Sięga też do najtrudniejszego dla chrześcijanina pytania o sens cierpienia, na które tak samo trudno dać odpowiedź w czasach Hioba i w hallu Instytutu Onkologii.

Oczywiście, w pierwszym czytaniu największe, wyzwalające wrażenie robi szarża po bałwochwalczym podnoszeniu do rangi świętości rzeczy, które świętościami nie są, jak choćby poematy Karola Wojtyły: „Co mnie obchodzi, że »zatoka lasu zstępuje w rytmie górskich potoków...«, że papież się wzrusza? Ja też się wzruszałem [...] Pan wie, że to wszystko dęte, z tymi doświadczeniami mistycznymi naszego papy? [...]. Niczego, niczego w jego zapiskach nie ma. [...] Wszystko takie... proboszczowe, łagodne". To szarża na granicy prowokacji, szarża wyzwalająca po latach zaśmiewania się przez nas w kułak z brzydkich pomników świętego Jana Pawła, odlewanych w betonie chyba ze sztancy; z „formacyjnych" gazetek, wypełnionych przepisami siostry Judyty na kisiel i lirykami religijnymi Asnyka; z ceremonii parafialnych, z obowiązkowym przemówieniem delegacji pierwszokomunijnych dzieci i kwiatami w celofanie. A do tego – bezbłędny słuch językowy Horubały („Tak: byłem znanym księdzem, nawet trochę – taki mamy zakon – celebrytą"), jego zdolność zauważania jednocześnie wszystkiego, co dzieje się w popkulturze („Zonk!") oraz ważnych, ukazujących się współcześnie tekstów i filmów, stanowiących broń w wojnie kulturowej. Bo można przecież spojrzeć na „Mniszka" również jako na refutację książki tak gorzkiej i napisanej z tak wyraźną intencją zranienia jak „Mnich" byłego zakonnika Tadeusza Bartosia, który ukazał się wiosną tego roku.

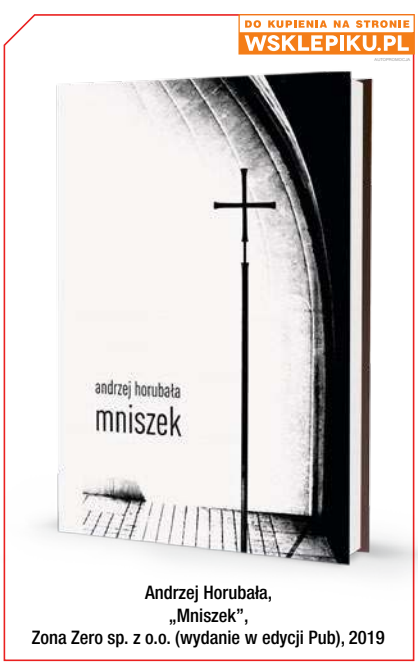
Nie to jest jednak najważniejsze. Bohater „Mniszka" to błyskotliwy, cierpki dominikanin w nieco więcej niż średnim wieku. Wyzbył się już złudzeń pod swoim adresem, trawi go autoironia („Tak, trafnie pan rozpoznał: jestem księdzem. Że co, że ten pietyzm, z jakim sobie przyrządzam herbatę, przypomina liturgiczne gesty? PKP Intercity serwuje Państwu bezpłatny poczęstunek – kawa, herbata, woda – i jesteśmy zdemaskowani").

Nie wiem, czy autorowi spodobałoby się wskazanie tej paranteli, ale dla mnie oczywiste jest, że „Mniszek" podejmuje grę z „Upadkiem" Camusa: ten sam gorączkowy monolog osoby, która miała o sobie dobre mniemanie – i nie może poradzić sobie z doświadczeniem własnej słabości. Dominikanin nie ma żadnej litości dla swojej próżności („Strzygłbym starannie tę bródkę i wąsy, przecierał swoje dyskretnie eleganckie okulary bez oprawek i ciągnął jakoś ze sławą dawnego błyskotliwego wykładowcy") ani pychy. I z tą cierpkością wobec współbraci, bezwzględnością wobec siebie dokonuje wobec nie do końca przypadkowego współpasażera w przedziale (stary żart literacki!) opowieści-spowiedzi: o poczuciu wyższości („Ta pogarda dla składających żałosne puzzle codziennych drobnych epifanii, dla cierpliwie nizających paciorki kolejnych dni i poprzestających na tym"), o geście-wyzwaniu, który sprowokować ma odpowiedź Boga – i o cenie tego zakładu. Żółć, żal i zwątpienie, na początku tego monologu rozbrzmiewające najgłośniej, szydliwie, cichną aż do ostatniego zdania: prośby.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL



Tim Crane,
„Sens wiary. Religia z punktu widzenia ateisty",
tłum. Andrzej Appel, PIW, 2019



Andrzej Horubała,
„Mniszek",
Zona Zero sp. z o.o. (wydanie w edycji Pub), 2019

eprasa.pl a665b7dce2

Adamski



Wielkie kino!

Nie dziwię się, że Quentin Tarantino nazwał Koreańczyka Bong Joon-ho „absolutnym wizjonerem" i „nowym wcieleniem Spielberga". Nagrodzony tegoroczną Złotą Palmą „Parasite" to brawurowa stylistycznie i przenikliwa opowieść klasowa o rozwarstwiającym się społeczeństwie koreańskim. Reżyser podkreślał w wywiadach, że chciał zrobić film o rodzinach, które w normalnych okolicznościach nie mogłyby się z sobą spotkać. Jedną z nich poznajemy w piwnicznej ruderze, gdy próbuje złapać kradziony z pobliskich mieszkań i barów sygnał wi-fi. Chce żyć życiem klasy średniej i korzystać z bogactwa Korei Płd. Jak jednak je osiągnąć, gdy jedyną pracą jest składanie opakowań do pizzy. Druga rodzina mieszka w wielkim, nowoczesnym domu, zaprojektowanym przez światowej sławy projektanta.

Ki-woo jest inteligentnym chłopakiem, który pragnie się wyrwać z piwnicy z oknami wychodzącymi na podwórze, gdzie pijacy oddają mocz. Gdy kolega proponuje mu udzielanie korepetycji córce z bogatego domu, dostrzega szansę na wyjście z tego rynsztoka. Z pomocą siostry fałszuje dyplom ukończenia studiów i wkracza w bajkowe życie wyższej klasy, którą znał do tej pory jedynie z telewizji. Dwójkę dzieci wychowuje naiwna i infantylna żona korporacyjnego prezesa oraz bacznie pilnująca ogniska domowego gosposia. Ki-woo knuje intrygę, by przejąć wraz z rodzicami i siostrą kontrolę nad życiem „burżujów".

Bong Joon-ho w mistrzowski sposób przepływa między filmowymi gatunkami. Zaczyna od groteskowej komedii, potem przechodzi do sensacyjnego heist movie, ociera się o makabreskę, rasowy gore i gładko wchodzi w sentymentalne kino obyczajowe. Wizualnie „Parasite" olśniewa, jest precyzyjnie przemyślany. Z każdą sceną otwieramy kolejną szkatułkę i wchodzimy do piekielnych kręgów obu rodzin.

Jest ostatnio moda na klasowe opowieści o społecznych nierównościach i pękniętych społeczeństwach. „Roma" czy „Faworyta" to przykłady tylko z ostatnich miesięcy. „Parasite" bardzo przypomina kapitalne tegoroczne „To my" Jordana Peele'a. Zarówno Amerykanin, jak i Koreańczyk opowiadają o zemście klasowej i wyjściu stłamszonych i odtrąconych spod ziemi. Tytułowy pasożyt nie odnosi się tylko do „burżujskiej klasy wyzyskującej lud". Podstępne działanie osaczającej bogaczy biednej rodziny jest nie mniej paskudne jak trudno ukrywana pogarda dla plebsu przez wyższe sfery.



Kino

Bong Joon-ho patrzy szerzej na klasowe podziały bogatej Korei. Pod brutalną satyrą i groteską kryje się niepokojąca opowieść o walce o przetrwanie, obawie o stratę pozycji społecznej i skundleniu przez system. Postacie „Parasite" dzieli materialna pozycja. Łączy je jednak obawa przed stratą „czegoś, co do nich niezmiennie przylega" (wątek kamienia), podskórna i nie zawsze uświadomiona niechęć do drugiej klasy oraz strach przed bombą atomową psychopatycznego sąsiada z Korei Płn. Nikt nie będzie się podczas tego rollercoastera czuł komfortowo i jednocześnie nikt nie będzie mógł oderwać wzroku od bezczelnie przewrotnej opowieści, gdzie nawet potop nie oczyszcza.

„PARASITE", REŻ. BONG JOON-HO, DYSTR. GUTEK FILM

Prawdziwy Bond

Eli Cohen ps. Operative 88 i Menasze to jeden z najsłynniejszych szpiegów Mosadu, który zinfiltrował rząd Syrii. Został stracony w 1965 r., a jego egzekucję relacjonowała na żywo telewizja syryjska. Wyblakły, paradokumentalny styl sześcioodcinkowego serialu „The Spy" zadowoli miłośników historycznych produkcji. Jego autorem jest izraelski filmowiec Gideon Raff, który nakręcił serial „Więźniowie wojny", przerobiony potem przez Hollywood na „Homeland". To nie tylko trzymająca w napięciu szpiegowska historia pokazująca, jak pracuje prawdziwy Bond, lecz także poruszająca opowieść o miłości małżeńskiej poświęconej dla dobra ojczyzny. Najmocniej zachwyca główna rola komika Sachy Barona Cohena. Znacie go z szalenie niepoprawnego politycznie humoru w „Boracie", „Bruno" czy serialu „Who is America?". Tutaj pokazuje się jako znakomity dramatyczny aktor z ogromnym potencjałem do wykorzystania. Mimo Oscara dla Rami Maleka, wciąż żałuję, że to nie Cohen zagrał Freddiego Mercury'ego. Ten serial udowadnia, jak wiele subtelności potrafi wyciągnąć z historycznej postaci.

„THE SPY" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE



VOD

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl a665b7dce2

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Masakra poprawności politycznej



Homofob, transofob i w ogóle prawie rasista. No może z tym ostatnim przesadziłem, bo Dave Chappelle jest Afroamerykaninem, więc trudno przypiąć mu tę łatkę. Jednak gwiazdę amerykańskiej komedii złapano na łamaniu norm poprawności politycznej, których łamać absolutnie nie wolno. Chappelle już w zwiastunie swojego show na przepojonym na co dzień poprawnością polityczną Netflixie zapowiada, że włączacie go na własną odpowiedzialność.

„Sticks and Stones" doprowadziło do furii lewicowych i liberalnych krytyków. Widzowie stand-up Chappelle'a pokochali, natomiast krytycy znów pokazali, jak bardzo ideologia zmasakrowała im mózgi. Czarnoskóry komik „nie bierze jeńców" w swoich występach i jedzie o wiele mocniej i dobitniej niż jego biali koledzy uważający, by nie urazić uczuć wrażliwej śnieżynki.

Stand-up Chappelle'a z Atlanty to żarty nie tylko z prawicy (to akurat robić wolno), ale z LGBT, genderyzmu, transseksualizmu, #MeToo czy pedofilii Michaela Jacksona. O ile ostatni temat jest hardcore'owym wykopaniem drzwi z napisem tabu, to kawałki o LGBT pokazały, jak bardzo poprawność polityczna i nazwisko Chappelle nie idą w parze. To o tyle istotne, że komik całkowicie zrezygnował z wykpiwania Donalda Trumpa, co jest gwoździem programu całej dzisiejszej satyry. „Nieważne, co zrobisz w swoim występie, nigdy nie wolno ci zrobić jednej rzeczy. Nie wolno ci zdenerwować »ludzi od alfabetu«. Wiecie, kogo mam na myśli. Ci ludzie wzięli 20 proc. alfabetu dla siebie. Nazywam ich L, B, G i T" – mówi, po czym wbija szpilę w najbardziej drażliwie miejsca nietykalnych ciał „ludzi alfabetu".

Mnie najmocniej rozłożyła na łopatki część o aborcji. Komik zaczyna oczywiście od tego, że jest za prawem kobiety do wyboru. Tego świeckiego dogmatu nikt dziś w mainstreamie amerykańskiego show-biznesu nie podważa. Jego nowy show był nagrywany zresztą w Atlancie, gdzie niemal całkowicie zakazano aborcji, więc miał Chappelle pole do popisu. Jednak powiedział o aborcji coś trafniejszego niż elaboraty pro-liferów.

„Jeżeli możecie zabić to dziecko, to dajcie mężczyznom prawo do jego porzucenia. Moje pieniądze. Mój wybór. Jeżeli się mylę, to może wszyscy się mylimy. Sami to g... rozkmińcie" – wypalił do skonsternowanej widowni. Uderzył w sam splot słoneczny, obnażając hipokryzję i obłudę aborcjonistów. Chappelle przypomniał, czym powinna być satyra. Ponadczasowa i dokumentująca swoje czasy. Rozdrapująca, drażliwa i niezwracająca uwagi na żadne święte krowy. Taka była za czasów Richarda Pryora, którego godnym następcą jest Chappelle. Ostrzegam, że będziecie oburzeni i zszokowani „Sticks and Stones". Jeżeli nie jesteście przyzwyczajeni do wulgarności stand-upu, to sobie to odpuścicie. Jak jesteście fanem tego rodzaju satyry, będziecie zachwyceni. Szczególnie gdy lubicie patrzeć na ból spiętych pośladków tęczowych inkwizytorów od Orwellowskiego świata.

VOD

„STICKS AND STONES" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Traktat teologiczny

Z cyklu Adamski poleca klasykę. W bogatej bibliotece HBO GO znajdziecie dzieło z 2011 r., które można porównać do najwspanialszych teologicznych filmowych rozważań w zachodniej kinematografii. A jest to sztuka napisana przez co najwyżej agnostyka Cormaca McCarthy'ego.

Jest ich dwóch. Niedoszły samobójca, nihilista i profesor cynik (Tommy Lee Jones) oraz nawrócony, wychowany na ulicy eksskazaniec (Samuel L. Jackson). Jeden ma w sobie wyłącznie



gorycz intelektualisty zawiedzionego kulturą, sztuką i ludzką kondycją. Jest jak Houellebecq, tyle że w przeciwieństwie do francuskiego skandalisty nie chce nawet spojrzeć w stronę krzyża. Drugi chce być świadkiem Chrystusa w duchu pierwszych chrześcijan. Jego celem jest uratowanie duszy profesora. W półtoragodzinnej walce bohaterowie dotykają tajemnicy cierpienia, samotności, odkupienia, ale też wolnej woli. Mamy wątki eschatologiczne i drażliwe tło społeczne. Dwóch wybitnych aktorów. Tekst znakomitego pisarza i świetna reżyseria Tommy Lee Jonesa. Oto istota kina!

„SUNSET LIMITED" DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl a665b7dce2



Tam, gdzie zawsze słychać szum traw

Stoję w Tomaszówce, 80 lat od tamtych wydarzeń. W takich chwilach najwięksi twardziele miękną. Nigdy do takich nie należałem – teraz najzwyczajniej w świecie łkam



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

2 września wyruszyłem do Tomaszówki na Białorusi. Jako jedyny krewny mego zamordowanego dziadka Aleksandra Leszczyńskiego, ojca mojej matki, zostałem zaproszony przez konsula generalnego RP w Brześciu Piotra Kozakiewicza. Miało się tam odbyć uroczyste poświęcenie 15 krzyży na grobach polskich żołnierzy rozstrzelanych 28 września 1939 r. Pomknąłem swoim autem do Terespola, a stamtąd zabrał mnie dyplomatyczny samochód z konsulatu. Jechaliśmy przez Białoruś, cesarstwo niepodzielnego Łukaszenki, który rządzi tam już 22 lata. Cóż za ponura okolica – myślałem, omiatając wzrokiem na wpół zdziczały pejzaż, złożony z lasów, chaszczy i chat pamiętających lata 20. XX w. W sklepiku mój kierowca pan Eugeniusz zapłacił za dwie paczki ciemnego chleba zapakowanego w celofan i dwa topione serki. Smutno tu, wręcz obco – kontemplowałem. Zaraz potem pojawiły się współczesne domki dla pracowników sowchozu. – Tu nikt niczego nie posiada na własność. One nie należą do ich mieszkańców, którzy są w ten sposób całkowicie uzależnieni przez Łukaszenkę. Mają pracować i tyle – podsumował mój kierowca. – Tu nikt już nie ma nadziei. Panują cenzura i zamordyzm.

I oto jestem w Tomaszówce, tuż obok Włodawy – niewielkiej stacji kolejowej. Stoję obok asfaltowej drogi, tuż przy prostokątnym cmentarzu, strojnym jedynie w smukłe topole, z nowo postawionymi krzyżami. Grube bale krzyży, pomarańczowe słoje. Na każdym identyczna tabliczka z napisem: „Żołnierz nieznany – 1939". Zamiast dawnych przegniłych desek, pokrzyw i bluszczu. Teren został wreszcie uporządkowany, jak przystało na godne uczczenie poległych.

Czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Moje wzruszenie nie sięga jeszcze apogeum, ale wiem, że nie będzie łatwo. Rozglądam się wokół. Pojawiają się pierwsi goście. Są: pan konsul, pani Alina Jaroszewicz z tutejszego

eprasa.pl a665b7dce2

kwartalnika „Echa Polesia", pani Wanda i jej szkolny kolega pan Bogdan, ksiądz. Gdy Sowieci rozstrzeliwali polskich żołnierzy, oboje mieli po pięć lat.

Zaczyna się ceremonia. Przybyli odmawiają wraz z księdzem modlitwę. Później składamy wieniec, kwiaty, zapalamy znicze. Przemawia konsul Kozakiewicz, kreśląc w prostych, pięknych zdaniach odwieczną prawdę o tym, że podobnych miejsc są setki, a może tysiące. O nieodkrytych nigdy mogiłach, zatartych latami obojętności grobach, spowitych letnim kurzem gościńca. Czasem tylko z daleka bieli się wśród traw brzozowy krzyż.

Stoję, modlę się i wreszcie zaproszony przed krzyże zaczynam swą opowieść. O tym, co przekazała mi moja mama, co ocalało dziś w mojej pamięci. Czyż można to zapomnieć? Uronić choćby jedno zdanie, jedną scenę, blask tamtego wrześniowego dnia 1939 r.? Tak, mam ciągle w uszach słowa córki swego ojca – wówczas 16-letniej dziewczynki, która kilka tygodni przed wybuchem II wojny światowej wracała Batorym z Argentyny do Gdańska. Ci, którzy wtedy powrócili, nie zdawali sobie sprawy, co ich czeka.

* * *

Aleksandra Leszczyńskiego, dyrektora Linii Żeglugowych Gdynia – Ameryka (GAL), wzięli „z pościeli" 26 sierpnia 1939 r. Miał wtedy 48 lat. Ubierał się cicho, aby nie zbudzić dzieci, które o godz. 6:00 spały w swoich pokojach. Żona zrobiła mu na drogę kanapki i przygotowała termos z herbatą.

Oddział polskich jeźdźców zbliżał się do Włodawy, nieopodal Tomaszówki. Niespełna dzień wcześniej stracili w potyczce z licznym oddziałem bolszewików paru kolegów. Znów przybyło kilku rannych. Ubywało ich. Oddział początkowo liczył 120 konnych. Mieli trzy armatki. Zostało ich 15. Na dnie manierek mieli po kilkanaście kropel wody. Pili jak opętani. Niejedną twarz przyozdabiał wąs. Wielu żołnierzy miało niebieskie oczy – niebieskie jak chabry, które dawno przekwitły na łąkach. A może jeszcze bardziej podobne do polskiego nieba – niebieściutkiego nieba 1939 r. – bez jednej chmurki od wielu dni. Oddział miotał się. Mijali wioski i sioła. Opustoszałe jak na wojnie. Przed nimi niezmiennie ta sama droga – jasnopopielaty gościniec. Z przewróconą kapliczką z Matką Boską. Z przetrzebionym folwarkiem. Spaloną brzeziną. Jechali, milcząc. Z wysokości siodeł omiatali wzrokiem powalone stodoły, doszczętnie spalone kościoły. Ołtarze chrześcijańskiej wiary były plugawione. Kobiety gwałcone. Mężczyzn rozstrzeliwano bez sądu. Polski oddział mijał zwęglone, jeszcze wczoraj bielusieńkie dworki. Charakterystyczne ganki i schodki przy wejściu były rozprute pociskami. Ciągle spotykali ciała poległych. Najczęściej swoich. Ich sylwetki były poskręcane, jakby pogięte. Zawsze otwarte oczy. Jakby umierali w biegu. W całkowitym zaskoczeniu. Zwalniali. Cwał przechodził w kłus, potem w trucht. Na grzebanie zabitych nie było czasu. Gdzieś niedaleko słychać było wystrzały. Coraz częściej kanonadę. Rosjanie parli ze Wschodu – w głąb Polski. A z drugiego krańca szli jak taran Niemcy. Przypominało to żelazne obcęgi, którymi dwie wrogie armie, krok po kroku dławiły opór Polaków.

Wreszcie dotarli do Tomaszówki. Tu, na kwadrans przystanęli, szukając studni, żeby napoić konie. I wtedy pojawił się jak spod ziemi kilkakrotnie razy liczniejszy oddział Rosjan. Jeden z Polaków (wbrew rozkazowi dowództwa, by nie atakować Sowietów) odruchowo sięgnął do kabury po parabellum. To był odruch! Otoczeni w nierównej walce zostali wystrzelani. Kilku ocalałych żołnierzy Rosjanie ustawili pod topolami. Padli od kul. Ich krew szybko wsiąkała w ziemię. Wielu leżało na plecach. Jakby śmierć zaskoczyła ich we śnie. Śmierć była im przeznaczona.

* * *

Stoję w Tomaszówce, 80 lat od tamtych wydarzeń. Nad głową szumią topole, między gałązkami mocno przygrzewa słońce. W ostatnich dniach lata modlę się, a gdy to czynię, czuję, że coś rozsadza mnie od środka. W takich chwilach najwięksi twardziele miękną. Nigdy do takich nie należałem – teraz najzwyczajniej w świecie łkam.

Tego samego dnia, już o zmroku, wracam do domu. Wracam do Polski, jakże innej od Białorusi. Kraju romantycznych, wielce ambitnych ludzi, w którym powstaje ciągle coś nowego, szlachetnego, choć i tu nie brakuje bełkotu i tandety, animozji, jedni nienawidzą drugich, zdarzają się rzeczy, które przynoszą wstyd. Zastanawiam się zawsze dlaczego i komu to służy? Kto tu zaciera ręce? Dlaczego nie zawsze potrafimy nazywać spraw po imieniu? Skąd w Polakach wciąż drzemie tyle pogardy dla braci? Zwykłego egoizmu i pychy?! Ale nic – myślę. – Jeszcze stać Polskę na wiele. Zawsze wtedy gdy bywało źle, wstawaliśmy z kolan. Odradzaliśmy się! Będzie tak i tym razem.

W mojej elektronicznej poczcie znajduję nieco spóźniony dokument. Nadesłała mi go Małgorzata Leszczyńska ze Szczecina, moja krewna, wnuczka dziadka Aleksandra. „Działo się to dnia 1.03.1940 r. przede mną, asesorem notarialnym Mieczysławem Jabłońskim, stawił się Alfons Grajewski (lat 31) i okazując legitymację Ministerstwa Skarbu, złożył oświadczenie: »W dniu 28 IX 1939 r. podczas mego pobytu na plebanii w osadzie Tomaszówka pod Włodawą, przywieziono na furach spod Szacka 15 zabitych mężczyzn na cmentarz przy kościele. Pomagałem przy grzebaniu poległych. Wśród nich rozpoznałem znanego mi wcześniej Aleksandra Leszczyńskiego, dyrektora Spółki Akcyjnej Gdynia – Ameryka Linie Żeglugowe. Twarz zmarłego była nienaruszona, a rany były w okolicy brzucha. Przy zabitym nie było dokumentów, natomiast znaleziono je porozrzucane w lesie. Był wśród nich paszport zagraniczny z fotografią i legitymacją służbową GAL. Pochowaliśmy go w grobie no. 7, licząc od bramy, przy katolickim kościele parafialnym w Tomaszówce. Wspólnie z Franciszkiem Malickim – urzędnikiem kolejowym, w tym dniu sporządziliśmy protokół z czynności pogrzebowych. Wszystko mogę poświadczyć pod przysięgą. Akt ten stawającemu odczytany i przyjęty został. Opłat stemplowej złotych 5, tytułem 10% dodatku groszy 50 pobrano gotowizną«".

Czytam list od Małgorzaty raz, drugi i kolejny. Nie mogę się powstrzymać od refleksji. Cóż uczynili z nami Niemcy i Rosjanie? Zdobywcy, rozhulali się. Gwałcili polskie kobiety, mordowali obrońców Polski, niszczyli ołtarze – to co mieliśmy i mamy najbardziej świętego. Czasami po pijanemu grali na organach.

eprasa.pl a665b7dce2

Po pierwsze, demografia



Zakończenie roku akademickiego na Uniwersytecie Virginia w Charlottesville, USA

Fot. Andriy Blokhin/Shutterstock.com

Analiza światowych trendów demograficznych oraz rozwojowych wymusi zmianę polityki Waszyngtonu wobec obecnych i potencjalnych sojuszników. Europa, traktowana jako całość, ze starzejącym się społeczeństwem oraz widocznym już spowolnieniem gospodarczym, w której wydatki na armię i obronność lądują na końcu priorytetów, staje się coraz mniej atrakcyjnym partnerem



MAREK BUDZISZ

W sierpniu 1980 r. Lech Wałęsa, wówczas przywódca związkowy, rzucił niemiłosiernie wyśmiewane później przez komunistyczne media hasło „Polska drugą Japonią". Jak wyjaśniał po latach, jego celem było ożywienie zbiorowej wyobraźni Polaków przykładem kraju, który odniósł niekwestionowany sukces i mógłby się stać wzorem dla Polski.

40 lat później trudno zapewne znaleźć w Polsce zwolennika dogonienia Japonii. Nie dlatego, że nasze możliwości zmalały, a aspiracje skarlały, ale wzór znacznie stracił na atrakcyjności. Wystarczy stwierdzić, że japoński PKB, który w 1995 r. wynosił 5,4 bln dol., dziś (2017) oceniany jest na 4,87 bln. To nadal bardzo dużo, ale o sukcesie trudno mówić. Perspektywy też nie są różowe. Między rokiem 1985 a 2013 udział ludzi, którzy przekroczyli 65. rok życia, w japońskim społeczeństwie wzrósł z 10 do 25 proc. Do 2060 r., jak szacują tamtejsi demografowie, wzrośnie do 40 proc. Zjawisku temu towarzyszyć będzie wyludnianie się kraju, którego ludność zmniejszy się ze 128 mln obecnie do mniej niż 100 mln za 40 lat. Innymi słowy mniej ludzi będzie pracowało. Kto zatem przyczyni się do wzrostu gospodarki kraju?

PUSTYNNA ROSJA

Tysiące kilometrów na Zachód od Tokio, w Moskwie, problemy demograficzne już przyprawiają lokatorów Kremla o ból głowy. Kilka dni po kwiet-

eprasa.pl a665b7dce2

niowym zwycięstwie Wołodymira Zełenskiego prezydent Rosji oświadczył, że jego kraj wprowadza procedury umożliwiające mieszkańcom separatystycznych republik w Donbasie uzyskanie rosyjskiego obywatelstwa w przyspieszony i ułatwiony sposób. Wkrótce potem powiedział zresztą, że Moskwa rozważa rozszerzenie tego programu na wszystkich obywateli Ukrainy, którzy chcieliby wyemigrować do Rosji. Wówczas zapowiedzi te odebrane zostały jako typowe rosyjskie zagranie mające na celu zaostrzenie sytuacji, aby w momencie ewentualnego rozpoczęcia rozmów pokojowych z Kijowem było z czego ustąpić.

Niewielu obserwatorów, może poza zawodowo zajmującymi się Rosją, powiązało stanowisko Putina z wcześniejszymi 10 miesięcy rewelacjami odpowiadającego za rozwój gospodarczy Rosji ministra Orieszkina. Otóż w trakcie toczącej się w Rosji dyskusji publicznej na temat przyczyn, dla których kraj rozwija się wolniej niż w poprzednich dziesięcioleciach i wolniej niż zakładają umiarkowane prognozy rządu Miedwiediewa, powiedział, że bez przełamania kryzysu demograficznego, niezależnie od starań władzy, niekorzystnych trendów nie da się odwrócić. Już w tym roku opublikowane dane statystyczne potwierdzają jego słowa. Otóż wynika z nich, że tylko w ciągu pierwszych sześciu miesięcy br. liczba obywateli Federacji Rosyjskiej w wieku produkcyjnym, a trzeba pamiętać, że w ub.r. podniesiono w Rosji wiek emerytalny, zmniejszyła się o milion osób. Bezrobocie jest obecnie w Rosji na historycznie niskim poziomie, na dodatek tego ubytku nie jest w stanie równoważyć emigracja zarobkowa z krajów wchodzących niegdyś w skład ZSRR. Rosyjscy demografowie obliczyli, że tylko po to, aby przeciwdziałać narastającemu brakowi siły roboczej, do kraju winno przybywać corocznie minimum 500 tys. osób. Zatem deklaracje Putina można w części potraktować jako chęć ściągnięcia do Rosji obywateli Ukrainy, którzy niegdyś pracowali na Wschodzie, ale dziś w większości pojechali do Polski i innych krajów Unii Europejskiej. Dość powiedzieć, że między rokiem 2014 a 2018 liczba pracujących w Rosji Ukraińców spadła o milion.

Ale to niejedyny problem demograficzny, z którym przyjdzie się mierzyć Moskwie w najbliższych latach. Jak obliczył Aleksandr Auzan, dziekan Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Moskiewskiego, już obecnie Moskwa i Petersburg dają ok. 40 proc. PKB całego kraju. Jego zdaniem, jeśli utrzymają się obecne trendy migracji z prowincji do wielkich aglomeracji, to za 15 lat większa część rosyjskiego PKB będzie powstawać w wielkim megalopolis rozciągającym się od Petersburga do Rostowa nad Donem, a na wschód od Wołgi pozostaną wielkie, opustoszałe przestrzenie, pustynie, zarówno pod względem gospodarczym, jak i ludnościowym.

> Jak obliczyli ekonomiści, wzrost średniej długości życia o rok daje większy o 4 proc. PKB, a podniesienie o rok czasu edukacji przekłada się na dziesięcioprocentowy skok tego produktu

Już obecnie rosyjski przyrost naturalny, podobnie zresztą jak wszystkich krajów europejskich, nie wyłączając Polski, jest niższy od wskaźnika 2,1, który gwarantuje prostą zastępowalność pokoleń. Jak to wszystko wpływa na perspektywy naszych dzieci, a przede wszystkim wnuków?

AMERYKAŃSKIE PRZYSPIESZENIE

Jak napisał niedawno na łamach wpływowego amerykańskiego periodyku „Foreign Policy" Nicholas Eberstadt, właściwie cały światowy wzrost gospodarczy po II wojnie może być przypisany dwóm czynnikom – inwestycjom w kapitał ludzki (takim jak poprawa poziomu edukacji, zdrowia, zmniejszenie śmiertelności i wydłużenie życia, co prowadziło do skokowego wzrostu potencjału statystycznego pracownika) oraz stworzeniu warunków ustrojowych, politycznych i instytucjonalnych, w których potencjał ten mógł się wyzwolić.

Szczególnie wymowne w tym względzie są dane, które dotyczą Stanów Zjednoczonych. Kraj, który w 1850 r. miał 23 mln obywateli, 13 mln mniej niż ówczesna Francja i 30 mln mniej niż Cesarstwo Rosyjskie, dziś zamieszkuje 330 mln ludzi, przeszło dwukrotnie więcej od Federacji Rosyjskiej. A to oznacza, że Ameryka przez ponad sto lat, w efekcie napływu emigrantów, głównie ludzi młodych, miała najliczniejszą w świecie zachodnim liczbę rąk do pracy i liczbę potencjalnych konsumentów. Również i to, że w efekcie dobrze rozwiniętego i powszechnego systemu edukacyjnego miała najlepiej wykształconych pracowników. I te przewagi, zdaniem amerykańskiego demografa, wpłynęły na skokowy wzrost potęgi USA. Jak obliczyli bowiem ekonomiści, wzrost perspektyw średniej długości życia populacji o rok daje większy o 4 proc. PKB, a podniesienie o rok czasu edukacji przekłada się na dziesięcioprocentowy skok tegoż produktu.

CHIŃSKI PROBLEM

Demografia wpłynie też niewątpliwie na układ sił na świecie w najbliższym 30-leciu. Supremacja Stanów Zjednoczonych nie jest zagrożona. Dwa mocarstwa rewizjonistyczne, Rosja i przede wszystkich Chiny, przeżywają obecnie dramatyczny kryzys demograficzny, który w następnych dziesięcioleciach znacząco zmniejszy ich perspektywy rozwojowe. Europa się starzeje i tych trendów też nie uda się odwrócić. Niemcy, najsilniejsza gospodarka kontynentu, wedle szacunków amerykańskich demografów, do 2040 r. stracą 20 proc. siły roboczej i 23 proc. ludzi w wieku poborowym.

eprasa.pl a665b7dce2

Szczególnie wymowny jest przykład Chin, które jeszcze przez dziesięciolecia zmagać się będą z fatalnymi skutkami polityki „jednego dziecka w rodzinie", zapoczątkowanej w latach 70. ub.w. Wystarczy wczytać się w statystyki. Chiński cud gospodarczy ostatnich 35 lat, zdaniem Eberstadta, jest w niemałej części wynikiem tego, że w latach 1975–2010 liczba ludzi w wieku produkcyjnym w Państwie Środka niemal się podwoiła, a liczba godzin pracy na jednego zatrudnionego, w związku z odejściem od komunistycznej ortodoksji, rosła jeszcze szybciej. Ale dziś to już przeszłość. Polityka „jednego dziecka" zarzucona w 2015 r. spowodowała spadek chińskiego wskaźnika przyrostu naturalnego do oficjalnego poziomu 1,6, a zdaniem niezależnych chińskich analityków nawet 1,4, czyli 30 proc. poniżej wskaźnika 2,1 niezbędnego dla osiągnięcia stanu zastępowalności pokoleń.

W rezultacie, już w ostatnich pięciu latach nastąpił spadek liczby pracujących Chińczyków, ale prawdziwy krach nastąpi do 2040 r., kiedy szacowana liczba zatrudnionych w chińskiej gospodarce spadnie o 100 mln, a liczba osób mających 65 lat i więcej wzrośnie z obecnych 125 do 325 mln. Innymi słowy Chiny idą w ślady Japonii. Te niekorzystne zjawiska, tym groźniejsze dla kraju, w którym nie ma systemu emerytalnego, będą wzmocnione narastającym problemem samotnych mężczyzn, którzy nie będą mogli, z powodów demograficznych, znaleźć partnerek ani założyć rodzin.

Trudno przewidzieć długofalowe skutki takiej sytuacji, ale już obecnie badania opinii rosyjskich kobiet zamieszkujących Syberię wskazują, że ich zdaniem najlepszym kandydatem na męża jest Chińczyk.

NOWI SOJUSZNICY

W planie geostrategicznym obecne trendy demograficzne spowodują w najbliższym ćwierćwieczu tektoniczne zmiany. Stany Zjednoczone, które od 1950 r. przyjęły ponad 50 mln emigrantów, mają szansę wyjść z tego obronną ręką. Utrzymaniu pozycji supermocarstwa będzie sprzyjała nie tylko wyższa w Ameryce w porównaniu z europejską (włączając w to Rosję) stopa przyrostu naturalnego, lecz również siła amerykańskiego mitu, która sprawia, że napływający do Stanów Zjednoczonych emigranci szybciej i lepiej integrują się ze społeczeństwem, niż ma to miejsce w Europie. Pozycję USA będzie wzmacniała siła sektorów naukowego, edukacyjnego i badawczego, którą w najbliższych latach, a nawet dziesięcioleciach trudno będzie podważyć.



Rosyjscy demografowie obliczyli, że tylko po to, aby przeciwdziałać narastającemu brakowi siły roboczej, do kraju winno przybywać corocznie minimum 500 tys. osób

Fot. Karolis Kavoliels/Shutterstock.com

Analiza światowych trendów demograficznych oraz rozwojowych wymusi również zmianę polityki Waszyngtonu wobec obecnych i potencjalnych sojuszników. Europa, traktowana jako całość, ze starzejącym się społeczeństwem i zmieniającymi się w związku z tym modelami konsumpcji oraz widocznym już spowolnieniem gospodarczym, w której wydatki na armię i obronność lądują na końcu priorytetów, staje się coraz mniej atrakcyjnym partnerem.

Na kontynencie azjatyckim rośnie rola Indonezji i Filipin – państw, które w 2040 r. będą zamieszkiwane łącznie przez 440 mln osób. Strategicznym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, dążącym do zbudowania kordonu państw będących w stanie hamować chińskie aspiracje, mogą się stać Indie, które za 20 lat będą miały większą liczbę ludności niż Chiny. Najbliższe lata z pewnością oznaczać będą zabiegi Waszyngtonu o pozyskanie Delhi.

A w Europie? Najbardziej optymistyczne szacunki liczby obywateli Federacji Rosyjskiej, drugiego z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych mocarstwa rewizjonistycznego, mówią o tym, że w 2040 r. będzie ją zamieszkiwało 140 mln osób. Inne wyliczenia redukują tę liczbę nawet o kolejne kilkanaście milionów. Jest niewielka szansa, aby tamtejsza gospodarka rozwijała się znacząco szybciej niż obecnie, a średnio rosyjski PKB rośnie od 2014 r. o 0,8 proc. rocznie.

Po to aby zbudować skuteczną barierę powstrzymującą apetyty Moskwy, wystarczą z perspektywy USA połączone potencjały Polski, Rumunii i Ukrainy, państw, które mają szansę w najbliższym dziesięcioleciu stać się, wraz ze środkowoeuropejskim zapleczem, lokomotywą rozwoju gospodarczego Europy, a z punktu widzenia potencjałów demograficznych mogą równoważyć siłę Federacji Rosyjskiej.

Napięte ostatnio relacje między Waszyngtonem a Berlinem są wynikiem nie tylko osobowościowych różnic między amerykańskim prezydentem a niemiecką kanclerz, wynikają również z oceny sytuacji na Starym Kontynencie i tego, jak będzie się on rozwijał w najbliższych dziesięcioleciach. Ameryka w coraz mniejszym stopniu potrzebuje współpracy Niemiec i Francji, a to wymusza zmianę jej polityki.

19/0919/F

eprasa.pl a665b7dce2

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.



LOTOS

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.



NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Ć jak ćwiczenie na wyobraźnię

Dr Hanna Karp, medioznawca

„Byliśmy na drodze pozytywnej, potem przyszedł ktoś z kijem bejsbolowym i to wszystko – że tak powiem – porozbijał” – skarżył się niedawno w studiu komercyjnego radia na telewizję publiczną Krzysztof Luft, członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji ubiegłej kadencji. Jego rządowi koledzy mieli wcześniej osiem lat na dokonanie reformy mediów publicznych. Co zrobili? Czy ktoś słyszał choćby o minimalnej próbie ich działań w tym zakresie? Mogli przegłosować każdą reformę i projekt. Nie kiwnęli nawet palcem, poza tym, że pogłębili zapaść i doprowadzili całą instytucję na skraj upadku. Cała energia mediów publicznych i ich redakcji poprzedniej kadencji skupiła się na graniu jednej melodii z przekazem elektronicznych mediów komercyjnych. A głosem jedynym możliwym była, zwłaszcza po katastrofie smoleńskiej, apologia rządów Donalda Tuska, ratowanie skóry premiera i jego ministrów w sytuacji załamań. Na koniec, w obliczu ujawniających się afer i nadciągającej klęski, pozostało już tylko rzucanie lin ratunkowych osamotnionej Ewie Kopacz, gdy premier Tusk szlifował angielski i unijne korytarze.

BY MEDIA PUBLICZNE BYŁY PUBLICZNE

Krzysztof Luft w rozmowie z red. Karoliną Lewicką, opisując stan mediów z czasów rządów PO, rozpaczliwie podkreślił, że ktoś ich dorobek, czyli „to wszystko”, „porozbijał”. Na dodatek „kijem bejsbolowym”. Przemilczał też moment startu równi pochyłej i staczania się w stronę finansowej zapaści mediów publicznych – chodzi o apel Donalda Tuska do Polaków, by nie płacili abonamentu. Zaproszony do komercyjnego radia, zaprezentowany jako kandydat do Sejmu z list Koalicji Obywatelskiej, zapamiętale piętnował obecne upolitycznienie mediów publicznych. Jego pamięć złotej rybki wymiotła wszystkie szczegóły tamtego czasu. Prowadząca rozmowę dziennikarka milczała o niewygodnych szczegółach. Zagaiła pytaniem na temat zawieszenia bojkotu mediów publicznych przez PO. Partia po zabójstwie prezydenta Gdańska Piotra Adamowicza, sugerując niejako mediom publicznym udział w śmiercionośnej nagonce na prezydenta, nie odwiedzała telewizji publicznej.

„To dobra decyzja? – zapytała dziennikarka. – W obecnej sytuacji kampanii wyborczej wydaje się, że tak, że jest to jeszcze jedno narzędzie dotarcia do widzów, próbowania przedstawienia jakichś argumentów” – odparł Luft i tu był dokładny. Zwłaszcza gdy użył frazy „jakichś argumentów”. Bo program Koalicji Obywatelskiej to rzeczywiście zestaw „jakichś argumentów”.

Małgorzata Kidawa-Błońska, która tego samego dnia jako świeżo namaszczona ewentualna premier nowego rządu przedstawiała program Koalicji

eprasa.pl a665b7dce2

Obywatelskiej, o mediach też mówiła: „Naprawimy media publiczne, aby media publiczne naprawdę były publiczne". Rewelacja. O innych sprawach też wspomniała: „Obiecuję, że zatrzymamy wycinanie lasów, zatrzymamy smog, zatrzymamy plastik". Fantastycznie! A co z Trzaskowianką, która wylała i zabija w Wiśle wszystko, co żyje? O tym już zapomniała.

Jeśli posłowie Koalicji Obywatelskiej mają tak rewelacyjne propozycje dla Polaków, to rzeczywiście warto im do samej ciszy wyborczej szeroko otworzyć wszystkie telewizyjne studia. Od TVP Info po TVP Kultura i TVP Historia, tak by od rana do późnych godzin nocnych opowiadali o swoich pomysłach na Polskę. „Sześciopak" Schetyny to jest to! Polacy na to czekali. Ale chyba dwie dekady wstecz. Premier Mateusz Morawiecki powiedział w jednym z wywiadów, że podobne hasła mógłby sformułować każdy licealista. Panie premierze, proszę, nie żartujmy z licealistów. To poważna i ambitna młodzież!

Tymczasem Koalicja Obywatelska omijała szerokim łukiem telewizję publiczną. Dając seanse autokompromitacji, przedstawiała „sześciopak" Schetyny w stacjach komercyjnych rozgłośni radiowych. Joanna Kluzik-Rostkowska, Paweł Poncyljusz, a nawet sam Grzegorz Schetyna mieli poważne problemy z odtworzeniem zawartości swoich pomysłów. Dukali gorzej niż pierwszoklasiści, przewracając oczami, ocierając pot z czoła. Szukając rozpaczliwie ratunku i podpowiedzi ze strony redaktora. Dotychczas komercyjne stacje dostarczały przecież obok pytania także odpowiedź. Słuchacze i widzowie mogli tylko przecierać oczy ze zdumienia. Ale przecież cenę za jakość polityków i mediów płacą przede wszystkim oni. Zawartością własnej kieszeni.

ŚMIERTELNA DRZEMKA MEDIÓW

Ostateczny koszt przyzwolenia społecznego oraz mediów na tragiczne rządy PO-PSL ciągnąć się jeszcze będzie za nami latami. Miliardy, które utracił budżet, na skutek wjeżdżania do kraju setek cystern dziennie z przemycanym paliwem to także wielki wyrzut sumienia redakcji i dziennikarzy, którzy nie potrafili albo nie chcieli tematu zauważyć. Media przez lata utraciły funkcję kontrolną, jaką normalnie powinny sprawować. Tymczasem cała ich siła została wykorzystana, jak już wyżej wspomniano, na budowanie rządowego alibi. „Ten nocny stróż spał. I ta drzemka państwa kosztowała nas wszystkich ogromne pieniądze i utracone szanse rozwojowe" – mówił w ostatnim bardzo interesującym wywiadzie na łamach „Sieci" premier Mateusz Morawiecki. Była to bardzo kosztowna drzemka nie tylko organów państwa, lecz i wszelkich mediów. Czy jednak można było oczekiwać, by telewizja publiczna z tamtego okresu mogła przygotować cykl śledczych reportaży na temat walki z mafią paliwową czy mafią VAT-towską? Albo że wydawnictwa koncernów Axel Springer, Passauer Neue Presse czy rozgłośnia radiowa, stanowiąca własność koncernu Bauer, przygotują cykl reportaży poświęconych tym tematom? One każdego dnia tworzyły przede wszystkim narracje wokół pisowskiej opozycji, złowrogiego Jarosława Kaczyńskiego, „faszystowskich" Marszów Niepodległości i wojny polsko-polskiej wokół katastrofy smoleńskiej.

> Gdyby w 2015 r. Platforma Obywatelska znów wygrywa wybory, o mafii paliwowej czy mafii VAT-owskiej nie mielibyśmy dziś nawet bladego pojęcia, a kraj pogrążałby się każdego dnia coraz bardziej w złotych myślach ministra finansów Jana Rostowskiego: „Piniendzy nie ma i nie będzie!"

Problem mediów w Polsce polega na tym, że same media, ich redakcje i dziennikarze pozwolili sobie wmówić, że nie są już strażnikami prawdy. Że ich zawód uległ transformacji, że gdzieś zagubiła się ich dziennikarska misja. Że to już nie powołanie, zawód publicznego zaufania i styl życia. Obowiązek stawania w roli obrońcy swojego odbiorcy, narażanie czasem nawet życia czy zdrowia w procesie poszukiwania prawdy. Oddali swoją czwartą władzę, pozwolili zaanektować redakcjom własne sumienia. Zmienili się bardziej w obserwatorów polityki i życia publicznego niż jego strażników.

To jednak powoli się zmienia. Rosną nowe pokolenia dziennikarzy zaangażowanych na rzecz dobra publicznego. W jednym z niedawnych tekstów redakcję „Polityki" oburzały tzw. paski informacyjne w TVP Info o treści m.in: „Miliardy złotych płyną do Polaków, a nie do przestępców" albo: „Będziemy mieli zrównoważony budżet, to jest dowód na to, że PiS potrafi dobrze rządzić", lub: „Część ekonomistów mówi wprost: wystarczy nie kraść". Autorka tego tekstu media publiczne nazwała „przekaziorami". Tymczasem właśnie te „przekaziory" zaczęły po latach znów wyrażać troskę o polską rację stanu. W ich dziennikarzach i redakcjach nadzieja. A przed nimi morze pracy.

ĆWICZENIE Z WYOBRAŹNI

Na koniec zróbmy sobie małe ćwiczenie z wyobraźni. Oto mamy sytuację, w której w 2015 r. Platforma Obywatelska znów wygrywa wybory, a media publiczne prowadzą pod jej dyktando politykę informacyjną. Niezmienny liberalno-lewicowy kurs trwa i utrwala się na kolejne dekady. Czy potrafimy to sobie wyobrazić? Bo mnie przychodzi to z trudem. A przecież właściwie niewiele brakowało, by tak się stało. O mały włos, tak by się stało! Wtedy o miliardowych przekrętach mafii paliwowej czy mafii VAT-owskiej nie mielibyśmy dziś nawet bladego pojęcia, a kraj pogrążałby się każdego dnia coraz bardziej w złotych myślach ministra finansów Jana Rostowskiego: „Piniendzy nie ma i nie będzie!"

eprasa.pl a665b7dce2



Spotkanie wojsk sowieckich i niemieckich w Brześciu nad Bugiem, 22 września 1939 r.

Sowiety wkroczyły

Sowiecka agresja na II Rzeczpospolitą była zaplanowaną operacją wojskową, a wybrany termin uderzenia nie był przypadkowy



ARTUR JAGNIEŻA

17 września 1939 r. o godz. 3.00 sowiecka Rosja przystąpiła do II wojny światowej, dokonując w sojuszu z III Rzeszą agresji na II Rzeczpospolitą. Atak stanowił pogwałcenie ówczesnego prawa międzynarodowego, w tym w szczególności polsko-rosyjskiego paktu o nieagresji z 1932 r.

Wbrew rozpowszechnianej propagandzie Kremla Sowieci przygotowywali się do dokonania agresji na Polskę co najmniej od sierpnia 1939 r., a pierwsze kuluarowe rozmowy polityczne mające na celu doprowadzenie do porozumienia rosyjsko-niemieckiego odbyły się w Berlinie już 26 lipca 1939 r. Dwa tygodnie później, 11 sierpnia, mając informację, iż III Rzesza w przypadku wybuchu wojny jest gotowa oddać Moskwie część Polski oraz państwa bałtyckie, Stalin zdecydował się na zawarcie porozumieniu z Niemcami, mimo iż w Moskwie prowadził równolegle rozmowy z delegacjami wojskowymi Francji i Wielkiej Brytanii.

Podczas posiedzenia Biura Politycznego KC WKP(b) w trakcie wystąpienia Stalin powiedział: „Sprawa wojny czy pokoju weszła w stadium krytyczne. Jej rozwiązanie zależy wyłącznie od nas. Jeżeli zawrzemy traktat z Anglią i Francją,

eprasa.pl a665b7dce2

Niemcy będą zmuszone odstąpić od planów agresji i ustąpić wobec stanowiska Polski. Będą też szukać ułożenia stosunków z mocarstwami zachodnimi. W ten sposób będziemy mogli uniknąć wybuchu wojny, lecz dalszy rozwój wydarzeń poszedłby wówczas w niewygodnym dla nas kierunku. Natomiast jeśli przyjmiemy niemiecką propozycję zawarcia z nimi paktu o nieagresji, to umożliwi to Niemcom atak na Polskę i tym samym interwencja Anglii i Francji stanie się faktem dokonanym. [...] Będziemy mogli z pożytkiem dla nas czekać na odpowiedni dla nas moment dołączenia do konfliktu lub osiągnięcia celu w inny sposób".

Kalkulacja Moskwy zatem nie kierowała się potrzebą zachowania pokoju w Europie, tylko dążeniem do wywołania konfliktu wojennego, co miało pozwolić Rosji ponieść dalej sztandar komunistycznej rewolucji na kontynencie oraz odbudować wpływy Moskwy co najmniej w granicach dawnego imperium carów. W zamiarach tych wzorem 1920 r. na przeszkodzie stała Polska, która – co oczywiste – nie miała też zamiaru poddać się politycznym wpływom Hitlera.

MOSKWA PRZYGOTOWUJE CIOS

Rosyjskie przygotowania wojskowe nabrały przyspieszenia po 23 sierpnia 1939 r., kiedy to podpisano pakt Ribbentrop–Mołotow. Ogłoszona mobilizacja pozwoliła zgromadzić na granicy wojska zorganizowane w dwa duże zgrupowania uderzeniowe Front Białoruski oraz Front Ukraiński, które w sumie liczyły ponad 600 tys. żołnierzy. Jednocześnie z rosyjskiej inspiracji na obszarach wschodnich województw II Rzeczypospolitej rozpoczęły działania sowieckie grupy dywersyjne oraz uaktywniła się sowiecka agentura. W opinii historyków w szczytowym momencie aktywności skala sowieckich dywersji dorównywała, a na niektórych obszarach wręcz przewyższała, skalę podobnej aktywności, jaką z inspiracji III Rzeszy prowadziła niemiecka V kolumna na obszarach północno-zachodniej Polski.

Przygotowując się do odparcia ewentualnej agresji niemieckiej, strona polska wykluczała możliwość prowadzenia wojny na dwa fronty. Z tego względu wszystkie dostępne dywizje czynne, brygady kawalerii oraz brygady zmotoryzowane skierowano na front lub planowano ich użycie do obrony przed atakiem niemieckim. Także przewidziane w planie mobilizacyjnym dywizje rezerwowe, w tym dywizje mobilizowane na obszarze wschodnich województw państwa (33, 35, 36, 38 dywizje piechoty rezerwowe) zamierzano użyć na froncie północnym, w centrum lub na południu w walce z Niemcami. Ponadto w obliczu ogólnie pogarszającej sytuacji militarnej ze wschodniej rubieży przerzucono na front zachodni uzbrojenie ze stałych fortyfikacji, a także część pododdziałów Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), na których bazie utworzono wydzielone jednostki forteczne do obrony linii Narwi, samodzielne kompanie saperów, samodzielny pułk kawalerii w ramach Armii „Łódź" oraz brygady górskie na południu w ramach Armii „Karpaty". Tym samym do osłony wschodniej granicy dowództwo polskie pozostawiło 23 osłabione bataliony Korpusu Ochrony Pogranicza złożone w większości ze starszych rezerwistów.

> Przygotowując się do odparcia ewentualnej agresji niemieckiej, strona polska wykluczała możliwość prowadzenia wojny na dwa fronty

POLSKA SIĘ BRONI

Niemiecki atak na Polskę 1 września 1939 r. uruchomił intensywne relacje dyplomatyczne na linii Berlin–Moskwa. Sytuacja stała się kuriozalna, ponieważ Niemcy postawiły się od początku w roli petenta Kremla, próbując wymusić na Stalinie podjęcie przez Moskwę szybkiej decyzji o przystąpieniu do wojny. Wypowiedzenie 3 września wojny Niemcom przez Francję i Wielką Brytanię było niewątpliwie politycznym sukcesem Stalina. Hitler po trzech dniach znalazł się w sytuacji wojny na dwa fronty. Tymczasem armia polska za cenę oddawania terytorium oraz ponoszenie ciężkich strat na froncie cofała się pod naporem niemieckim, wiążąc je w ciężkich walkach. Tym samym sojusznicy zachodni mieli swobodę działania i niezbędny czas, aby wymierzyć skuteczne uderzenie w słabo bronione zachodnie granice III Rzeszy.

Niemcy znalazły się pod presją i groźbą poniesienia w perspektywie kilkunastu tygodni klęski. Stąd na podstawie błędnych informacji przekazanych przez czołgistów 4 dywizji pancernej 8 września po godz. 17.00 strona niemiecka puściła w eter komunikat, iż jej czołgi zajęły Warszawę. Nie miało to nic wspólnego z prawdą, niemniej jednak w zamyśle miało być przy okazji próbą wywarcia medialnej presji na Stalina, aby przystąpił do działania. Trudno zatem nie zgodzić się z opinią, iż odparcie uderzenia 4 dywizji pancernej na Warszawę 9 września przez obrońców stolicy oddaliło decyzję Rosjan o podjęciu agresji na Polskę. Warto w tym miejscu podkreślić, iż w trakcie walk z niemieckimi czołgami na Woli szczególnie wyróżnił się kresowy 40 pułk piechoty „Dzieci Lwowskich".

Niemieckie niepowodzenie pod Warszawą spotęgowała polska kontrofensywa nad Bzurą, gdzie jednostki Armii „Poznań" generała Tadeusza Kutrzeby uderzyły w bok odsłoniętego skrzydła 8 armii niemieckiej. Fakt uderzenia oraz początkowe postępy polskiego natarcia nie mogły ujść uwadze stronie rosyjskiej. Powagę sytuacji na froncie docenił sam Hitler, przybywając na front do mocno pobitej nad Bzurą przez Polaków 30 dywizji piechoty. Stąd kolejny termin agresji na Polskę, który prawdopodobnie planowano na noc 11/12 września, znowu nie został przez Moskwę dotrzymany.

Fot. Laski Diffusion/East News

eprasa.pl a665b7dce2

PRZEŁOM W ABBEVILLE

Z kilku powodów 12 września stał się datą przełomową wojny 1939 r. Tego dnia w miejscowości Abbeville odbyło się spotkanie przedstawicieli Najwyższej Rady Wojennej Wielkiej Brytanii i Francji, gdzie w obecności premierów Neville'a Chamberlaina oraz Édouarda Daladiera, podjęto decyzję o rezygnacji z obiecanych Polsce działań na froncie zachodnim. Decyzja ta była praktycznym zaprzeczeniem zobowiązań sojuszniczych i pozostawiała najwierniejszego sojusznika Zachodu w Europie Środkowej na łasce Niemiec. Czy można to nazwać inaczej niż zdradą? Abbeville dało nie tylko swobodę dalszego działania przeciw Polsce Niemcom, lecz ostatecznie przesądziło, iż w obliczu pewności pozostawienia samotnie walczącej Polski Stalin podjął decyzję o ataku Armii Czerwonej na II Rzeczpospolitą. Trudno zresztą przypuszczać, aby rosyjski wywiad nie posiadał informacji o podjętych decyzjach przez zachodnich sojuszników 12 września 1939 r.

W drugim tygodniu wojny sytuacja na froncie z Niemcami była dramatycznie zła. Na północy Niemcy, przełamując obronę pod Wizną, Łomżą i Nowogrodem, rozbili Samodzielną Grupę Operacyjną „Narew". Wojska Armii „Modlin" były mocno nadwerężone, dokonując odwrotu w kierunku południowym. Twierdza Modlin oraz Warszawa co prawda broniły się skutecznie, ale właśnie 12 września w centrum frontu postanowiono wstrzymać polskie uderzenie nad Bzurą. Armia „Łódź" mocno poturbowana cofała się na Warszawę. Z kolei odwodowa Armia „Prusy" w praktyce w tym czasie przestała istnieć. Także na południu wojska polskie znajdowały się w głębokim odwrocie, będąc ciągle oskrzydlanymi przez niemieckie dywizje lekkie i zmotoryzowane. Także 12 września niemiecki zagon dotarł pod Lwów, ale obrona polska nie dopuściła do zajęcia miasta.

Nie zmienia to faktu, iż polskie siły zbrojne stawiały nadal zaciekły opór, a po 14 września rozpoczęły w skali kraju strategiczny manewr mający na celu odwrót na tzw. Przedmoście Rumuńskie, gdzie w oparciu o granice zaprzyjaźnionej Rumunii i Węgier zamierzano przetrwać do czasu rozpoczęcia ofensywy sprzymierzonych na Zachodzie.

Na terenach niezajętych przez Niemców działała polska administracja, a na wschodzie państwa sprawnie funkcjonowała kolej, co pozwoliło stronie polskiej przerzucić z północy kraju pod Lwów zgrupowanie piechoty pułków grodzieńskich oraz 35 dywizję piechoty rezerwowej. Na przerzut czekały kolejne jednostki, w tym batalionu forteczne z obsady umocnień na wschodzie. Na Polesiu formowała się grupa operacyjna generała Franciszka Kleeberga i podporządkowana jej Flotylla Pińska, a w pozostałych garnizonach kresowych odtwarzano gotowość do walki kolejnych jednostek rezerwowych. Zgrupowania piechoty o sile osłabionych brygad powstały na bazie zasobów wojskowych w Wilnie, Kowlu oraz Włodzimierzu Wołyńskim. Jednocześnie z ośrodków zapasowych kawalerii sformowano Brygadę Kawalerii Rezerwowej „Wołkowysk". Nie bez znaczenia było to, iż na wschodzie zlokalizowane były nadal nienaruszone składnice wojska polskiego: w Wilnie, Lidzie, Hajnówce oraz Czerkasach koło Kowla. Na lotniska kresowe wreszcie ewakuowano pozostające jeszcze w dyspozycji siły lotnicze.

> Do legendy oręża polskiego przeszła obrona Grodna prowadzona w dniach 20–22 września przez lokalne jednostki rezerwowe, grodzieńską młodzież gimnazjalną oraz ułanów Brygady Kawalerii Rezerwowej „Wołkowysk"

Dzień przed agresją sowiecką 16 września wojska polskie (11 dywizja piechoty oraz 38 dywizja piechoty rezerwowej) dowodzone przez generała Kazimierza Sosnkowskiego odniosły wspaniałe zwycięstwo, rozbijając pod Jaworowem doborowy zmotoryzowany pułk SS „Germania", niszcząc większość jego sprzętu. Z pewnością nikt nie myślał o zaprzestaniu walki z Niemcami, tym bardziej że tym ostatnim na wybranych odcinkach frontu kończyło się paliwo. Natarcie niemieckie zaczynało wyhamowywać.

UDERZENIE Z ZASKOCZENIA

Atak rosyjski 17 września 1939 r. był dla strony polskiej całkowitym zaskoczeniem i przekreślił jakiekolwiek myślenie o skutecznej obronie. Żołnierz polski mimo to się bronił. Pierwsze opór rosyjskim wojskom stawiły strażnice KOP. Na całym froncie strona polska starała się prowadzić działania opóźniające wobec sowieckich kolumn pancerno-motorowych. Skuteczną obronę w dniach 17–20 września prowadziły oddziały KOP w oparciu o Rejon Umocniony Sarny. Do legendy oręża polskiego przeszła obrona Grodna prowadzona w dniach 20–22 września przez lokalne jednostki rezerwowe, grodzieńską młodzież gimnazjalną oraz ułanów Brygady Kawalerii Rezerwowej „Wołkowysk". Ułani z brygady stoczyli także skuteczny bój w nocy 21 września pod Kodziowicami, odpierając atak sowieckiego zagonu pancernego. Rosjanie poznali skuteczność oręża 60 dywizji piechoty „Kobryń" dowodzonej przez pułkownika Adama Eplera. Z kolei 29/30 września jednostki KOP generała Wilhelma Orlika-Ruckemanna biły się skutecznie z Rosjanami pod Szackiem.

Ostatecznie jednak w wyniku ciosu rosyjskiego, który wsparł militarnie agresję niemiecką, armia polska została rozbita, a nad wschodnie województwa Polski zawitał cień sowieckiej Rosji, który przyniósł mieszkańcom tych ziem morze cierpień, wywózek oraz zbrodni, których kwintesencją stał mord polskich oficerów w Katyniu.

eprasa.pl a665b7dce2



APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Bank Polski

100 1919/2019

Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

eprasa.pl a665b7dce2



Pilnujemy

Piszę te słowa między 1 a 17 września 2019 r. Właśnie mija 80 lat od tragicznych dni, kiedy Polska padła ofiarą dwóch imperialnych agresorów, którzy wtargnęli na nasze terytorium, aby wymazać państwo polskie z mapy Europy, a naród polski zamordować. Jeżeli sami nie opowiemy światu naszej historii, inni będą ją za nas opowiadać. I... niestety, często fałszować. Dlatego Marsz Życia Polaków i Polonii jest tak ważny



LIDIA DUDKIEWICZ

Na początek proponuję małą powtórkę z historii. Zacznijmy od haniebnego paktu z 23 sierpnia 1939 r., kiedy podstępnie dokonano czwartego rozbioru Polski. Joachim von Ribbentrop i Wiaczesław Mołotow podpisali wtedy w Moskwie

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

prawdy

tajny dokument, na mocy którego Niemcy i ZSRR podzieliły między siebie terytorium Polski. Podpisanie paktu otworzyło drogę do rozpoczęcia II wojny. Adolf Hitler mógł bez przeszkód uderzyć na Polskę, w zamian za oddanie Józefowi Stalinowi m.in. wschodnich terenów II Rzeczypospolitej. W przeddzień podpisania tego paktu Hitler wydał instrukcję skierowaną do wyższych oficerów Wehrmachtu, w której zawarł następujące dyspozycje: „Zniszczenie Polski jest naszym najbliższym celem. Posyłam na Wschód moje oddziały z trupią czaszką z rozkazem zabijania bez litości wszystkich kobiet i dzieci rasy i języka polskiego. Bądźcie brutalni i działajcie z największym okrucieństwem. W ten sposób zdobędziemy Lebensraum, który jest nam niezbędny".

DWIE NAPAŚCI

Polska stała się pierwszą ofiarą II wojny światowej, rozpoczętej niemiecką napaścią 1 września 1939 r. Podaję tę oczywistą datę, bo obecnie nawet dzień rozpoczęcia wojny jest kwestionowany w ramach fałszywej narracji historycznej. W czasie kampanii wrześniowej nasza ojczyzna, opuszczona przez inne, niby sojusznicze, państwa, samotnie stawiła opór zbrojny Niemcom, a potem – Sowietom. 17 września 1939 r. w nasz kraj został wymierzony kolejny cios – tym razem ze wschodu. 28 września 1939 r. ZSRR i III Rzesza podpisały następny „traktat o granicach i przyjaźni", który przypieczętował podział Polski. Zdradzona Polska nie mogła wygrać z dwoma najpotężniejszymi armiami świata, ale walczyła do końca. „Być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo" – słowa marszałka Józefa Piłsudskiego dobrze wyrażają tamtą sytuację.

W czasie strasznej wojennej hekatomby agresorzy dopuścili się masowych zbrodni na Polakach, mordowali wszystkich, również jeńców i cywilów, kobiety, a nawet dzieci. Ginęli dlatego, że byli Polakami. Agresorzy podeptali wszelkie normy moralne i prawne. Dla unicestwienia polskiego narodu Niemcy zbudowali fabryki śmierci – obozy masowej zagłady. Trzeba podkreślić to, że pierwszy transport więźniów dotarł do KL Auschwitz 14 czerwca 1940 r. z Tarnowa i składał się wyłącznie z Polaków, którzy – według niemieckiej orientacji – mogli mieć wpływ na przetrwanie Polski (niszczono więc przede wszystkim polskie elity). Dwa lata później Niemcy uruchomili KL Auschwitz II-Birkenau, gdzie byli mordowani głównie Żydzi, ale też przedstawiciele innych narodowości. Niemieccy naziści zorganizowali masowe zbrodnie, jakich wcześniej świat nie znał: komory gazowe, tortury, rozstrzeliwania, piece krematoryjne, głód, epidemie, gwałty, eksperymenty medyczne na więźniach. Podeptali człowieczeństwo...

Z GODNOŚCIĄ I Z HONOREM

W tych latach trwogi polski naród, mimo zadawanych mu niewyobrażalnych cierpień, pozostał po właściwej stronie, czyli w koalicji antyniemieckiej, nie kolaborował z najeźdźcami. A polscy żołnierze stanęli w obronie własnej ojczyzny, czego symbolami są kampania wrześniowa, zryw powstania warszawskiego, a także walki i zwycięstwa na różnych frontach II wojny.

Trzeba też pamiętać, że to przecież Zofia Kossak pierwsza na świecie, w imieniu polskich środowisk katolickich, przygotowała „Protest" przeciwko niemieckim mordom dokonywanym na Żydach w związku z akcją likwidacyjną w warszawskim getcie. Dzisiaj okazuje się, że pisarka miała rację, gdy zwracała uwagę na powstającą już wówczas kłamliwą narrację dotyczącą Holokaustu i widziała niebezpieczeństwo „w upartym milczeniu międzynarodowego żydostwa, w zabiegach propagandy niemieckiej usiłującej [...] zrzucić odium za rzeź Żydów na Litwinów i... Polaków". Dla ratowania Żydów powstała w Polsce konspiracyjna komórka pod kryptonimem Żegota, jedyna tego typu organizacja w okupowanej Europie. Polacy ratowali Żydów, chociaż groziła im za to kara śmierci. Zofia Kossak, która przeszła przez Pawiak i gehennę Auschwitz, swoje wspomnienia, utrwalone w książce „Z otchłani", zakończyła słowami: „Wychowajcie inaczej ludzi, a wszystko będzie rozwiązane. Czas, by wreszcie świat zrozumiał, że prawda, wolność i dobro nie istnieją i nie mogą istnieć poza Bogiem. Poza Bogiem jest tylko śmierć. Poza Bogiem jest tylko obóz, poza Bogiem jest tylko otchłań".

Choć alianci odnieśli zwycięstwo, to Polska straciła suwerenność. A zdecydowała o tym wielka trójka: ZSRR, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone na trzech konferencjach: w Teheranie, w Jałcie i w Poczdamie, które stanowią symbol zdrady zachodnich sojuszników. Zgodzili się oni podporządkować Europę Wschodnią totalitarnemu imperium sowieckiemu. W konsekwencji uzgodnień wielkiej trójki w 1945 r. nastała noc komunistycznego reżimu, ukrytego przed zachodnim światem za

eprasa.pl a665b7dce2

„żelazną kurtyną". Okupacja Polski zakończyła się dopiero w 1989 r., gdy upadł system komunistyczny. Dla Polaków było to faktyczne zakończenie II wojny światowej.

ZWYCIĘSTWO NA PLACU ZWYCIĘSTWA

Demontaż systemu zniewalającego Europę Wschodnią rozpoczął się od pontyfikatu Jana Pawła II, który osobiście doświadczył, co znaczy komunizm, i poznał mechanizmy funkcjonowania czerwonego totalitaryzmu. W 1979 r. Ojciec Święty przybył do nieujarzmionej Warszawy i jako syn polskiej ziemi, a zarazem jako papież, wołał: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!". Warto wiedzieć, że w miejscu, w którym padły te słowa, kilkadziesiąt lat wcześniej wznosiły się kopuły potężnej cerkwi cara Aleksandra Newskiego. Prezbiterium cerkwi znajdowało się dokładnie w tym punkcie na placu, gdzie w 1979 r. ustawiono papieski ołtarz i tron, na którym zasiadł Jan Paweł II. Tak więc na placu Zwycięstwa w Warszawie papież Polak odniósł historyczne zwycięstwo – otworzył okno wolności, przyczynił się do odnowienia oblicza polskiej ziemi i zmiany oblicza świata. Zapoczątkował proces, który doprowadził do upadku totalitarnego systemu komunistycznego, powstania Solidarności i zburzenia muru berlińskiego.

Na trasie pierwszej pielgrzymki papieża Polaka do ojczyzny musiał się znaleźć Oświęcim. 7 czerwca 1979 r. Ojciec Święty przekroczył bramę w byłym niemieckim obozie Auschwitz, z szyderczym napisem: „Arbeit macht frei". Nawiedził celę śmierci św. Maksymiliana Marii Kolbego, modlił się na dziedzińcu Bloku 11, klęczał pod Ścianą Śmierci, gdzie w czasie okupacji niemieccy zbrodniarze rozstrzeliwali więźniów. W Auschwitz II-Birkenau sprawował mszę św. Klękał na „Golgocie naszych czasów" przy wszystkich tablicach z napisami w różnych językach, aby oddać hołd ofiarom różnych narodowości. Przy polskiej tablicy powiedział: „...to jeszcze jeden etap wiekowych zmagań się tego narodu, mojego narodu, o podstawowe swoje prawa wśród narodów Europy. Jeszcze jeden głośny krzyk o prawo do własnego miejsca na mapie Europy. Jeszcze jeden bolesny rozrachunek z sumieniem współczesnej ludzkości". Papież Polak wspomniał heroiczną postać św. Maksymiliana Kolbego, który z wiarą znosił wszelkie przeciwności aż do męczeńskiej śmierci. W oświęcimskiej otchłani zła zdobył się na heroiczny czyn dobra, z miłości do Boga i do drugiego człowieka, i odniósł zwycięstwo. Zło dobrem zwyciężył. W Auschwitz byli też następni papieże: Benedykt XVI w 2006 r., jako syn niemieckiej ziemi, i Franciszek w 2017 r., którego wizyta stała się krzykiem milczenia.

Wspomnę jeszcze o innej znaczącej wizycie w KL Auschwitz. W 2017 r. do miejsca niemieckiej zbrodni dokonanej na narodach Europy przybył z Watykanu kard. Robert Sarah. Prefekt watykańskiej Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów zszedł do celi śmierci w bunkrze głodowym, gdzie 14 sierpnia 1941 r. zmarł o. Kolbe. Obok świecy, którą pozostawił tam Jan Paweł II, zawiesił swój różaniec, na którym cały czas się modlił. Potem nie ukrywał wzruszenia i wyznał, że kontakt ze św. Maksymilianem Kolbem zachęca go do tego, aby go naśladować do końca swojego życia. Chciał być jak św. Maksymilian Kolbe. Dodajmy, że 10 października 1982 r. Jan Paweł II kanonizował o. Maksymiliana i ogłosił go męczennikiem z miłości

W MARSZU

Ta historia duchowego spotkania watykańskiego kardynała z o. Maksymilianem Kolbem miała dalszy ciąg 14 sierpnia 2019 r. Kilka tysięcy Polaków z kraju i przedstawicieli Polonii z wielu zakątków świata, ubranych w białe i czerwone koszulki z dużym wizerunkiem św. Maksymiliana Kolbego i jego obozowym numerem, przeszło w Marszu Życia ulicami Oświęcimia, od salezjańskiego kompleksu klasztorno-szkolnego do KL Auschwitz. Choć z powodu intensywnie padającego deszczu wszyscy musieliśmy się schować pod parasolami, to mieliśmy świadomość, że w tym rozmodlonym biało-czerwonym marszu niesiemy znak pamięci o św. Maksymilianie, z wewnętrznym pragnieniem, aby upodobnić się do tego męczennika miłości, który chciał być „świętym jak największym". Te słowa stanowiły przecież dewizę jego życia.

Marsz Życia Polaków i Polonii dotarł do Auschwitz w 78. rocznicę śmierci św. Maksymiliana Kolbego. Z tej okazji przy ołtarzu polowym na placu apelowym w pobliżu Bloku 11 była sprawowana msza św. pod przewodnictwem abp. Marka Jędraszewskiego. W homilii powiedział on, że o. Maksymilian Kolbe, „będąc świadkiem ofiarnej miłości, był jednocześnie świadkiem fundamentu wszelkiej autentycznej miłości, jaką jest wolność". Zwrócił uwagę, że niekiedy umarli zobowiązują mocniej niż żywi. „U grobu zmarłego człowiek uświadamia sobie, że jest dziedzicem". Abp Jędraszewski wyjaśnił, że być dziedzicem oznacza przede wszystkim: „mieć udział w godności tych, którzy byli przed nami. Kontynuując, kontynuujemy przede wszystkim godność. Jesteśmy spadkobiercami dzięki przodkom". Zwycięstwo miłości nad nienawiścią – to jest właśnie dziedzictwo, które przekazuje światu św. Maksymilian.

Marsz Życia Polaków i Polonii w Oświęcimiu trwał również następnego dnia – 15 sierpnia. Rozpoczął się mszą św. o poranku w kościele Salezjanów. Następnie uczestnicy marszu z biało-czerwonymi flagami, modląc się w skupieniu, ponownie przekroczyli bramę KL Auschwitz. Chyba po raz pierwszy w historii plac apelowy KL Auschwitz stał się biało-czerwony. Z polską flagą na drzewcu nie wolno bowiem wchodzić na teren obozu, chociaż mordowano tam Polaków. Rzesza uczestników marszu, reprezentująca 60-milionowy polski naród, modliła się pod Ścianą Śmierci za męczenników II wojny, również za tych, po których miało nie być żadnego śladu, nawet grobu. Pod Ścianą Śmierci zapłonął znicz pamięci. Polacy i Polonusi odśpiewali hymn Polski i „Rotę".

Marsz Życia, który 14 i 15 sierpnia 2019 r. postawił pierwsze kroki w Oświęcimiu, oddaje hołd męczennikom okrutnych totalitaryzmów: sowieckiego komunizmu i niemieckiego nazizmu oraz niesie w świat prawdę o niezłom-

eprasa.pl a665b7dce2



Podczas pierwszej pielgrzymki do Polski Jan Paweł II oddał hołd pomordowanym w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Na zdjęciu papież modli się przed ścianą straceń, 7 czerwca 1979 r.

Fot. SETBOUN/SIPA/EAST NEWS

nej Polsce i niezwyciężonych. Obecny na marszu ks. prof. Tadeusz Guz uważa, że to początek przebijania się przez mur fałszu i niepamięci: „Najwyższy czas, aby naród polski dokonał kultu swoich przodków w miejscu ich męczeńskiej śmierci" – powiedział. Przed naszym pokoleniem stoi wielkie zadanie: odkłamać historię oraz zawalczyć o godność i dobre imię Polaków. Tutaj chodzi o ocalenie prawdy. To sprawa honoru, a więc zadanie rycerskie.

I znalazł się rycerz, który podjął to wyzwanie, może już w ostatniej chwili, gdyż historyczne kłamstwo bezczelnie się rozpanoszyło. Tym rycerzem jest Witold Gadowski, wybitny publicysta i dziennikarz śledczy, inicjator i główny organizator marszu. Oto jego słowa: „To jest marsz, który się nie skończy... Teraz jest ten czas, czas, kiedy możemy coś zrobić dla Polski, kiedy coś od nas zależy. Niepodległość nie jest za darmo. Nie spadła nam z nieba, nikt nam jej nie podarował. Nasi dziadowie i ojcowie płacili za nią życiem i krwią. Dziś – kiedy nikt od nas nie wymaga takich poświęceń – musimy mieć świadomość, że oni na nas patrzą. Nie możemy pozwolić na niepamięć o ich czynach i cierpieniu. Nie wolno nam zmarnować szansy na piękną i dobrą Polskę, szansy, którą teraz dał nam Bóg. »Bądź wierny, idź«..."

Witold Gadowski zgromadził na marszu ludzi godnych, wyciszonych, serdecznych, nawzajem sobie życzliwych. Z pewnością to też duża zasługa salezjanów i franciszkanów, którzy wspierali marsz od strony organizacyjnej i formacyjnej, ale również wspomnianego wcześniej ks. prof. Tadeusza Guza i ks. Stanisława Małkowskiego, dzięki którym ten marsz był rozmodlony, a jego uczestnicy spełnili swoją patriotyczną powinność w mistycznym skupieniu.

I jeszcze przemówiły „Dzwony". To hymn Marszu Żywych Polaków i Polonii, ze słowami Witolda Gadowskiego i muzyką Macieja Jeleniewskiego, w wykonaniu Natalii Niemen i Grzegorza Wilka. Premiera hymnu odbyła się w pierwszym dniu marszu. To utwór o niesamowitej sile przekazu, w swoim przesłaniu stawiający twarde wymagania przed dzisiejszym pokoleniem, które ma ocalić prawdę o Polsce: „Bo kiedy się odlewa wielkie dzwony,/ to ważne, by do kadzi nie wpadł nawet włos,/ bo tylko wtedy ich głos czysty, niezmącony/ przywołać może do poprawy los". W internecie można znaleźć teledysk z „Dzwonami".

W oświęcimskim marszu uczestniczyli też wybitni artyści zgromadzeni przez Piotra Szarka. Muzykowali i recytowali na estradzie ustawionej w salezjańskim ogrodzie. Prezentowali swoje utwory, ale również np. teksty św. Jana Pawła II. Wystąpili m.in.: Halina Frąckowiak, Jerzy Grunwald, Marek Piekarczyk, Lech i Bożena Makowieccy, Wojciech Popkiewicz, Grażyna Strachota, Eleonora Em, Dariusz Kowalski, Anna Musiał i jeszcze inni – wszyscy byli na scenie pro bono. Na finał artyści i publiczność, wpatrzeni w telebim, uczestniczyli w Apelu Jasnogórskim. Gromkimi brawami podziękowali za błogosławieństwo, które otrzymali z Jasnej Góry.

Z PAMIĘCIĄ KU PRZYSZŁOŚCI

Marsz Życia Polaków i Polonii to marsz strażników pamięci. Witold Gadowski jest przekonany, że ani teraz, ani w przyszłości już nic ani nikt go nie zatrzyma. Ten marsz niesie prawdę o naszej chlubnej przeszłości i prowadzi do – mamy nadzieję – pomyślnej przyszłości. Bo przecież nie można budować przyszłości bez pamięci o przeszłości i bez prawdy. W tym marszu idziemy razem – i Polacy mieszkający nad Wisłą, i Polonusi rozsiani po całym świecie, którzy są pomysłodawcami tego patriotycznego i religijnego marszu w Oświęcimiu.

Aby historyczną prawdę nieść dalej, trzeba ją poznawać na podstawie najlepszych źródeł. Z okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej ukazało się w Polsce wiele cennych okolicznościowych wydawnictw. Ogromną porcję rzetelnej wiedzy zawiera podwójny numer magazynu o Polsce, historii i kulturze „wSieci Historii" pod redakcją prof. Jana Żaryna. Ważny przyczynek w ramach promocji polskiej pamięci historycznej stanowi książka Jana i Małgorzaty Żarynów pt. „Rok 1939. Od beztroski do tragedii", która ukazała się w wydawnictwie Biały Kruk. Po raz pierwszy pojawił się rewelacyjny projekt dla zagranicy, mający na celu przekazanie prawdziwej wiedzy o II wojnie światowej w różnych językach za pośrednictwem najważniejszych gazet opiniotwórczych. Nosi tytuł: „Opowiadamy Polskę światu. 1939–2019". Został zrealizowany przez Instytutu Nowych Mediów oraz Polską Fundację Narodową. Materiały, które można czytać na szpaltach gazet w różnych krajach na świecie, w wersji polskiej ukazały się w „Niedzieli".

Kolejna wyjątkowa historyczna propozycja dla zagranicy to wystawa „Walka i cierpienie", zorganizowana przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Muzeum II Wojny Światowej. Dzięki tej wystawie w 80 prestiżowych miejscach na świecie wybrzmi prawdziwa narracja o dramacie Polski w latach 1939–1945. Wystawie towarzyszy kampania w mediach społecznościowych. Bardzo istotne jest to, że prawda o Polsce wreszcie przedziera się również w obcych językach. Nasza walka o prawdę i pamięć trwa.

eprasa.pl a665b7dce2





Brygada pod ostrzałem mediów

Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych była największą jednostką polową działającego w konspiracji obozu narodowodemokratycznego, a zarazem jedną z największych jednostek walczących w ramach Polskiego Państwa Podziemnego. Jej dzieje to historia walki zbrojnej z wszystkimi wrogami Polski. Co ciekawe, kolejne odsłony komunistycznego (i nie tylko) kłamstwa o niej to ciekawy przyczynek w dyskusji o kolaboracji Polaków



ARKADIUSZ CISEK

Brygada Świętokrzyska (BŚ) powstała 11 sierpnia 1944 r., gdy w majątku Lasocin na Kielecczyźnie doszło do koncentracji pododdziałów NSZ formujących Grupę Operacyjną Zachód. Koncepcja Grup Operacyjnych powstała w środowisku NSZ – Związku Jaszczurczego (ZJ), czyli tej części NSZ, która odmówiła scalenia z AK wiosną 1944 r. Była swoistym planem „Burza" na ziemiach, o które obóz narodowy dopominał się dla Polski od praktycznie początku konspiracji: obszarów do Odry i Nysy Łużyckiej. NSZ miały tam wystąpić przed aliantami (zakładano, że zachodnimi) jako Wojsko Polskie i polski gospodarz. Ani koncept wielotysięcznych Grup Operacyjnych (miały powstać trzy, skończyło się na jednej – BŚ), ani tym bardziej plan zbrojnego zamanifestowania przejęcia przez wolnych (a nie posłusznych Stalinowi) Polaków ziem nienależących przed 1939 r. do Rzeczpospolitej – niestety się nie powiodły.

Dowódcą BŚ został (i był nim do końca) mjr/płk Antoni Szacki „Bohun", „Dąbrowski", oficer służby czynnej Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej, żołnierz wojny obronnej 1939 r. Początkowo liczyła ok. 850 partyzantów, by w szczytowym momencie okresu „polskiego" (jesień 1944 r.) osiągnąć stan ok. 1,4 tys. żołnierzy. Do połowy stycznia 1945 r. operowała na ziemi kieleckiej i w powiecie radomszczańskim, walcząc z niemieckimi formacjami okupacyjnymi oraz ekspozyturą okupanta nadchodzącego ze wschodu. Nie miało dla Brygady znaczenia, czy naprzeciw niej stawali Niemcy – z Wehrmachtu (w tym Luftwaffe) lub żandarmerii, czy też przygotowujący teren nowej okupacji dla Armii Czerwonej i NKWD bojówkarze Armii Ludowej (AL) i dywersanci sowieccy. BŚ była jednostką niezwykle aktywną i mobilną, potrafiła w forsownych marszach pokonywać dystans nawet 40 km. Wielokrotnie ścierała się z wrogami, w tym w kilkudziesięciu bitwach (zachowując tu oczywiście miarę wojny partyzanckiej). Do bardziej znanych potyczek z Niemcami należą te pod Kurzelowem i Raszkowem (gdzie w akcji odwetowej zlikwidowano 40 żandarmów, którzy wcześniej zamordowali 40 żołnierzy AK) czy Cacowem.

eprasa.pl a665b7dce2

Jednym z absolutnych priorytetów BŚ było zwalczanie struktur komunistycznych czy to w postaci band AL, czy komórek PPR. Definiowano je jako śmiertelnego wroga Polski i atakowano tak samo jak Niemców. Na przykład pod Rząbcem Brygada, idąc na ratunek wziętym do niewoli kolegom, całkowicie rozgromiła spore zgrupowanie AL i sowieckich spadochroniarzy. Jeńców z BŚ uwolniono w momencie, gdy stali już nad wykopanymi przez komunistów dołami śmierci. BŚ zlikwidowała też wiele grup AL trudniących się nie tylko przygotowywaniem gruntu dla nowego okupanta, lecz również, a często głównie, bandytyzmem wymierzonym w polską ludność cywilną. Zwalczano także sowieckich dywersantów, lokowanych na tym terenie przez Kreml długo przed ofensywą Armii Czerwonej.

Warto dodać, że BŚ praktycznie całe swoje uzbrojenie zdobywała (bardzo skutecznie przy tym, włącznie z bronią artyleryjską) na wrogu, przede wszystkim na Niemcach. Były to proporcje znacznie inne niż w przypadku AK, która swe wyposażenie militarne kompletowała także z wykorzystaniem zrzutów aliantów zachodnich. Podobnie rzecz się miała ze zrzucanymi przez Sowietów grupami dywersyjnymi i służącymi im bandami AL – tworzyli oddziały zaopatrywane z powietrza przez samoloty sowieckie. „Samodzielność kwatermistrzowska" NSZ na tym tle bardzo się wyróżniała.



MARSZ NA ZACHÓD

13 stycznia 1945 r. BŚ rozpoczęła słynny marsz na zachód. Realizowała tym samym nie tylko rozkaz Komendy Głównej NSZ („...Brygada ma wykonać rozkaz wycofania się na Śląsk. Pomocy żadnej udzielić nie możemy. Należy liczyć tylko na własne siły"), lecz także końcowy scenariusz politycznego planu NSZ – ZJ dla wspomnianych Grup Operacyjnych: „Rosja opanowuje całość Ziem Polskich. Oddziały NSZ przesuwają się na tereny zajęte przez Aliantów Zachodnich".

Marsz był wielkim wyzwaniem logistycznym, ale nade wszystko – tożsamościowym. Odbywał się przecież przez linie armii niemieckiej, owszem, coraz słabszej, ale wobec BŚ stanowiącej wciąż potęgę nie do pokonania. Już zresztą na samym jego początku, po ciężkich bojach z Niemcami, brygada została zatrzymana przy próbie sforsowania Pilicy. Rzekę mogła przekroczyć tylko dzięki zawieszeniu broni (ceną było uwolnienia jeńców niemieckich, w tym oficerów będących w niewoli BŚ). W tych niezwykle ciężkich okolicznościach, pozorując współdziałanie w pewnych sytuacjach z Niemcami, którzy dzięki temu nie atakowali i przepuszczali BŚ, dowództwu udało się przeprowadzić ją do Czech. I choć nie ustrzeżono się w zupełności błędów, również politycznych (takim był, co prawda zupełnie bierny i zakończony odmową współpracy, udział w roboczym spotkaniu w Pradze, na które – liczący na zmontowanie ligi antybolszewickiej – Niemcy zaprosili przedstawicieli rzeczywistych struktur kolaboracyjnych, m.in. z Węgier i Rumunii), nie ma choćby najmniejszego dowodu na kolaborację BŚ z III Rzeszą.

„Bohun" skutecznie odmawiał Niemcom użycia swych żołnierzy w aktywnej walce po stronie Wehrmachtu z nacierającą armią sowiecką. Co więcej, gdy brygadzie, już na terenie Czech, udało się uzyskać więcej swobody operacyjnej, uderzyła w niemieckiego wroga. Nawiązano kontakt z 3 Armią USA gen. George'a Pattona i przekazano jej plan punktów niemieckiej obrony w okolicach Pilzna, które Amerykanie zbombardowali. 5 maja 1945 r. Brygada Świętokrzyska wyzwoliła w Holiszowie filę obozu koncentracyjnego Flossenburg, ratując setki (według różnych wersji od 700 do 1 tys.) więźniarek i biorąc do niewoli ponad 200 esesmanów załogi. BŚ dalej walczyła z Niemcami u boku armii amerykańskiej, m.in. zdobywając wspólnie kwaterę sztabu XIII Armii Niemieckiej w Hradiště (do niewoli trafiło dwóch generałów, 70 wyższych oficerów i 500 żołnierzy). Amerykanie uznali Brygadę za swoje wojsko sprzymierzone, posiadające pełne prawa kombatanckie. Także dzięki temu, pomimo nacisków Moskwy, BŚ nie została wydana w ręce sowieckie.

Kres epopei Brygady nastąpił latem 1945 r., gdy jej żołnierze zostali przeniesieni do tzw. Kompanii Wartowniczych na terenie okupowanych Niemiec.

13 kwietnia 1945 r. nieznany autor w gazetce BŚ napisał: „Nie wierzyliśmy nigdy i nie wierzymy nadal w dobrą wolę Rosji Sowieckiej. Jednocześnie nie zamierzamy bynajmniej odgrywać roli straży tylnej, osłaniającej odwrót armii niemieckiej, takiej, jaką kiedyś tragicznie odegrał ks. Józef Poniatowski, osłaniając odwrót Napoleona.

eprasa.pl a665b7dce2

Zawsze jesteśmy przedstawicielami polskiej racji stanu i siłę naszą upatrujemy w ścisłej koordynacji mózgu politycznego z ramieniem zbrojnym, a jedynym czynnikiem rozkazodawczym był, jest i będzie dla nas Wódz Naczelny Armii Polskiej oraz Rząd Polski w Londynie".

PRAWDZIWY POWÓD OSKARŻEŃ

Funkcjonujący w obiegu publicznym do dziś tzw. problem Brygady Świętokrzyskiej w istocie nie leży w kolaboracji z Niemcami (bo jej nie było), ale w tym, że od samego początku konsekwentnie uznawała ona Związek Sowiecki za okupanta. Jest to zasadniczy, także pod względem semantycznym element ataku środowisk dobrze wspominających PRL: powtarzać zarzut kolaboracji, wymyślony przez tych, którzy sami realnie i ze strasznymi skutkami dla narodu polskiego kolaborowali z okupantem przybyłym ze wschodu. Przypisywać innym własne winy, wyzyskując przy tym do cna efekty wtłaczanego przez dekady kłamstwa o okresie po 1944 r., czyli zjawisko „oswojenia okupacji" i co najmniej przychylną obojętność znacznej części społeczeństwa polskiego wobec cynicznej tezy o zniewoleniu Polski przez Związek Sowiecki jako nie poddaństwa, lecz – mimo wszystko – jednej z form polskości.

Brygada Świętokrzyska kolaborację zwalczała. Zarówno niemiecką, walcząc np. z ukraińskim Schutzmannschaft i turkiestańskim Ostlegionen, jak i sowiecką, chociażby tę spod znaku AL. Jak w styczniu 1945 r. w podziemnym piśmie „Szaniec" pisał żołnierz BŚ: „Brygada wie, że nie jest sama, za nią rozrzucone po kraju okręgi i załogi NSZ, a znów za tą organizacją – Obóz Narodowy, wreszcie cały Naród, nie ten papierowy, z ckliwych deklaracji, lecz ten, który walczy, cierpi i czeka na chwilę ostatecznej rozprawy z Moskalami i Niemcami, z Ukraińcami i zdrajcami różnego gatunku".

Uczciwie należy przyznać, że BŚ spotykają czasami oskarżenia o kolaborację z Niemcami również ze strony, którą trudno przypisać do sympatyków PRL. Kolaboracją nazywane jest tu prowadzenie negocjacji z Niemcami i podejmowanie działań pozorowanych w celu uratowania życia żołnierzy. Nikt nikomu nie może odbierać prawa do takich poglądów. Warto się jednak zastanowić, czy przy takim osądzie moralnym decyzje AK o akcji „Burza" czy powstaniu warszawskim powinny być z założenia oceniane jako jedyne słuszne.

Jednym z fundamentalnych imperatywów wyborów i dowództwa, i żołnierzy BŚ był niewątpliwie antykomunizm. Realnym tego wymiarem stawało się walczenie ze Związkiem Sowieckim, szkodzenie jego interesom. I o ile podczas pobytu na ziemiach II RP taką walkę zbrojną BŚ prowadziła, o tyle podczas marszu na zachód – mając świadomość tego, że najwyższą wartością jest wierność Polsce – odrzuciła taką możliwość, choć była pod potężną presją otaczających ją wojsk niemieckich. A czemu miałaby służyć ta rzekoma ścisła współpraca z Niemcami? Przecież wyłącznie walce z Armią Czerwoną. Ale ani militarnie, ani politycznie BŚ nie dała się wprzęgnąć Niemcom do ich ówczesnych walk z tak znienawidzonym wszak przez żołnierzy Brygady wrogiem, jakim był ZSRS.

> Funkcjonujący w obiegu publicznym do dziś tzw. problem Brygady Świętokrzyskiej w istocie nie leży w kolaboracji z Niemcami (bo jej nie było), ale w tym, że od samego początku konsekwentnie uznawała ona Związek Sowiecki za okupanta

Można więc zadać pytanie, kim byli żołnierze AK, którzy dokładnie w tym samym czasie, zimą i wiosną 1945 r., we wschodnich i centralnych województwach II RP podjęli walkę z wciąż przecież prowadzącym z Hitlerem wojnę Związkiem Sowieckim. Czy to nie było osłabianie koalicji antyniemieckiej, a tym samym pewne wspieranie Niemiec? Komu służyli żołnierze organizacji Nie, Delegatury Sił Zbrojnych i innych formacji antysowieckich? Kogo poszukuje dziś IPN w dołach śmierci? A jeśli poszukiwania są skuteczne, kogo potem, z honorami, państwo polskie chowa na uroczystych pogrzebach? Bohaterów czy kolaborantów?

Wciąż zmagamy się z dialektyką (po?)komunistyczną. Drwi ona i szydzi z tego, kto stałą, wbrew woli Polaków, obecność Armii Czerwonej na ziemiach polskich nazywa przejawem okupacji, ale która zarazem pertraktacje z Niemcami, by uratować z matni setki Polaków gotowych w przyszłości poświęcić życie dla ojczyzny – bez żadnych wątpliwości, ex cathedra stempluje strasznym słowem „kolaboracja".

BŚ była w istocie pierwszą tak dużą jednostką polskiego powstania antykomunistycznego. Sama, gdy ta insurekcja przybrała największe rozmiary, znalazła się już poza Polską, ale z sowieckim zniewoleniem walczyły liczne szeregi innych żołnierzy konspiracji z tzw. obozu narodowego. Według niesprawdzonych szacunków (niestety Herbertowskie liczenie poległych to jeszcze bardzo długa droga) nawet ok. 90 proc. żołnierzy NSZ spośród tych, którzy pozostali na ziemiach polskich po 1944/1945, poległo w walce z sowieckimi okupantami, ich rodzimymi kolaborantami lub zostało przez nich zamordowanych.

30 lat po „odzyskaniu podmiotowości" przez Polaków w stolicy państwa nie ma ulicy ani Brygady Świętokrzyskiej, ani Narodowych Sił Zbrojnych. Jest – Armii Ludowej. Co znaczą dziś dla nas pojęcia „okupacja" i „kolaboracja"? I dlaczego rozumiemy je przeważnie dopiero wtedy, gdy są zapisane cyrylicą?

53/0719/F

eprasa.pl a665b7dce2

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Postaw na sprawdzonego partnera
Wybierz PPK w PZU

- Brak opłat za zarządzanie w pierwszym roku funkcjonowania PPK
- Kompleksowa pomoc dla pracodawców i pracowników
- Profesjonalne inwestowanie powierzonych oszczędności

Sprawdź:
emerytura.pzu.pl
infolinia **22 640 06 22**
Opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o PPK oferowanym przez TFI PZU SA są zawarte w „Regulaminie zarządzania pracowniczym planem kapitałowym przez PPK inPZU Specjalistyczny Fundusz Inwestycyjny Otwarty". Materiał nie stanowi oferty ani porady prawnej. TFI PZU SA podlega nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego.

eprasa.pl a665b7dce2



Ostatni szturm na brexit

Przeciwnicy Borisa Johnsona połączyli siły, aby uniemożliwić wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej bez porozumienia. Zapowiada się całkowite odwrócenie decyzji z referendum z 2016 r. Strach proeuropejskich elit nad Tamizą przed brexitem zdaje się brać górę nad demokratycznymi zasadami



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fot. UK Parliament/Jessica Taylor / EastNews

Miniony tydzień był jednym z najburzliwszych w historii brytyjskiej Izby Gmin. We wtorek rozegrały się tam wręcz dantejskie sceny, po tym jak premier Boris Johnson zawiesił obrady parlamentu do 14 października. Oburzeni posłowie opozycji usiłowali powstrzymać spikera izby gmin Johna Bercowa od dokończenia procedur tzw. prorogacji, przytrzymując go w krześle. Poseł laburzystów Lloyd Russell-Moyle położył się nawet na spikerze, by ten nie mógł wstać i udać się do Izby Lordów. Po sali paradowali deputowani Partii Pracy z kartkami z napisem „Uciszeni" w rękach, krzycząc: „Wstyd i hańba!", niektórzy z nich intonowali socjalistyczną pieśń „Czerwona flaga" (Red Flag), podczas gdy ich koledzy z Walii śpiewali „Calon Lân", popularną walijską piosenkę, zwykle wybrzmiewającą z okazji meczy rugby. Na koniec Bercow złożył swoją rezygnację jako spiker i porzucając już nawet pozory bezstronności, stwierdził, że „to nie jest normalne zawieszenie", tylko „skandal". Były już spiker oskarżył premiera o to, że chciał pozbawić deputowanych możliwości zabrania głosu w sprawie brexitu. I to na ostatniej prostej, Johnson bowiem obiecał, że kraj opuści europejską wspólnotę do 31 października. Z umową lub bez. Ta obietnica pozwoliła mu wygrać w lipcu rywalizację w Partii Konserwatywnej z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Jeremym Huntem o schedę po premier Theresie May. I tej obietnicy Johnson zamierza dotrzymać.

UPOKORZYĆ JOHNSONA

Tyle że brytyjski parlament jest – jak twierdzi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" były europoseł Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) i lider ruchu Independence from Europe Mike Nattrass – „tradycyjnie bardzo proeuropejski". – Większość posłów nie chce rządzić swoim krajem.

eprasa.pl a665b7dce2



Wolą siedzieć w Izbie Gmin i przegłosowywać ustawy wdrażające unijne regulacje i przepisy. To bardzo miłe i wygodne zajęcie. No i dobrze płatne, nie wspominając o grantach z Brukseli – utrzymuje Nattrass. Według niego posłowie są „leniwi" i „przywłaszczają sobie uprawnienia władzy wykonawczej". Nie da się ukryć, że jeszcze za czasów May Izba Gmin przejęła kontrolę nad procesem w sprawie brexitu i nie zamierza jej oddać. Johnson poniósł tam w konsekwencji w ostatnich tygodniach wiele porażek – opozycja przejęła m.in. kontrolę nad porządkiem obrad oraz przegłosowała ponadpartyjny projekt wykluczający brexit bez umowy. Dołączyło do niej 21 rozłamowców z Partii Konserwatywnej, za co zostali wykluczeni z partii. Tym samym torysi stracili i tak niewielką większość w izbie niższej. Posłowie odrzucili także możliwość rozpisania przedterminowych wyborów (potrzebna do tego była większość 2/3 głosów), o co zabiegał premier. Johnson znalazł się więc w trudnej sytuacji i nie ma łatwej drogi do spełnienia swojej obietnicy. Blok opozycyjny jest bowiem zdeterminowany, by nie dopuścić do bezumownego brexitu, a najchętniej całkowicie odwróciłby decyzję o brexicie, laburzyści i liberalni demokraci znów bowiem zaczęli mówić o drugim referendum, które miałoby „zatwierdzić lub nie decyzję z 2016 r.", by „przełamać impas" w brytyjskiej polityce.

– Chodzi o to, by zmusić Johnsona do wysłania upokarzającego listu do Brukseli z prośbą o przedłużenie – po raz kolejny – procedury brexitu, jeśli do 19 października nie uda mu się osiągnąć porozumienia z Brukselą i przepchnąć go przez Izbę Gmin – tłumaczy w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" politolog z uniwersytetu w Nottingham Steven Fielding. Według niego jest mało prawdopodobne, by tak się stało. W końcu po wznowieniu prac parlamentu Johnson będzie miał na to zaledwie pięć dni. Szczyt unijny, na którym można by omówić tę kwestię, odbędzie się 17–18 października. Na dodatek w czwartek Johnson zapowiedział, że „prędzej wyzionie ducha w rowie", niż poprosi UE o kolejne przedłużenie terminu. A przedterminowe wybory? – Jak najbardziej się odbędą. Ale po 31 października. Gdyby odbyły się przed tą datą, torysi pewnie by je wygrali i wtedy Johnson miałby wygodny mandat do przeprowadzenia bezumownego brexitu. Po prostu uchyliłby przyjętą przez Izbę Gmin ustawę. Opozycja na to nie pozwoli – podkreśla politolog. Zamiast tego liczy, że zmusi premiera do dymisji. W końcu Johnson zapowiedział, że jeśli nie przeprowadzi brexitu do 31 października, zrezygnuje z urzędu.

OSZUKANI OBYWATELE

„Nigdy nie byłem wielkim fanem Borisa Johnsona, ale w tej kwestii go popieram. Brytyjczycy, jak mi się wydaje, również. Ludzie mają dość zagrywek opóźniających brexit w wydaniu posłów, którzy się zwyczajnie boją o swoje stołki – uważa Mike Nattrass. Według niego „brytyjska polityka zamieniła się w smutny spektakl, a ludzie, którzy głosowali, w większości za brexitem, w 2016 r. zostali oszukani". – To trwa już trzy lata i wszyscy mamy dosyć. David Cameron złożył obietnicę, że jeśli Brytyjczycy zagłosują w referendum za brexitem, to on nastąpi. Czas spełnić tę obietnicę – uważa były europoseł UKIP.

Zdaniem Stevena Fieldinga na to się jednak nie zanosi. – Jeśli Johnson nie wyciągnie jakichś magicznych sztuczek z rękawa, które pozwolą mu legalnie obejść przegłosowaną przez Izbę Gmin ustawę, nic z tego nie będzie. Myślę, że poda się do dymisji najpóźniej 19 października – utrzymuje politolog. Wówczas stałby się jednym z najkrócej urzędujących premierów w historii kraju. – On woli się podać do dymisji, niż poprosić Unię o przedłużenie. Wtedy pewnie dojdzie do utworzenia przejściowego rządu, który poprosi Brukselę o to, o co Johnson poprosić nie chciał. A następnie odbędą się przedterminowe wybory. Nie wiemy oczywiście, kto je wygra, bo nie wiemy, jak ludzie zareagują na taki obrót sprawy – twierdzi Fielding w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Według niego jednak Wielka Brytania znów będzie miała rząd mniejszościowy, czy to laburzystów, czy torysów. – Wrócimy do miejsca wyjścia. Niestabilność polityczna będzie trwała. Brexit nadal będzie dominował politykę. Będą podejmowane kolejne próby negocjacji dealu z UE, czy to na bazie porozumienia wypracowanego przez Theresę May, czy zupełnie nowego. To jest zresztą jeden z koronnych argumentów Johnsona, że lepiej wyjść teraz i zakończyć tę brexitową telenowelę, niż ją dalej przedłużać kosztem dobra kraju i obywateli. Ale przecież w przypadku twardego brexitu wewnętrzne podziały nie znikną. Zwolennicy „remain" nie znikną. Te podziały to coś, z czym będziemy się musieli zmierzyć przez następne lata bez względu na to, czy brexit będzie miał miejsce i w jakiej formie – utrzymuje politolog.

WYJŚCIE Z IMPASU?

Popierające brexit media nad Tamizą apelują tymczasem do premiera, by

eprasa.pl a665b7dce2

nie dał się „wyrolować zbuntowanym posłom". „The Sun" wzywa Johsnona wręcz do tego, by zignorował przegłosowaną przez Izbę Gmin ponadpartyjną ustawę. „Oni ogłosili się równoległym rządem antybrexitowym bez mandatu. Boją się wyborców, tej większości, która jest za brexitem i dlatego ignorują ich wolę. Nie można na to pozwolić. Ten parlament jest nielegalny!" – czytamy na łamach popularnego brukowca. Zdaniem gazety Johnson nie jest bezbronny wobec „samowoli" parlamentu. Tak zdaje się uważać także były premier, który zapewne po to ogłosił zawieszenie prac parlamentu, by zyskać czas na znalezienie wyjścia z koziego rogu, w który dał się zapędzić. Jak donosi dziennik „The Guardian", powołując się na probrexitowego posła torysów Nigela Evansa, premier znalazł „już 20 sposobów na wybrnięcie z niewygodnej dla niego sytuacji". Może on zignorować ustawę bloku opozycyjnego zmuszającą go do opóźnienia wyjścia z UE. Taki ruch z pewnością pociągnąłby za sobą pilny pozew do Wysokiego Sądu Anglii i Walii, a następnie zapewne trafiłby do Sądu Najwyższego. Zaletą – jak twierdzi „Guardian" – byłoby to, że Johnson stałby się męczennikiem brexitu. Pytanie tylko czy warto. Może on także wysłać list do Brukseli z prośbą o przedłużenie procesu negocjacji, dołączając do niego drugi list mówiący, w skrócie: „Zignorujcie pierwszy list, nie chcemy przedłużenia i nie zamierzamy z wami negocjować". To zapewne zniechęciłoby unijnych negocjatorów do dalszych rozmów z Londynem. Johnson, jak wyjaśnia „Guardian", może także złożyć wniosek o wotum nieufności dla własnego rządu. Gdyby wniosek został przyjęty, automatycznie ruszyłby zegar, dając podzielonej opozycji 14 dni na stworzenie nowego gabinetu wokół tymczasowego premiera. W razie niepowodzenia tej misji Brytyjczycy musieliby pójść do urn, a o terminie głosowania decydowałby jako ustępujący premier sam Johnson.

Możliwa jest także kolejna próba przepchnięcia ustawy o przedterminowych wyborach przez Izbę Gmin, tym razem z prostą większością. Tyle że torysi nawet takiej większości już nie mają. Rząd w Londynie mógłby także poprosić o zablokowanie przedłużenia brexitu jeden z krajów wspólnoty. Poseł torysów o polskim pochodzeniu Daniel Kawczynski miał się według „Guardiana" zwrócić w tej sprawie do rządu w Warszawie, jednak jego prośba nie została spełniona. Polska i Węgry może i są w sporze z UE, ale jednocześnie nie kryją, że wolałyby, żeby Londyn pozostał w Unii.

> Jeśli Wielka Brytania nie wyjdzie z UE, kryzys brytyjskiej demokracji się jeszcze pogłębi i nie będzie czego zbierać ani po torysach, ani po laburzystach

NIE BĘDZIE CZEGO ZBIERAĆ

Jak twierdzi europejski portal „Politico", Londyn przyjął na razie taktykę oferowania pojedynczych „minideali" państwom członkowskim UE, przy pominięciu Komisji Europejskiej, co miało mocno rozzłościć unijnych negocjatorów. „Brytyjscy politycy zwrócili się do licznych stolic europejskich, oferując bilateralne umowy, które miałyby złagodzić efekt twardego brexitu na brytyjską gospodarkę. Komisji Europejskiej to się nie podoba, bo taka łatanina oddzielnych deali dla Wielkiej Brytanii może się okazać korzystniejsza niż umowa, którą z UE wynegocjowała Theresa May" – czytamy na łamach „Politico", który powołuje się na źródła w KE. Według portalu Unia traktuje to jako próbę podzielenia europejskiej wspólnoty, by osłabić pozycję negocjacyjną Komisji. Johnson zresztą nie ukrywa, że uważa, iż unijni negocjatorzy dominowali dotąd negocjacje, narzucając Londynowi swoją agendę. „To musi się zmienić, inaczej rozmowy nie mają sensu" – przekonuje.

Ciekawe jest to, że Brytyjczycy wciąż chcą brexitu. Jak wynika z sondażu „ComRes" dla dziennika „The Daily Telegraph", ponad połowa (54 proc.) respondentów zgadza się ze zdaniem: „Boris (Johnson) musi doprowadzić do brexitu wszelkimi środkami". 46 proc. pytanych nie zgodziło się z tą deklaracją. Ten sam sondaż wskazuje, że w ostatnim czasie, wraz z wyborem Johnsona na premiera, o 6 pkt proc., do 31 proc., wzrosło poparcie dla rządzącej Partii Konserwatywnej, przy czym z badań opinii publicznej wynika równie jasno, że jeśli Johnson nie dowiezie brexitu, to część poparcia dla torysów przerzuci się na nową partię brexitową Nigela Farage'a. To konserwatyści obiecali brexit, i to oni muszą go dostarczyć.

Widać tu jak na dłoni, że obecny kryzys jest z jednej strony kryzysem torysów, a z drugiej kryzysem brytyjskiej demokracji. Ludzie zagłosowali w referendum, wygrało „tak" dla brexitu, a następnie politycy przez trzy lata robili, co mogli, by tej decyzji nie przekuć w rzeczywistość. Theresa May miotała się od ściany do ściany wobec twardej postawy Komisji Europejskiej, która choć mogła, nie chciała znaleźć technicznego rozwiązania dla problemu irlandzkiego backstopu. W końcu parlament w Westminsterze przejął stery brexitowego procesu. Parlament zdominowany przez siły prounijne, które teraz domagają się impeachmentu Johnsona i powtórki referendum, licząc na to, że tym razem wynik będzie inny. Obywatele zagłosowali, zagłosowali źle, nie tak jak chcemy, nie uszanowaliśmy więc wyniku głosowania, a teraz staramy się je powtórzyć. Na pohybel demokracji. Przy okazji tłumaczymy obywatelom, że są głupi, niedouczeni, nic nie wiedzą o Unii i jej zaletach, ale my jesteśmy dobrymi panami i pozwolimy im głosować jeszcze raz. Oto myślenie i postępowanie brytyjskich elit, szczególnie tych parlamentarnych. Jeśli Wielka Brytania nie wyjdzie z UE, kryzys brytyjskiej demokracji się jeszcze pogłębi i nie będzie czego zbierać ani po torysach, ani po laburzystach.

eprasa.pl a665b7dce2



Krynica: MŚP potrzebują więcej innowacji

Polskie małe i średnie firmy muszą w coraz większym stopniu stawiać na innowacje technologiczne i organizacyjne, bo inaczej przegrają konkurencję z dużymi podmiotami np. o pracowników – powiedziała Magdalena Zmitrowicz, wiceprezes Banku Pekao

Jednym z tematów, które budziły największe zainteresowanie w trakcie XXIX Forum Ekonomicznego w Krynicy, były małe i średnie firmy, a dokładnie to, jak im pomagać w rozwoju. A właściwie – jak im pomagać jeszcze lepiej, bo już sporo się w tej kwestii dzieje.

– W Polsce wiele działań w sprawie pomocy w rozwoju małym i średnim firmom już podjęto, mamy PARP, programy unijne, jest wiele instytucji, które działają w tej dziedzinie – powiedziała Magdalena Zmitrowicz, wiceprezes Banku Pekao, w trakcie debaty „Jak wspierać rozwój małych i średnich przedsiębiorstw".

Bank Pekao ma duże doświadczenie we współpracy z MSP, jako że od dwóch lat istnieje w banku segment, który specjalizuje się wyłącznie w tej grupie przedsiębiorstw.

Jeśli spojrzeć na przychody MSP, to widać, że one rosną, i to w tempie ok. 4 proc. rocznie. Te mniejsze firmy, zatrudniające między 10 a 49 pracowników, mają ten wzrost nawet szybszy. Ale – co wynika choćby ze spotkań tutaj, w Krynicy, jako że spotkaliśmy się tu z ok. 200 klientami – jest wiele rzeczy do poprawy. I nie myślę tutaj o podatkach, ale o innych elementach. Na przykład pod względem udziału w eksporcie MSP są w tyle, jako że wpływy ze sprzedaży za granicę stanowią zaledwie 20 proc. – mówiła Magdalena Zmitrowicz. – Moglibyśmy mieć więcej start-upów, niż mamy, w Niemczech na przykład skupia się aż 25 proc. wszystkich europejskich start-upów. Aby to osiągnąć, konieczna jest jeszcze praca nad finansowaniem MSP. Ta kwestia już jest w jakiejś części rozwiązana, ale jeszcze nie całkowicie – dodała.

Pieniądze MSP są potrzebne, żeby mogły się rozwijać i konkurować z innymi. Dlatego muszą postawić na innowacyjność.

– Z perspektywy banku widzimy wzrost kosztów pracowniczych. MSP muszą więc pójść bardziej odważnie w rozwiązania innowacyjne, bo przecież małe firmy nigdy nie zapłacą tyle, ile duże. Trwa walka o talenty i aby sobie z tym poradzić, MSP muszą kłaść większy nacisk na technologie i innowacyjność, bo tylko w ten sposób zapewnią sobie progres – mówiła wiceprezes Banku Pekao.

Nie tylko coraz więcej trzeba płacić pracownikom, generalnie otoczenie biznesowe robi się droższe.

– Słyszę, że w Polsce założenie biznesu kosztuje więcej niż w Berlinie, bo na przykład droższe są tutaj powierzchnie biurowe. Dlatego też sądzę, że polskie małe firmy, zwłaszcza start-upy, potrzebują pieniędzy. Nie jest łatwo oprzeć swój rozwój np. na pieniądzach unijnych, jako że to ogranicza elastyczność i wymaga dokładniejszego planowania – powiedział w trakcie debaty „Jak wspierać rozwój małych i średnich przedsiębiorstw" Lars Gutheil, dyrektor generalny Polsko-Niemieckiej Izby Przemysłowo-Handlowej.

52/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2

Forum Ekonomiczne w Krynicy: Z Rumunią łączą nas cele i wartości

Wystarczyło osiem miesięcy, aby powołać Fundusz Trójmorza. To pokazuje, jak dobrze współpracuje się nam z Rumunami – powiedział Paweł Nierada, pierwszy wiceprezes BGK, w czasie debaty poświęconej współpracy polsko-rumuńskiej w trakcie XXIX Forum Ekonomicznego w Krynicy

W 2008 r. Polska zawarła z Rumunią strategiczne partnerstwo. I choć relacje między oboma krajami zawsze były dobre, to jednak partnerstwo strategiczne pomogło w rozwoju m.in. obrotów handlowych. Obecnie przekraczają one poziom 6 mld euro i rosną w tempie 15–20 proc. rocznie.

Mimo to wydaje się, że nowego rozmachu w stosunkach między oboma krajami nadała współpraca banków rozwoju przy uruchomieniu Funduszu Trójmorza, którego zadaniem jest inwestowanie w infrastrukturę transportową, energetyczną i cyfrową w Europie Środkowo-Wschodniej. Inicjatorem funduszu – komercyjnego wehikułu inwestycyjnego działającego na zasadach rynkowych – był polski BGK. Polski bank rozwoju ogłosił założenie funduszu wspólnie z rumuńskim EximBankiem 29 maja 2019 r.

– Jeszcze kilka lat temu nie mieliśmy nawiązanej bliższej relacji z EximBankiem, ale gdy zaczęliśmy się spotykać, okazało się, że mamy mnóstwo wspólnych celów i wartości. Dzięki temu w ciągu ośmiu miesięcy uruchomiliśmy fundusz, co zwykle trwa od 18 do 24 miesięcy – powiedział Paweł Nierada, pierwszy wiceprezes BGK, podczas odbywającej się w trakcie XXIX Forum Ekonomicznego w Krynicy debaty pod tytułem „Polska i Rumunia – zacieśnianie strategicznego partnerstwa w wymiarze gospodarczym".

Rumunia to kraj bardzo obiecujący dla współpracy gospodarczej. Zwłaszcza dla instytucji finansowej, która ma swoje wymagania m.in. co do bezpieczeństwa inwestycji.



Fot. Fratria | 26/0919/F

– Rumunia z naszej perspektywy jest niezwykle atrakcyjnym i bezpiecznym miejscem do inwestowania. Jesteśmy gotowi wspierać przedsiębiorców w ekspansji i nie widzimy żadnych ograniczeń, by zaoferować polskim firmom pomoc na tym rynku. Mamy umowy z sześcioma bankami, co pozwala na dostęp do naszych instrumentów wsparcia – mówił Nierada w trakcie debaty.

W Rumunii warto inwestować. Jest to kraj, który rozwija się bardzo szybko.

– Jakiś czas temu francuska prasa nazwała Rumunię „tygrysem", ponieważ osiągnęliśmy wówczas 7-proc. tempo wzrostu PKB. Teraz wynosi ono ok. 4,5 proc. Widzimy wzrost inflacji, zwłaszcza cen towarów z branży FMCG i krajowych, ale jest to efekt wzrostu płac, jako że w ostatnich latach minimalne wynagrodzenie prawie się podwoiło. Notujemy dobry wzrost, lecz niestety zaczynamy z niskiego poziomu – powiedział Florin Kubinschi, wiceprezes EximBank Romania, w trakcie debaty.

Przedsiębiorcy operujący w Rumunii są pod wrażeniem jakości tamtejszych pracowników, ale także odwagi rządu do przeprowadzania reform.

– Rząd obniżył stawkę podatku VAT od żywności z 18 do 8 proc. Zanim to uczynił, wszyscy eksperci twierdzili, że doprowadzi to do załamania finansów publicznych, tymczasem po tej zmianie wpływy podatkowe wzrosły, bo mnóstwo firm wyszło z szarej strefy – mówił Krzysztof Pawiński, prezes Maspeksu, który w Rumunii ma trzy zakłady produkcyjne i jest liderem w wielu kategoriach produktów żywnościowych.

eprasa.pl a665b7dce2



Gospodarka cyrkularna: naprawiać, a nie wyrzucać

Co zrobić, by wytwarzać mniej śmieci, a te, które już są, umiejętnie przetwarzać, by nie niszczyły naszego środowiska naturalnego? Gospodarka obiegu zamkniętego pozwala rozwiązać większość tych problemów

Podczas XXIX Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju kwestie związane z ekologią omawiano niezwykle starannie. Jeden z paneli – „Gospodarka o obiegu zamkniętym – przyszłość Europy?" – został poświęcony koncepcji, która zyskuje coraz więcej zwolenników. Jest też wspierana przez UE. Polski rząd przyjął „Mapę drogową transformacji w kierunku gospodarki o obiegu zamkniętym", która powstała na podstawie analogicznej unijnej strategii.

Co to jest gospodarka obiegu zamkniętego, zwana również gospodarką cyrkularną? W uproszczeniu to taki sposób wykorzystania materiałów, surowców i produktów, by pozostały w obiegu gospodarczym tak długo, jak to możliwe. W circular economy minimalizuje się zużycie surowców i wielkość odpadów oraz emisję i utratę energii poprzez tworzenie zamkniętej pętli procesów, w których odpady z jednych procesów są wykorzystywane jako surowce dla innych. W gospodarce obiegu zamkniętego naprawia się przedmioty, by wyrzucić je jak najpóźniej.

Radosław Kwiecień, członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, zwrócił uwagę na trudności pojawiające się przy komercyjnym finansowaniu projektów wspierających gospodarkę cyrkularną. Banki często dostrzegają w nich zbyt duży poziom ryzyka biznesowego, a także trudny do zaakceptowania długi okres zwrotu z zainwestowanego kapitału. BGK chce jednak wspierać tego typu projekty. Zaangażowanie w rozwój gospodarki obiegu zamkniętego jest wyrazem odpowiedzialności za przyszłe pokolenia. Bank wdraża więc rozwiązania, które będą wspierać innowacyjne i przyjazne środowisku inwestycje w Unii Europejskiej i z pięcioma największymi krajowymi bankami rozwoju w Unii Europejskiej oraz Europejskim Bankiem Inwestycyjnym stworzył inicjatywę, której celem jest uruchomienie inwestycji o wartości co najmniej 10 mld euro, przyspieszających przejście na gospodarkę obiegu zamkniętego.

Radosław Kwiecień zwrócił uwagę, jak dużym problemem jest coraz krótszy okres życia produktów. Tymczasem jego wydłużenie przynosi korzyści nie tylko środowisku naturalnemu, lecz również gospodarce. Dzięki wydłużeniu czasu życia produktów Unia Europejska może wprowadzić oszczędności, które zwiększą PKB wspólnoty. Według członka zarządu BGK bardzo ważne w realizacji strategii gospodarki cyrkularnej są regulacje, a także budowanie świadomości i kultury ekologicznej. Duża odpowiedzialność leży też po stronie państwa.

Czasami wystarczą stosunkowo proste rozwiązania, które przybliżają nas do realizacji tej strategii. Máté Kriza, przewodniczący Fundacji ds. Gospodarki o Obiegu Zamkniętym z Węgier, podał przykład Szwecji, która zmniejszyła podatek VAT na naprawy, dzięki czemu ceny usług spadły. W rezultacie więcej rzeczy jest naprawianych, a mniej wyrzucanych.

Sławomir Mazurek, podsekretarz stanu w Ministerstwie Środowiska, mówił o potrzebie współpracy podmiotów w procesie produkcji, co zbliży nas do gospodarki cyrkularnej. Podkreślał również, że gospodarka obiegu zamkniętego musi się opłacać biznesowi, powinna budować jego przewagę konkurencyjną. Joanna Kulczycka, kierownik Pracowni Badań Strategicznych z Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią w PAN, przypomniała natomiast, że do tej koncepcji należy przekonywać nie tylko biznes, lecz również konsumenta, by świadomie wybierał produkty powstałe w gospodarce obiegu zamkniętego.

Martin Hojsik, członek Parlamentu Europejskiego ze Słowacji, mówił o konieczności wprowadzenia zasad gospodarki obiegu zamkniętego, ponieważ gigantyczna skala produkcji odpadów stwarza egzystencjalne zagrożenie dla cywilizacji. Máté Kriza zachęcał do współpracy regionalnej w tej dziedzinie, gdyż dzięki niej uda się efektywniej realizować tę proekologiczną strategię.

sk

eprasa.pl a665b7dce2





Hit tygodnia

Sony Alpha 7R IV

Sony po raz kolejny wysuwa się na początek wyścigu w kategorii aparatów pełnoklatkowych i wprowadza bezlusterkowca A7R IV z pierwszym na świecie 61-megapikselowym przetwornikiem obrazu wykonanym w technologii BSI. „Nieustannie wprowadzamy innowacje, przełamujemy bariery i podnosimy standard działania aparatu cyfrowego" – mówi Yann Salmon Legagneur, dyrektor ds. marketingu produktu w dziale Digital Imaging Sony Europe. „Nowy A7R IV łączy jakość obrazu aparatów średnioformatowych z dużą szybkością zdjęć, błyskawicznym ustawianiem ostrości i długą listą ulepszeń w konstrukcji, łączności i funkcjonalności. Pozwoli to zawodowym fotografom, filmowcom i innym twórcom rejestrować obrazy, których uzyskanie było wcześniej po prostu niemożliwe". Właściwie wszystko zostało powiedziane. Czwarta już odsłona Sony Alpha 7R zdecydowanie jest skierowana do zawodowców, dla których wielkość obrazu jest często podstawą pracy, stąd słowa o średnim formacie. Jednocześnie, jak już wspomniałem, Sony znów o krok wyprzedziło konkurencję. Teraz musimy poczekać na odpowiedź Nikona i Canona, a nawet Panasonica, który włączył się do gry w pełnoklatkowe bezlusterkowce.

Zapowiedź

Plusy i minusy

- \+ matryca, najnowsze rozwiązania technologiczne
- – by cieszyć się w pełni jakością obrazka, potrzeba najnowszych i najlepszych obiektywów, a co za tym idzie, najdroższych

Samsung Galaxy Watch Active 2



Smartwatche chyba nie podbiły rynku, tak jak chcieliby tego producenci, ale bez wątpienia wciąż znajdują się chętni na te urządzenia. I oczywiście firmy je produkujące. Samsung Galaxy Watch Active 2 skierowany jest do aktywnego użytkownika, tj. wykorzystującego to urządzenie jako asystenta treningów. Według producenta zegarek potrafi rozpoznać 39 aktywności fizycznych. Zegarek jest oczywiście wodoszczelny. Urządzenie działa pod kontrolą systemu Tizen OS z interfejsem One UI, ale bez problemu współpracuje ze smarttfonami wyposażonymi w Androida 5.0 oraz nowszego, a także w iOS 9.0 i nowsze wersje tego systemu. Samsung Galaxy Watch Active 2 pojawi się w dwóch rozmiarach: 44 oraz 40 mm. Niezależnie od wielkości ekranu rozdzielczość to 360 x 360 pikseli. Smartwatch ma procesor Exynos 9110 i 768 MB RAM (w wersji LTE – 1,5 GB RAM). Każdy model ma 4 GB pamięci, pojemność baterii zależy od rozmiaru: 340 mAh lub 247 mAh. Cena gadżetu na razie nie jest znana.

Zapowiedź

Wideorejestrator Navitel MR250 NV

To urządzenie może się okazać całkiem przydatne dla kierowcy. Firma Novitel zaprezentowała nową wersję lusterka samochodowego z wbudowanym wideorejestratorem. Navitel MR250 NV ma przede wszystkim tryb nocny – Night Vision – dzięki czemu jakość nagrań w trudnych warunkach oświetleniowych się polepszyła. Urządzenie rejestruje materiał wideo w rozdzielczości Full HD z prędkością 30 klatek na sekundę, ma szerokokątny obiektyw, który obejmuje 160 stopni. W środkowej części lusterka znajduje się 5-calowy ekran IPS, na którym wyświetla się obraz. Urządzenie obsługuje karty o pojemności do 64 GB.

Cena: 379 zł



Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl a665b7dce2

PZU sponsorem dobrych postanowień Polaków

Kilka prostych sposobów wystarczy, żeby wydłużyć sobie życie i poprawić jego komfort – wykazały badania amerykańskich naukowców. Na ten temat, a także o roli profilaktyki i prewencji zdrowotnej dyskutowali uczestnicy panelu zorganizowanego przez Grupę PZU podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy

Chcemy, żeby Polacy żyli jak najdłużej i w jak najlepszym zdrowiu – zadeklarował prezes PZU Paweł Surówka, otwierając podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy debatę „Polacy najdłużej żyjącym narodem w Europie? Co zrobić, żeby żyć przynajmniej 10 lat dłużej?". Przyczynkiem do dyskusji był ogłoszony w czerwcu przez PZU projekt #10latdłużej.

Jak podkreślała prowadząca rozmowę dziennikarka TVP Anna Popek, projekt #10latdłużej jest dowodem na to, że wzorem PZU, cieszącego się największymi od pięciu lat zyskami, można łączyć realizację biznesowych celów ze społeczną wrażliwością i zaangażowaniem. Zwróciła uwagę, że nasze własne działania i troska o zdrowie mogą wydłużyć życie. – Wszyscy powinniśmy bardziej dbać o zdrowie. Dlatego PZU chce być sponsorem dobrych postanowień Polaków – dodał prezes Surówka.

PROFILAKTYKA TO KLUCZ DO ZDROWIA

– Przeciętny Polak żyje 74 lata, a Polka 82. To są wskaźniki, które w Europie Zachodniej osiągnięto już 15 lat temu – wskazywał wiceminister zdrowia Waldemar Kraska, przekonując, że wydłużenie życia Polaków jest realne. Jak podkreślał, najlepszy efekt daje profilaktyka. Pozwala na wcześniejsze wykrycie chorób i skuteczne leczenie: – Inaczej leczy się pacjenta na początku choroby, a inaczej, gdy jest już ona bardzo zaawansowana – powiedział. Problemem jest to, że Polacy niechętnie poddają się regularnym badaniom: – Każdy raz na rok robi przegląd swojego auta, ale nie każdy chce raz na rok pójść do lekarza, by sprawdzić stan swojego zdrowia – dodał wiceminister Kraska.

Do jego wypowiedzi nawiązał prezes PZU Życie Roman Pałac. – Wczesne wykrywanie chorób oraz prewencja to sposób na poprawę jakości życia Polaków. Na przykład w Japonii funkcjonuje bardzo dobry system wykrywania chorób nowotworowych – argumentował. Jak podkreślił, taki cel, a więc prewencję zdrowotną, mają mobilne Strefy Zdrowia PZU, które odwiedzają różne miejsca w Polsce. Jedną z nich PZU uruchomił przy Forum Ekonomicznym w Krynicy. Wszyscy, nie tylko uczestnicy ekonomicznej konferencji, mogli w Strefie Zdrowia PZU skorzystać z darmowych porad fizjoterapeutów i dietetyków, a także badań.

NAJLEPSZE DLA ZDROWIA SĄ PROSTE SPOSOBY

O tym, że wydłużenie ludzkiego życia jest realne, świadczą badania naukowców z amerykańskiego Uniwersytetu Harvarda, do których odwoływał się p.o. prezes Agencji Badań Medycznych Radosław Sierpiński. Stosując się do prostych zasad, można przeżyć w dobrym zdrowiu nawet 14 lat więcej. – Właściwe odżywianie się, regularne uprawianie sportu, unikanie stresu i wysypianie się, a także niepalenie papierosów i umiarkowane picie alkoholu, czyli nie więcej niż dwa kieliszki wina na tydzień – wyliczał te zasady prezes Sierpiński. Jak podkreślał, badania, które wykazały skuteczność tych metod, są miarodajne. Zostały przeprowadzone aż na 120 tys. osób.

– Nie trzeba od razu zaczynać od treningów na siłowni czy biegów – w ten sposób do ruchu i aktywności fizycznej przekonywała mistrzyni świata i Europy w kick boxingu Agnieszka Rylik. Według niej najlepiej sprawdza się metoda małych kroków: – Na początek wystarczy odstawić samochód, wybrać się na spacer z psem albo robić proste ćwiczenia w domu – mówiła. – Skakanka, ping-pong, kometka – zachęcała do każdej formy aktywności.

Powinna temu towarzyszyć odpowiednia dieta, na co z kolei zwracał uwagę znany kucharz Pascal Brodnicki. Właściwe odżywianie się pozwala nie tylko na zachowanie zdrowia, ale i dobrego samopoczucia na co dzień. Brodnicki żartował, że kiedy ważył ponad 100 kg, „wyglądał jak bojler" i zaczął dbać o odpowiednie posiłki. – Powinniśmy znacznie ograniczyć spożywanie mięsa, które zakwasza organizm. Jemy go zdecydowanie za dużo, a powinniśmy nie więcej niż raz, dwa razy w tygodniu – namawiał. – W moim jadłospisie zamiast białka zwierzęcego jest białko roślinne, głównie z roślin strączkowych i kasz – wyjaśnił. Zachęcał także, by wybierać produkty spożywcze dobrej jakości.

– Mówimy o zdrowiu jako o braku choroby. Ale o zdrowie trzeba aktywnie dbać i to leży w naszych rękach. Wiadomo – są geny, ale to nasze codzienne decyzje w zakresie żywienia, aktywności fizycznej czy badań prewencyjnych mają prawdziwe przełożenie na zdrowie – podsumował debatę prezes PZU Paweł Surówka.

67/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2



Coraz bliżej energii z farm morskich

Morska energetyka wiatrowa nabiera rozpędu. Wiatraki na Bałtyku będą stawiać dwa wielkie polskie koncerny: PGE i PKN Orlen

Obie firmy podpisały podczas XXIX Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdrój list intencyjny o współpracy przy rozwoju morskiej energetyki wiatrowej – offshorze. Dwie wielkie spółki – energetyczna i paliwowa – wymienią się m.in. know-how, wspólnie ocenią dostępność polskich portów pod kątem obsługi budowy farm morskich, będą projektować i budować infrastrukturę przyłączeniową, skoordynują działania na rzecz maksymalizacji polskich komponentów w łańcuchu dostaw dla offshore'u.

Docelowo obie firmy zamierzają zrealizować swój projekt z międzynarodowym koncernem branżowym mającym doświadczenie w realizacji tego typu inwestycji.

Offshore ma duże znaczenie dla Orlenu. – Elektrownie wiatrowe znakomicie wpisują się w miks energetyczny PKN Orlen. Produkcja energii z elektrowni wiatrowych będzie bilansowana produkcją z elastycznych źródeł gazowych – powiedział Jarosław Dybowski, dyrektor wykonawczy ds. energetyki w Orlenie. Analizowana budowa morskich farm wiatrowych stanowi jeden ze strategicznych kierunków rozwoju Grupy Orlen na najbliższe lata.

IMPULS DLA GOSPODARKI

Podpisanie listu wysoko ocenił Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju. Według niego zawarcie porozumienia przez tak mocne koncerny daje

eprasa.pl a665b7dce2



Fot. Artur Ceyrowski/Fratria | 46/0819/F

podstawę do tego, by uznać projekt morskiej energetyki wiatrowej za jeden z kluczowych dla polskiej gospodarki – po programie drogowym i programie Czyste Powietrze. Jego wartość – uwzględniając wszystkie potencjalne inwestycje w offshore – szacuje się na 100 mld zł.

Monika Morawiecka, prezes PGE Baltica, która uczestniczyła w panelu, jaki odbył się po podpisaniu listu intencyjnego, mówiła, że ze względu na skalę offshore'u należałoby patrzeć na inwestycje w tej branży nie tyle jako na projekt energetyczny, ile przede wszystkim gospodarczy.

Inicjatywa Orlenu i PGE to jedno z wielkich przedsięwzięć planowanych w morskiej energetyce wiatrowej. – Podpisanie listu intencyjnego z PKN Orlen nie oznacza rezygnacji z założonego modelu realizacji programu offshore przez Grupę PGE. Kontynuujemy proces wyboru partnera i zgodnie z założeniami planujemy sfinalizowanie go do końca roku – zaznaczyła Monika Morawiecka.

Krzysztof Kubów, wiceminister energii, spodziewa się pierwszych efektów inwestycji w offshore już w 2025 r., a do 2040 r. powinniśmy produkować z morskich farm wiatrowych 10 GW energii.

Bartłomiej Pawlak, wiceprezes PFR, przyznał, że offshore'owi przyglądają się uważnie nie tylko krajowe instytucje finansowe, lecz i zagraniczne, a realizacja projektu może być kołem zamachowym dla polskiej gospodarki.

NOWA BRANŻA

Podpisanie listu intencyjnego i dyskusja o perspektywach offshore'u to niejedyne wydarzenia związane z tą branżą, do jakich doszło podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdrój. Rozmawiano o niej również podczas panelu „Morska energetyka wiatrowa w Polsce i na świecie". Jarosław Dybowski zwrócił uwagę, że offshore ma wiele pozytywnych elementów, m.in. długi czas wykorzystywania instalacji, ich niekontrowersyjność z punktu widzenia ekologii (są niewidoczne z linii brzegowej, a do tego stają się ośrodkiem morskiej flory i fauny). Przyznał, że budowa morskich farm wiatrowych jest dużym wyzwaniem z punktu widzenia logistyki, wymaga przystosowania portów do produkcji niezbędnych elementów i ich obsługi. Z drugiej jednak strony rozmowy na temat offshore'u ostatnio nabrały przyspieszenia, pojawił się dobry klimat dla tej branży. Tematem zainteresowały się banki, które bardzo poważnie rozpatrują tego typu projekty pod kątem wykonalności. – To dobry sygnał – mówił Jarosław Dybowski z PKN Orlen.

Z kolei Monika Morawska zwróciła uwagę, że odnawialne źródła energii (OZE) stają się opłacalne ekonomicznie, co jeszcze kilka lat temu było nie do pomyślenia. Według niej przed offshore'em stoi kilka wyzwań: regulacyjnych (firmy powinny mieć pewność, że obowiązujące w Polsce regulacje są stałe i przewidywalne), technologicznych oraz systemowych (sprowadzających się przede wszystkim do kwestii związanych z rozprowadzeniem energii elektrycznej z morskich farm wiatrowych po kraju).

Poseł Zbigniew Gryglas mówił, że rozwój offshore'u to de facto stworzenie w Polsce nowej branży w przemyśle. – Będzie to impuls do rozwoju kraju – stwierdził.

WIĘKSZE BEZPIECZEŃSTWO

Piotr Czopek, dyrektor Departamentu Energii Odnawialnej i Rozproszonej w Ministerstwie Energii, uważa, że takie wyzwania jak offshore stymulują naszą gospodarkę. Trudno jednak sobie wyobrazić inwestycje w ten sektor, jeżeli nie będzie widać przed nim wieloletniej perspektywy.

Na konieczność stabilności i przewidywalności rynku zwrócił uwagę Bartłomiej Latoszek, kierownik ds. rozwoju w Iberdrola Renovables Polska. – Z perspektywy inwestora jest to konieczne – mówił.

Według Stephena Bulla, senior vice-president w Equinor ASA, rynek morskich farm wiatrowych ma bardzo dobre perspektywy. Jego wartość szacuje się na setki miliardów dolarów. Rynek, który jeszcze niedawno miał charakter niszowy, staje się rynkiem globalnym. W offshore inwestuje Europa, Azja, Ameryka. Obecnie łączna moc zainstalowana w Europie to 15 GW, a jej potencjał to 50–70 GW. Do 2030 r. Equinor, który wywodzi się z firmy Statoil, szacuje potencjał polskiego Bałtyku na ponad 10 GW. Stephen Bull zwrócił uwagę na rosnącą rolę odnawialnych źródeł energii, które stopniowo wypierają paliwa kopalne.

Rewolucja dokonująca się w globalnej energetyce otworzyła przed OZE, w tym przed morskimi farmami wiatrowymi, nowe perspektywy. Polska potrzebuje energii z różnych źródeł. Dywersyfikacja daje nam większe poczucie bezpieczeństwa, a gospodarce zapewnia dodatkowe źródła energii, której potrzebujemy w coraz większych ilościach.

eprasa.pl a665b7dce2



Kadra, czyli jakoś to będzie

Fot. Shutterstock



CEZARY KOWALSKI

Minęło 14 miesięcy od kompromitacji drużyny Adama Nawałki podczas mundialu w Rosji. Drużynę prowadzi Jerzy Brzęczek. Reprezentacja jest na pierwszym miejscu w grupie eliminacji Euro 2020, przegrała tylko jeden mecz, straciła ledwie dwa gole. Wydaje się, że nie ma takiej możliwości, abyśmy na turniej nie pojechali. Opinia publiczna i coraz większa część dziennikarzy nawołuje jednak do... zwolnienia selekcjonera. Dlaczego?

I to jest sytuacja bez precedensu. Dawno nie mieliśmy przecież aż tak dobrego startu w eliminacjach (13 punktów w sześciu grach). Do końca pozostały cztery mecze. Jeśli wygramy dwa październikowe z Łotwą i Macedonią Północną, to w sprzyjających okolicznościach już wtedy zapewnimy sobie awans. Jeśli gdzieś się nawet znów potkniemy, to na turniej i tak powinniśmy się zakwalifikować siłą rozpędu.

Kibicom nie chodzi jednak tylko o awans, widzą, że drużyna nie robi żadnego postępu. I nie da się jej oglądać. Siedząc na Stadionie Narodowym podczas meczu z Austrią (szczęśliwe 0:0 po beznadziejnej grze), widziałem tę irytację, rozczarowanie, żal. Wydali po 140 zł za bilety i często przemierzyli pół Polski, po pracy w poniedziałek, aby zobaczyć Lewandowskiego i spółkę, a w zamian dostali bubel. Nie można oczekiwać, że zawsze będzie ekstrawidowisko i będą piękne gole, ale jednak prawdopodobieństwo, że da nam je właśnie ta drużyna, jest coraz mniejsze. Bo wciąż zespół Brzęczka gra tak samo źle. Wyjątkiem był mecz z Izraelem (4:0). Nie ma postępu w porównaniu ze schyłkową erą Adama Nawałki. Nie wiadomo, jak ma grać ta drużyna, czego chce selekcjoner, jaka jest jego wizja. Nawet Robert Lewandowski przestał strzelać gole (za kadencji Nawałki wbił 37 bramek w 40 grach, za Brzęczka 2 w 10).

A to nie tak miało być, przecież większość zawodników, którzy tworzą reprezentację, dobrze albo wręcz znakomicie gra w swoich często bardzo dobrych zachodnich klubach. Lewandowski nie zwalnia tempa i jest w kapitalnej formie w Bundeslidze (sześć goli w pierwszych trzech meczach), Krychowiak jest wybierany na piłkarza miesiąca w Rosji. A w kadrze się miotają. Wyglądają jak nagle powołana zbieranina, choć przecież doskonale się znają (w ostatnim meczu z Austrią grało dziewięciu zawodników, którzy byli w poprzedniej kadrze Nawałki).

Nasza grupa eliminacyjna uchodzi za najsłabszą i po udanym, w sensie zdobyczy punktowych, starcie można się było przymierzyć do tworzenia ekipy, która już niebawem będzie mieszaniną tych uznanych zawodników z nowymi, młodszymi, choćby wykreowanymi przez młodzieżówkę, która zagrała na mistrzostwach Europy we Włoszech i kilkoma innymi będącymi autorskimi pomysłami trenera.

Tego od Jerzego Brzęczka oczekiwaliśmy. Jakiejś wycieczki do przodu, a nie oczywistości personalnych i myślenia jedynie o tym, co tu i teraz. Jakoś te luki, które niebawem staną się nieuchronne po zawodnikach schodzących już ze sceny przede wszystkim z racji wieku, należałoby wypełnić i dobrze by było, aby to był proces, a nie szybkie cięcie. Eliminacje w tej formule i na tym etapie, na jakim się znaleźliśmy, są idealne, aby zrobić z nich swego rodzaju poligon. Pewnie, że nie iść na całość, bo nie można być samobójcą, jeszcze awansu nie uzyskaliśmy, ale jednak nie bać się zmian. Coś w tym czasie powinno się zacząć rodzić.

O to są właśnie największe pretensje do Brzęczka. Drużyna jest słaba taktycznie, szwankuje organizacja gry, decyzje personalne są niezrozumiałe, trener niechętnie wprowadza młodzież (21-letni Krystian Bielik zadebiutował ostatnio w pierwszym składzie), posądzany jest o nepotyzm, bo ciągnie za uszy swojego siostrzeńca weterana Kubę Błaszczykowskiego itd. Ten chaos mimo zdobywanych punktów, często bardzo szczęśliwie, jak w obu meczach z Austrią i Macedonią czy nawet Łotwą, jest widoczny gołym okiem.

Słowa kapitana Lewandowskiego po meczu z Austrią o tym, że drużyna potrzebuje schematów, bo gra na zasadzie, jakoś to będzie, to też ewidentny kamyczek do ogródka selekcjonera, a być może nawet przejaw tego, że traci on panowanie nad szatnią.

Sytuacja Brzęczka nie jest wesoła. I jeśli nic się w tej kwestii nie zmieni, to wcale nie jestem przekonany, że Zbigniew Boniek, nawet jeśli awansujemy, nie zmieni trenera przed turniejem.

Autor jest komentatorem Polsat Sport

eprasa.pl a665b7dce2

Prof. Piotr Radziszewski: Możemy stworzyć system krajowego „bezpieczeństwa lekowego”

Bardzo dobrym pomysłem byłoby stworzenie polskiego koncernu farmaceutycznego – przekonuje wybitny urolog prof. Piotr Radziszewski pytany o to, jak zapobiec brakom leków w hurtowniach i aptekach

Przypomnijmy – wiosną w polskich aptekach wystąpiły trudności z dostępem do leków. W większych miastach dzięki uruchomionej przez Narodowy Fundusz Zdrowia i Główny Inspektorat Farmaceutyczny specjalnej infolinii pacjenci jakoś sobie radzili, bo odnajdywali poszukiwane leki np. w innej dzielnicy. Gorzej mieli mieszkańcy wsi czy miejscowości, gdzie działa tylko jedna apteka.

Dzięki wielowątkowemu „śledztwu” wyjaśniono przyczyny kryzysu. Było ich kilka.

Jak tłumaczył w wakacje główny inspektor farmaceutyczny Paweł Piotrowski, jednym z powodów było wywożenie lekarstw z kraju – w celach spekulacyjnych – przez tzw. mafię lekową. Innym problemem było zbytnie oparcie się całego przemysłu farmaceutycznego w Europie na dostawach z Chin tzw. substancji czynnych (czyli tego, co działa w leku) wchodzących w skład każdego z preparatów.

Chińczycy w pewnym momencie nie byli w stanie sprostać potrzebom i europejska „polityka po taniości” dotknęła końcowych wytwórców i dystrybutorów na całym Starym Kontynencie. Była jeszcze jedna przyczyna, mianowicie konieczna zmiana polskiego prawa, mająca na celu ukrócenie procederu sprzedaży podrabianych leków – gdy wprowadzono przepis dotyczący zabezpieczeń na opakowaniach, przystosowanie do nowego znakowania oryginałów też przyczyniło się do zmniejszenia liczby dostępnych preparatów. Ale to była zmiana konieczna i niezbędna z uwagi na lawinowo narastające oszustwa (leki podrabiane często nie zawierają w ogóle leku, a jedynie tzw. wypełniacze).

Prof. Radziszewski, który kandyduje do Senatu z listy PiS, ma wielkie doświadczenie nie tylko medyczne, lecz także dotyczące działania systemu ochrony zdrowia w Polsce. W 2015 r. prezydent Andrzej Duda powołał go do Narodowej Rady Rozwoju, gdzie wraz z innymi specjalistami analizuje sytuację służby zdrowia, identyfikując pojawiające się problemy i zgłaszając rekomendacje, jak je wyeliminować.

W przypadku braku leków prof. Radziszewski też dość szybko postawił, jak się zdaje, bardzo dobrą diagnozę. Zwracając uwagę na zbytnie oparcie się na pozyskiwaniu produktów leczniczych z zagranicy, proponuje, by – podobnie jak w innych gałęziach gospodarki – stworzyć w tym przypadku krajowy system bezpieczeństwa lekowego. Jak miałby on działać? Odpowiedź jest prosta.



– Stworzenie koncernu państwowego daje większą gwarancję stałości dostarczania najpotrzebniejszych leków – przekonuje prof. Radziszewski. I tłumaczy, że w Polsce na szczęście większość preparatów stosowanych w leczeniu chorób przewlekłych nie jest już objęta zagranicznymi patentami. Można więc stosować tzw. leki generyczne, czyli zawierające taką samą substancję czynną i działające identycznie jak pierwowzory, w dodatku można je produkować w kraju, zapewniając pokrycie zapotrzebowania. Do tego właśnie potrzebny jest jednak silny i polski koncern.

Jeśli chodzi o mafie lekowe, uprawiany przez nie proceder wyraźnie wyhamował. Stało się tak m.in. dzięki zmianie prawa farmaceutycznego oraz niektórych innych ustaw, opracowanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości we współpracy z Ministerstwem Zdrowia i Głównym Inspektoratem Farmaceutycznym.

Po przyjęciu i wejściu w życie (pod koniec sierpnia br.) nowych regulacji inspektorzy GIF z policją czy funkcjonariuszami Straży Granicznej będą mogli nawet wyważyć drzwi do hurtowni, jeśli pojawi się uzasadnione podejrzenie, że w środku są leki przeznaczone na nielegalny wywóz za granicę, a zarządzający obiektem nie chce otworzyć.

Do tej pory takie akcje nie były możliwe. Inspektorzy GIF mogli wejść do hurtowni właściwie tylko wtedy, gdy właściciel obiektu ich... tam wpuścił.

eprasa.pl a665b7dce2

MARCIN PERCHUĆ AKTOR

Powakacyjny blef



Fot. Podlewski/AKPA

W ostatnim czasie znalazłem dla siebie nowy warszawski szlak – z ulicy Miodowej, gdzie urzęduję jako dziekan Wydziału Aktorskiego, w aleję Solidarności, do Teatru Kamienica. Tu, wspierany przez kolegę z Montowni Macieja Wierzbickiego, dojechałem właśnie jako reżyser do otwierającej sezon premiery sztuki „Blef" (12 września).

Wejście do Teatru Kamienica zaznacza przedwojenny tramwaj. Miejsce ma dawny klimat, jest gościnne i ciepłe, co daje ciekawy kontrast scenom rozgrywającym się we współczesnym korpo. „Blef" – zarazem drapieżny, zabawny, jak i przejmujący – okazuje się spektaklem nie tylko dla widzów pracujących w korporacji. Świat się zmienia, ale międzyludzkie mechanizmy pozostają niezniszczalne.

Przy okazji przygotowań do „Blefu" odkryłem możliwości hulajnogi. Zostawiałem samochód przy Akademii Teatralnej i na piechotę lub właśnie na hulajnodze przemieszczałem się do Kamienicy na próby, a potem z powrotem na zajęcia.

Samochód jest niezastąpiony na dłuższych trasach, ale na te bardziej odległe chętnie przesiadam się do samolotu. W ostatnich latach często wyruszałem w kierunku Toskanii. Wybierałem jej chillout, czyli luz, zamiast zwiedzania, które było wcześniej. Chociaż są przede mną powroty w miejsca, które teraz chciałbym pokazać dzieciom.

Ostatnio, również dla siebie, odkryłem z dzieciakami Słowenię. Kraj pełen różnic, bo i góry fantastyczne, i morze. Ale byliśmy też na równinach, na których trafiliśmy na wody termalne. To był dla dzieciaków raj: zjeżdżalnie, baseny... Fantastyczne miejsce. Jednak nie tylko Słowenia. Szerzej, Bałkany, zostały zwiedzone. I jeszcze w tym roku zahaczyliśmy o Paryż.

Wymyśliłem sobie taki cykl edukacyjny: „Wielkie miasta Europy". Myślę, że dzieci już na tyle wyrosły i dają radę na różnych wyprawach, że można im Europę pokazywać. W Paryżu, gdzie były po raz pierwszy, pojawiły się oczywiście obowiązkowe punkty, ale żeby zainteresować Luwrem, Musée d'Orsay czy Père-Lachaise, w grafiku trzeba też odbębnić cały dzień w Disneylandzie, powariować na kolejkach górskich.

Poza tym stawiam też na miejsca nieoczywiste – wybraliśmy się np. pod małą Statuę Wolności – bo to też pokazuje różne konteksty. Czy to historyczne, czy geograficzne. Daje szansę na zainteresowanie się nie tylko wiedzą podręcznikową, ale też na poszperanie w ciekawostkach.

I – oczywiście – komunikacja. Jestem fanem komunikacji wszelakiej. To krwiobieg miasta. Połączony często z lotniskiem. Mimo że latam często, za każdym razem jest to dla mnie atrakcja. Zaraziłem tą pasją syna. Staramy się tak obmyślać trasy, żeby nie były oczywiste. Np. do Paryża przez Amsterdam, z przesiadką. Albo zamiast LOT wybieramy Air France, bo tymi liniami syn jeszcze nie leciał.

Uwielbiamy również same lotniska. Możemy na nich spędzać bardzo dużo czasu. Nie lądując i nie startując stamtąd, byliśmy na lotnisku we Florencji. Malutkie, piękne w środku... Mamy z synem taki system, że jeśli na naszym szlaku znajdują się te obiekty, to najpierw odwiedzamy lotnisko, potem stadion (córa w tym czasie ze starszymi zalicza trudniejsze muzea), a później, już wszyscy razem, wędrujemy do serca miasta: na starówkę, do katedry...

Powoli przymierzamy się do zwiedzenia Barcelony. Oczywiście z lotniskiem i ze stadionem, ale też z Casa Museu Gaudi i wchodzeniem w klimat miasta – znakomitego do biesiadowania, poznawania ludzi, całego tego miksu kulturowego. Tak, następna najpewniej będzie Barcelona.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl a665b7dce2



SŁODKO-SŁONY

Brudna robota

ANNA MONICKA

Kiszonki to brudna robota, zwłaszcza jeśli ktoś nie uznaje rękawiczek plastikowych, bo wszystkiego musi dotknąć, powąchać, posmakować. Paznokci nie domyją konwencjonalne środki czystości, sok z cytryny, woda utleniona czy inna soda. Kuchnia jest pochlapana, zlew ocieka buraczaną krwią, na podłodze zostają ślady, bo gdy obieram piąty, szósty czy siódmy kilogram ze skóry, tracę czucie w palcach. Ale się nie poddaję, bo nie ma niczego smaczniejszego na jesień i zimę niż domowe kiszonki. Nie ma też niczego zdrowszego – kiszonki to bogactwo witamin i dobroczynnych bakterii, które budują odporność, wspomagają trawienie i wchłanianie substancji odżywczych z jedzenia.

Kiszonki to też gorący temat. Modny ostatnio – i dobrze. Niektóre mody – a ta wyciąga z lamusa tradycję – są doskonałe. Ja z dzieciństwa pamiętam nastawianie kwasu chlebowego na prawdziwym razowcu czy robienie zakwasu na barszcz. Buraczany napój stał potem latem w lodówce w zakorkowanych butlach po winie i był najlepszym napitkiem na lato.

Zgodnie z dawnymi domowymi zwyczajami postanowiłam w tym roku nastawić w słojach kalafiory i brokuły – dodatki do nich są takie same jak do ogórków: kwiaty kopru, dużo czosnku, liście porzeczki, dębu, wiśni i winorośli, korzeń chrzanu, listek, ziele, można dla podkręcenia smaku dorzucić kilka kółeczek chili, ale tu zalecam wyczucie, żeby zimowymi zapasami mogły się też cieszyć dzieci. Mam paprykę w słodkawej zalewie i śliwki w occie jabłkowym doprawione niezwykłym miodem – niby wielokwiatowym, ale za to z jakich roślin: nawłoci, facelii, rumianu, odrobiny lipy i różnych chwastów. – Taki był ten rok, że wszystko kwitło naraz i trudno dokładnie stwierdzić – powiedziała nam właścicielka pasieki w Reczu, gdy próbowałam dociec, czemu miód zawdzięcza niesamowicie intensywny smak i głęboki rudawozłoty kolor. Zrobiłam dynię na słodko kwaśno, kilka octów do sałatek: z jabłek, węgierek oraz obierek ogórka z kwiatami mięty, a teraz na warsztat wzięłam buraki.

Kupiłam moją ulubioną wężowatą odmianę, bo korzenie są najsłodsze i mają najlepszy kolor. Zrobiłam dwa warianty: same buraki i buraki z jabłkami. Pocięłam na talarki w sumie 10 kilogramów. Do jednego wyparzonego słoja dodałam cztery ząbki rozgniecionego czosnku, listek, ziele, cztery plasterki korzenia chrzanu, kilka ziarenek kolorowego pieprzu, a drugiego – jabłka i buraki, dużo kwiatów kopru, chrzan, czosnek, ziarenka gorczycy, pieprzu, ziela. Zalałam solanką (łyżka soli na litr przegotowanej ostudzonej wody). Jak zwykle kuchenną akcję zaczęłam bladym świtem w sobotę, a we wtorek piłam dobrze ukiszony napój. Rewelacyjny! A barszcz ugotowany na takim zakwasie nie ma sobie równych.



WILCZYM OKIEM

Tam, gdzie rośnie kapusta

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Co może być ciekawsze od miejsca położonego na uboczu dróg – na uboczu bocznych dróg? Miejsce na uboczu po sezonie.

Żeby dotrzeć do kapuścianego zagłębia, trzeba zjechać z drogi S7 łączącej południe Polski z Warszawą. Następnie trzeba z dróg lokalnych zjechać na boczne i jechać jeszcze dalej w głąb, aż dotrzemy do krainy, w której lekko pofalowane wzgórza, poprzecinane gdzieniegdzie wąskimi, lessowymi wąwozami o stromych ścianach, błękitnieją i zielenią się – niczym lawendowe pola Prowansji – niezliczonymi główkami. To Charsznica, miejsce, gdzie uprawia się kapustę.

Hiszpańskie Padron ma swoje zielone papryczki, cenione lokalnie jako przystawka i przekąska. Sprowadzono je do uprawy w XVI w. z Meksyku. W hiszpańskim, nieco mglistym klimacie Galicii zyskały nowy smak. Każdego roku obchodzona jest fiesta de Padron, będąca świętem zielonych papryczek.

Każdego roku też w podmiechowskiej Charsznicy obchodzone są Dni Kapusty. Ostatnie odbyły się nie dalej, jak jakiś tydzień temu. Daleko od Hiszpanii, od kuchni śródziemnomorskiej, oliwek i papryczek. Tutaj sadzi się, zbiera i je kapustę. Prawdziwą kapustę charsznicką.

Kiedy ostatnio byłem w Charsznicy, nie było to w porze zbiorów i wyborów królowej oraz króla tego warzywa, lecz po sezonie. Głęboko w samym środku posezonowości, w listopadzie czy grudniu.

W centrum Charsznicy wznosi się stara paszarnia. Od lat stoi pusta. Wielkością i architekturą nie ustępuje niejednej katedrze. Kolejne, coraz wyżej położone rzędy okien przepuszczały do środka światło padające na stare, zbutwiałe pasy transmisyjne i coraz bardziej zapadające się piętra drewnianych ramp. Wpuszczały też trochę żółtego dymu, rozsnuwającego się po okolicy z komina sąsiedniego gospodarstwa. Od paszarni można było przejść przez stare tory, zarośnięte kępami samosiejek klonowych, na peron starego dworca.

A dookoła, zaraz za zabudowaniami, pola dające dobrą, charsznicką kapustę, jak z obrazów Chełmońskiego albo Wyczółkowskiego, gdzieniegdzie z zagonami, które nie doczekały się zbioru i z zamyślonym zającem pośrodku.

Fot. Shutterstock (2)

eprasa.pl a665b7dce2

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Program opozycji



www.wojciechreszczynski.pl

W przypadku wygranej Koalicji Obywatelskiej likwidacji ulegną też wszystkie programy społeczne, które wprowadziło PiS

„Dwa razy obiecać, to jak raz dotrzymać" – mówił Radosław Sikorski w restauracji Sowa i Przyjaciele swojemu współbiesiadnikowi Jackowi Rostowskiemu, a ten uzupełnił: „Obietnice polityczne wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą". Cyniczny dialog dwóch byłych ministrów rządu Donalda Tuska to najlepsza ilustracja skompromitowanej polityki liberałów w Polsce, klęski ich formacji politycznej, która najprawdopodobniej nastąpi 13 października w dniu wyborów parlamentarnych. Najprawdopodobniej, gdyż nigdy nie wiadomo, do czego jest zdolna polska razwiedka szkolona przez sowieckie i enerdowskie służby. A lata 80. i 90. to szczytowy okres działalności obcych służb starających się ulokować swoich agentów najlepiej wśród opozycji antykomunistycznej. By nie rozwijać tego tematu, dodam tylko, że niemiecka Operacyjna Grupa Warszawa Stasi, działająca w latach 1980–1990, ściśle współpracowała z II Departamentem MSW. Swoje centrum miała w ambasadzie NRD w Warszawie, a ekspozytury w Gdańsku, na terenie Konsulatu Generalnego w al. Zwycięstwa, a także w Katowicach, Szczecinie i we Wrocławiu, a więc w miastach z najsilniejszą strukturą późniejszej PO. A agenci, no cóż, nie rozpływają się w powietrzu.

Nie dziwi więc niechętny, a nawet wrogi stosunek czołowych działaczy Koalicji Obywatelskiej do sprawy reparacji wojennych. Kandydatka na premiera Małgorzata Kidawa-Błońska już się od tej idei odcięła. To nic, że zbliżają się wybory i że polskie społeczeństwo ma inne zdanie. Jak widać, Platforma Obywatelska w niektórych sprawach musi działać wbrew polskim oczekiwaniom i wyborczym słupkom.

Tymczasem PiS przez cztery lata rządów starało się udowodnić, że obietnice wyborcze to nie puste frazesy, że należy ich dotrzymywać i że wiążą obie strony. Przekonanie to stało się na tyle powszechne, że notowania tej partii dają jej zwycięstwo. Pomaga w tym strategia wyborcza Koalicji Obywatelskiej, a w zasadzie jej brak. Dzięki temu elektorat PO utrzymuje się na tym samym stałym, wciąż moim zdaniem wysokim poziomie 25–30 proc. Nie da się wygrać z PiS, ale można zatrzymać przy sobie swój ludek, który przypalany rozgrzanym żelazem, nie zmieni preferencji wyborczych i nie zapała nagłą miłością do PiS. Dlatego brak realnego programu wyborczego zastępuje wciąż ta sama totalna negacja pomysłów i dokonań PiS.

Stworzony na potrzeby piarowskie tzw. sześciopak Schetyny nie został zapamiętany nawet przez jego autora. Dociskany o szczegóły potwierdził, że prawdziwy program powstanie po zwycięskich wyborach. Pozostają zatem znane elementy programu z repertuaru totalnej opozycji. A więc m.in. likwidacja CBA, IPN, spółek TVP i Polskiego Radia i obowiązkowego abonamentu rtv, a także likwidacja urzędów wojewódzkich wraz z wojewodami jako organami władzy państwowej w terenie i zastąpienie ich urzędami marszałkowskimi. Ostatnio doszła też zapowiedź likwidacji Wojsk Obrony Terytorialnej, które zdaniem opozycji nie spełniają swojej funkcji w terenie. Czyli pełny powrót do polityki rozbrojenia Polski za rządów Bogdana Klicha, ministra obrony narodowej w latach 2007–2011, który zniósł obowiązek służby wojskowej, zredukował armię, odpuścił wschodnią flankę NATO w Polsce, koncentrując się na obronie niemieckiej granicy.

W przypadku wygranej KO likwidacji ulegną też wszystkie programy społeczne, które wprowadziło PiS, w tym program 500+ (jako „opresyjny i niesprawiedliwy dla klasy średniej") oraz 13. emerytura. Program PO to powrót do rządów z lat 2007–2015 charakteryzujących się złodziejską prywatyzacją majątku narodowego, mafijną wyprzedażą mienia komunalnego, powrotem do podwyższonego wieku emerytalnego, przekrętów vatowskich, bezradności „niezależnej" prokuratury wobec licznych afer gospodarczych i lewicowo-liberalnego monopolu medialnego. To z pewnością ponowna likwidacja posterunków policyjnych, straży miejskiej, nowych połączeń i przystanków autobusowych, przywrócenie gimnazjów, całkowita likwidacja polskiego górnictwa, gospodarki morskiej, ZUS i KRUS. Oczywista więc wydaje się rezygnacja z pisowskich inwestycji: przekopu Mierzei Wiślanej, Centralnego Portu Komunikacyjnego, Via Carpatii, zakupu sprzętu wojskowego z USA itd. Będzie za to in vitro, programy LGBT w szkołach i liberalizacja aborcji. Cały ten lewacki postkomunistyczny program.

Ale jest też nowa obietnica darmowego 1 GB transferu danych dziennie dla 5 mln młodych w wieku 11–24 lat. Nie szkodzi, że jest to niewykonalne, wszak „obietnice polityczne wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą".

eprasa.pl a665b7dce2

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Wojna trwa



Witold Gadowski

We wrześnie od lat mnie niepokoją. Pamiętam takie rocznice wybuchu II wojny światowej, gdy podkreślano wkład „bohaterskiej Armii Czerwonej" oraz bojowników GL i AL. Za pazuchą schowałem zresztą epizod mojej prywatnej zemsty za te brednie. Na początku lat 90. szlifierką urżnąłem tablicę ku czci GL z ul. Brackiej w Krakowie, potem wraz z dwoma kolegami wywaliłem ten złom w Radzie Miasta Krakowa. W końcu nastąpił okres tworzenia historii, która była hybrydą pomiędzy komuną a czymś nieokreślonym, i wreszcie czas dobrego opowiadania o naszej przeszłości. Mam jednak wrażenie, że coraz częściej język szacunku i prawdziwej emocji staje się nowomową, kostnieje, rytualizuje się.

Nie o tym jednak chcę mówić. Wiele wydarzeń z ostatnich miesięcy utwierdziło mnie w konstatacji: II wojna światowa dla Polski się nie skończyła! To, jaki będzie jej ostateczny skutek, decyduje się właśnie teraz. Ktoś fuknie – jak to? A Jałta, a Poczdam? A upadek komunizmu? Być może wszystkie te podręcznikowe daty stanowią cezurę nawet dla Niemiec, jednak Polska ciągle tkwi w wojennym rozwibrowaniu. Z jednej strony nieuregulowana kwestia wojennych odszkodowań od Niemiec, z drugiej niezamknięta kwestia rozliczeń z drugim okupantem – Związkiem Sowieckim i jego sukcesorami. Wreszcie narastająca kwestia tzw. roszczeń dotyczących mienia bezdziedzicznego podnoszonych przez kręgi światowej diaspory żydowskiej. To wszystko sprawia, że nie mamy definitywnie zamkniętych rachunków, nie mamy nawet wizji naszej niedawnej historii, która nie podlegałaby rewizji. Jeżeli stanie się tak, że od Niemiec nie uzyskamy odszkodowań oddających choćby tylko w materialnym przybliżeniu skalę zbrodni, które popełnili w naszym kraju, a jednocześnie zostaniemy zmuszeni do oddawania mienia, do którego prawnie nikt już nie ma tytułu, to wyjdziemy z tej wojny jeszcze mocniej pogruchotani, niż nam się pierwotnie zdawało – nam, trzeciej generacji żyjącej już po ustaniu działań wojennych.

Jeżeli nie ma o czym mówić i nikt z nas skóry nie obedrze, to czemuż żaden z rządzących obecnie mądrali nie powie tego otwartym tekstem? A jeżeli coś jest na rzeczy i cała ta ustawa 447 ma znaczenie, to chyba też lepiej o tym Polakom powiedzieć. II wojna się nie skończyła i albo teraz powalczymy, aby nieco odwinąć jej żrące sidła, albo następne pokolenia przeklną nas i odeślą pomiędzy najgorsze generacje, gnuśne i tchórzliwe.

Rycerze potrzebni od zaraz



Lech Makowiecki

Rycerz. Zawisza Czarny, Michał Wołodyjowski, Witold Pilecki... Dla chłopaków wzór do naśladowania. Obiekt westchnień wielu dziewcząt. Waleczny, honorowy, szarmancki wobec dam, stający w obronie słabszych. I tak kochający swą wiarę, ojczyznę, rodzinę – że gotów bić się i polec w ich obronie. Często wykształcony i utalentowany. Prawdziwy ideał mężczyzny...

W średniowieczu dbano o wszechstronną edukację rycerzy. Jeśli zwycięzca turnieju potrafił dodatkowo, przy akompaniamencie lutni, zaprezentować swe pieśni – jego sława rosła w dwójnasób! Tadeusz Kościuszko (ekspert od fortyfikacji) znał dobrze kilka języków obcych, studiował filozofię, rysunek, malarstwo, grał na fortepianie, komponował walce i polonezy. Generał Wieniawa-Długoszowski wszedł do historii nie tylko dzięki swej ułańskiej fantazji, ale i licznym tłumaczeniom poezji (m.in. Baudelaire'a) oraz własnym wierszom i piosenkom. Rtm. Pilecki pisał cudnie i wierszem, i prozą. Uczęszczał też na Wydział Sztuk Pięknych. Iluż to artystów/twórców/naukowców zginęło w Katyniu! Jak wielu wyszło z sowieckiego piekła z armią gen. Andersa.

Potem świat już tylko karlał: powiększała się intelektualna i moralna przepaść pomiędzy powstańcami warszawskimi (Baczyński, Gajcy i in.) a „elitą" Ludowego Wojska Polskiego (słynne „Nie matura, lecz chęć szczera..."). W interesie wroga kolaborancka władza ludowa rugowała tradycje wolnościowe i demoralizowała Polaków. Niegdyś siła (plus wyszkolenie), fachowa wiedza wojskowa (taktyka, nowe rodzaje broni) oraz morale (patriotyzm, wiara, odwaga) dawały naszej husarii przewagę nawet nad wielokrotnie liczniejszym przeciwnikiem. Gdy zbrakło cnót rycerskich, straciliśmy niepodległość. Kiedy na paradzie równości widzę tęczowe skrzydła husarskie, wielobarwną aureolę Matki Boskiej czy płciowy miszmasz LGBT – czuję, że armagedon jest bliski. Trzeba nam współczesnych rycerzy!

eprasa.pl a665b7dce2

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Uniwersytet dostojny



Aleksander Nalaskowski

Franz Brentano był niemieckim filozofem, socjologiem i psychologiem. Teraz łączenie takich zainteresowań mogłoby się odbywać tylko na poziomie sporej ogólności. Obecnie trzeba bowiem być specjalistą. Jego wychowankowie to m.in. Edmund Husserl i Kazimierz Twardowski. Ten ostatni osiadł we Lwowie i tam na Uniwersytecie Jana Kazimierza budował swoją szkołę filozoficzną. Z czasem zaczęto ją identyfikować jako Szkołę Lwowsko-Warszawską, szkołę filozoficznego myślenia. Jej głównymi przedstawicielami (ale w sumie nie było ich aż tak wielu) byli m.in. Władysław Tatarkiewicz, Tadeusz Kotarbiński, Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Czeżowski, Izydora Dąmbska, Alfred Tarski, Stanisław Ossowski, Władysław Witwicki czy Kazimierz Sośnicki. Prawda, że to nazwiska z samego szczytu polskiej humanistyki?

Po wojnie, gdy Sowieci zajęli zarówno Wilno, jak i Lwów, profesorowie się ewakuowali. Ci z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie przyjechali do Torunia i tworzyli mój Uniwersytet Mikołaja Kopernika, a lwowiacy wybrali Wrocław i tam tworzyli uczelnię. Aczkolwiek były wyjątki i Kazimierz Sośnicki znalazł się w Toruniu. Ten wybitny, aby nie rzec genialny, uczony stworzył tu swoją katedrę, która kształciła studentów na kierunku „filozofia w zakresie nauk pedagogicznych". A była to taka humanistyka, w której bez bardzo dobrej znajomości matematyki nie było czego szukać. Ówże Sośnicki miał tu grono uczniów. Byli wśród nich Kazimierz Moroz, Maria Lipowska, młody lewicujący Zbigniew Kwieciński czy Stanisław Nalaskowski, mój ojciec. Oprócz Sośnickiego ich mistrzami byli Witwicki, Ingarden czy Elzenberg. Zapewne nie raz mijali w uniwersyteckich zaułkach kolegę z prawa – Zbigniewa Herberta (mój tato mówił o nim „Zbyszek"). To Lipowska, Moroz, Kwieciński czy Nalaskowski senior mnie kształcili. Pamiętam, że egzamin z dydaktyki zdawałem nie u ojca, ale u doc. Lipowskiej, maglowała mnie ponad dwie godziny. Wszyscy inni zdawali u taty, który był znacznie łagodniejszy... Ale nie tylko oni byli moimi nauczycielami, rzecz jasna. Miałem zajęcia z (ówczesną) docent Elżbietą Zawacką, o której ledwie wiedzieliśmy, że była kiedyś „Zo", że była cichociemną bohaterką. W Collegium Maius, gdzie mieściła się pedagogika, mijałem się z Tadeuszem Czeżowskim. Logiki uczył mnie znakomity Leon Gumański, jego uczeń.

To tutaj zrobiłem doktorat, to na wniosek UMK otrzymałem ponad 20 lat temu tytuł profesora. Miałem wtedy 41 lat. W październiku miną 43 lata od chwili, gdy związałem się z UMK. Jedną z pierwszych lektur, jaką nam na studiach zadano, a zrobił to doc. Bolesław Pleśniarski, historyk wychowania, był wydany przed wojną wykład Kazimierza Twardowskiego „O dostojeństwie uniwersytetu". Bo mój uniwersytet był dostojny, moi nauczyciele, a zwłaszcza nauczyciele tych nauczycieli nie ugięli się przed represjami ze strony UB i SB, nie trąbili w politpoprawny bolszewicki róg, bo mowa ich zawsze była „tak–tak, nie–nie" (Mt 5, 17-37). Prof. Pleśniarski był ateistą, ale cierpliwie znosił moje bogobojne, młodzieńcze tyrady wyznaniowe na seminarium.

Mój uniwersytet był dostojny, moi nauczyciele nie ugięli się przed represjami, bo mowa ich zawsze była „tak–tak, nie–nie"

Sośnickiego, Zawacką czy Czeżowskiego odsuwano od zajęć. W 1985 r. sąd poznański skazał Kwiecińskiego na dwa lata więzienia w zawieszeniu za obrazę urzędnika państwowego, a ową obrazą była krytyka ówczesnego ministra nauki Benona Miśkiewicza, komunistycznego aparatczyka, który zawiesił w zajęciach wybitnego profesora filozofii Leszka Nowaka z UAM. Kwieciński stwierdził, że minister (wywodzący się z poznańskiej uczelni) postradał rozum, obrażając uczelnię, w której rozum zdobywał. Ówczesny rektor prof. Jacek Fisiak zawiesił Kwiecińskiego, a potem zwolnił go z pracy. Od tamtego momentu profesor ów tułał się po różnych uczelniach, nie mogąc pracować także w rodzimym, ukochanym Toruniu. Wrócił tutaj dopiero u schyłku aktywności zawodowej.

Moi studenci, a zwłaszcza seminarzyści muszą znać historię Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, muszą znać książki Sośnickiego, czytać Wańkowicza i umieć bronić swoich poglądów. Pracujemy „symetrycznie". Ja mam prawo ich krytykować, a oni mnie. Niekiedy daję im do czytania jakiś swój tekst, a wnioski mają ograniczyć do uwag krytycznych. Wśród moich seminarzystów są i tacy w spodniach rurkach, są wytatuowane dziewczyny z kolczykami wszędzie, studentki w wytwornych garsonkach, ale nie usłyszałem nigdy, żebym z tego powodu ich „prześladował". Wzorem moich nauczycieli wykłady mam wyłącznie merytoryczne, egzaminuję surowo, ale w anonimowych ankietach jestem oceniany przez studentów na 4,51 w skali 1–5. Zawsze jestem przygotowany, zwykle mam lekką tremę, a wykład kończę z przemoczoną na plecach koszulą. Wielu kolegów też tak ma, tak nas nauczono. I nie jestem tu żadnym wyjątkiem, bo tego wymaga dostojeństwo uniwersytetu, tego oczekują z zaświatów nasi ojcowie założyciele.

eprasa.pl a665b7dce2

PRZEZ ŚWIETLIK

Pogrom jak pałka



Wiktor Świetlik

Sto lat temu we Lwowie, zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, doszło do ponurego wydarzenia. Splądrowano dzielnicę żydowską, zabito kilkadziesiąt osób (być może ponad setkę), kilkaset pobito. Wydarzeniu temu książkę poświęcił Grzegorz Gauden, były szef Instytutu Książki i były naczelny „Rzeczpospolitej". Gdybym miał podać kliniczny przykład antypolonizmu, przeprowadzić pełną jego sekcję, to książka Gaudena jest modelowa.

Żeby było jasne – uważam, że o takich sprawach też powinniśmy rozmawiać. O szmalcownikach, oddziałach, które się degenerowały, tych Polakach, którzy nikomu nie mogli powiedzieć tego, co Inka kazała przekazać babci. Polakami byli Sobieski, Traugutt i Jan Paweł II, ale byli też Szela, Dzierżyński i Kiszczak. Każdy naród ma bohaterów i szuje. Tyle że, jak się wczytać w Gaudena, to my jesteśmy wyłącznie szujami. Co się stało we Lwowie przed wiekiem? Najpierw powstała wroga Polakom Zachodnioukraińska Republika Ludowa. Nasiliła się wojna. Polskie dzieci ginęły, zyskując miano orląt. Równocześnie powstała milicja żydowska. Relacje między nią a Polakami były bardziej niż złe. Jak złe, jest kwestią dyskusji. Gdy Polacy zajęli część miasta, w której była dzielnica żydowska, doszło do dwudniowego pogromu ukróconego przez polskie wojsko. Zdecydowanie zbyt późno.

Co przeczytamy u Gaudena? Że ta wroga postawa Żydów wobec Polaków jest zmyślona. Że to przez polski mesjanizm, patriotyzm, a przede wszystkim katolicyzm.

Całość dopełnia podsumowanie literaturoznawcy Andrzeja Romanowskiego, znanego z tego, że chciał kiedyś z Witolda Pileckiego robić kapusia komunistycznej bezpieki. „Jan Tomasz Gross napisał kiedyś, że w czasie okupacji niemieckiej Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców. Teza ta wywołała dość powszechne oburzenie, gdyby jednak przyjrzeć się lwowskiemu pogromowi, nabiera ona – per analogiam – cech prawdopodobieństwa" – pisze Romanowski. I o to zapewne w gruncie rzeczy chodzi. Międzynarodowa kariera książki murowana.

Grzegorz Gauden urządził sobie swój mały, intelektualny pogrom, polskości i katolicyzmu. Wykorzystał do niego rzeczywistą polską winę – tragedię we Lwowie. Pozwoliliśmy mu na to, bo żaden z poważnych historyków się tym wcześniej nie zajął.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

30 lat RMF FM



Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 04-06 2019, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie.

ROBERT MAZUREK – zapraszam o 8:02

PORANNA ROZMOWA NR 1

49/0819/F

eprasa.pl a665b7dce2

Polityka w salonie fryzjerskim



Jerzy Jachowicz

Z satysfakcją potwierdzam, że to, co zaczęło krążyć w ostatnich dniach w postaci plotki, okazało się faktem. Młodzi kelnerzy nawiązują wprost do słynnej afery podsłuchowej w restauracji Sowa i Przyjaciele? Wprawdzie żyjemy w innych czasach niż latem 2014 r., ale zapotrzebowanie na nielegalne nagrania jest ciągle spore. Anonimowi nadawcy nagrania, którego stenogram publikujemy, prosili, by nie podawać nazwy restauracji, w której zostało ono dokonane. Podali nam imiona trójki uczestników krótkiej biesiady, twierdząc, że wystarczą one do ich identyfikacji, gdyż wszyscy są znanymi politykami PO. Oto to nagranie.

– Grzesiek, ale uprzedziłeś Małgosię, że to pic na wodę? Chwilowa sprawa dla zmylenia „szarańczy" i... publiki.

– Trochę zapomniałem, trochę się bałem, że nie przyjmie. No i nie chciałem jej zaraz na początku martwić. Wiesz, jakie kobiety są wrażliwe. Taka np. Zdanowska. Sławek, a może, żeby Małgosi jakoś osłodzić życie, za jakiś czas wymienimy ją za Dulkiewicz na prezydenta?

– To niegłupie. Tylko trzeba przekonać Donalda. Nie mogłeś z Kidawą poczekać, aż uporam się z miejscową prokuraturą? Jestem subordynowanym obywatelem do czasu zdobycia nowego immunitetu. Musiałeś bez rozmowy ze mną wypełniać sugestie jakiejś firmy?

– Pretensje niczego nie wyprostują. Wynagrodzić ją na pewno trzeba. Kłopot w tym, że mam na jutro wezwanie do tej pisowskiej prokuratury. Wieczorem muszę ruszyć do Inowrocławia. Będę mógł z nią pogadać, jak wrócę. Mnie będzie najłatwiej zacząć ją uczulać na kwestię, czym jest gra wyborcza. Powinna to załapać. Choć pewności nie ma. Grzesiek, jak trzeba, mogę jej żale wziąć na siebie. Przekonać, że to ja, jako szef sztabu wyborczego, wymyśliłem ten manewr i wymusiłem na tobie. (Słychać dźwięk komórki). – Tak, tu Krzysztof. Małgosiu, dam ci Sławka, on ci wszystko załatwi, bo jutro mam w Inowrocławiu sprawę tego fałszywego hejtu. Tak, pa.

– Witaj. Miło cię słyszeć. Spokojnie, przygotuję ci taką fetę w Wołominie, jakiej nie widziałaś. Tak, odpowiedzi też. Skup się na fryzjerze.

CO MNIE ZASTANAWIA

Popaść w upadłość



Katarzyna Łaniewska

Te epokowe słowa: „Instytucja popadła w upadłość", padły z ust urzędniczki warszawskiego ratusza, kiedy razem z prezydentem miasta stołecznego Warszawy Rafałem Trzaskowskim stanęli przed dziennikarzami.

Po 29 godzinach od zaistnienia faktu prezydent Warszawy oświadczył dziennikarzom, że nastąpiła pewna usterka w możliwości dostarczenia ścieków z lewobrzeżnej Warszawy na brzeg praski, do oczyszczalni. Po jakimś czasie słowo „usterka" Rafał Trzaskowski zastąpił „awarią" pierwszej nitki, którą miała ratować druga nitka, ale i ona uległa awarii. I nieczystości zaczęły spływać w nurty naszej rzeki Wisły.

Kiedy zarządzający stolicą zostali zmuszeni do wyjawienia tego faktu, jeden z dziennikarzy zadał pytanie, czy osoby odpowiedzialne za niedawną modernizację oczyszczalni za miliardy złotych zostaną pociągnięte do odpowiedzialności. Pani, jak sądzę, rzecznik prasowy ratusza odpowiedziała, że ta spółka popadła w upadłość i w związku z tym nikt nie będzie odpowiadał za nic. Zdziwiło mnie to powiedzenie – popadają w upadłość i odpowiedzialności nie ma.

Zafascynowała mnie ta odpowiedź. I chciałabym, by z paroma rzeczami tak się właśnie stało. Np. chciałabym, by taka partia Wiosna popadła w upadłość i zgodnie z kalendarzem, w październiku, przestała istnieć. Nie będzie za nic odpowiadać, nie będziemy ich dopytywać, dlaczego biorą pieniądze stąd, skąd nie powinni.

Chciałabym również, by mogło popaść w upadłość donoszenie przez Polaków na swoją ojczyznę. Na ludzi, którzy rządzą, którzy postawili to państwo na nogi. Jest pewna grupa ludzi polityki, kultury, posłów, europosłów, którzy się prześcigają, by jakiś donos, jakąś podłość, podać, sprzedać i zamącić. A nie cieszą się z tego, że zaczyna się w naszej ojczyźnie żyć trochę mądrzej, trochę lepiej i trochę bezpieczniej.

Chciałabym, by młodzież, która wychodzi z Uniwersytetu Warszawskiego, na pytanie, co dla niej znaczy 1 sierpnia czy 1 lub 17 września (te bolesne współczesne daty), znała odpowiedź. Niechże ta niewiedza i głupota w nauczaniu oraz zaniechanie, byle było tak jak było, popadną w upadłość.

I by już nie było takich „awarii awarii" i by ludzie mogli odpowiadać za to, co wykonali i czego nie dopilnowali. Odpowiadali za własne słowa kiedyś wypowiedziane i również za swoje uczynki.

eprasa.pl a665b7dce2

Nawet problemy demograficzne mają dobre skutki

Największym wyzwaniem dla Polski jest obecnie demografia, ale zmiany demograficzne skutkują też pozytywnymi zjawiskami na rynku pracy – powiedział Marcin Mrowiec, główny ekonomista Banku Pekao, podczas prezentacji raportu „Polska gospodarka i wyzwania na najbliższe dekady" w trakcie XXIX Forum Ekonomicznego w Krynicy

Ostatnie 30 lat to wielki sukces polskiej gospodarki. W tym okresie notowaliśmy bardzo szybki wzrost gospodarczy – średnio o ponad 4 proc. rocznie – który niemal potroił PKB na mieszkańca, znacząco poprawiając jakość życia Polaków. Co ciekawe, ten znakomity rezultat udało się uzyskać mimo nie najwyższych nakładów inwestycyjnych.

– Widać, że mamy słabość inwestycyjną. Polska pod względem inwestycji per capita lokuje się na jednym z ostatnich miejsc, bo tylko Grecja ma gorszy wynik. Stopa inwestycji (ich udział w PKB) wynosi nieco ponad 18 proc., podczas gdy przy takim tempie wzrostu powinno być przeszło 20 proc. PKB – mówił Marcin Mrowiec, główny ekonomista Banku Pekao. – Te niskie inwestycje to efekt niewysokich nakładów ze strony przedsiębiorstw. Nakłady inwestycyjne firm w Polsce to ok. 9,3 proc. PKB, podczas gdy średnia dla regionu to 13 proc. Jeśli przyjrzeć się dokładnie danym, to widać, że rodzime firmy inwestują w maszyny i urządzenia najmniej w regionie – dodał.

Sprawa pobudzenia inwestycji będzie jednym z największych wyzwań, jakie stoją przed Polską. Zwłaszcza że – jak wyliczyli ekonomiści Banku Pekao – choć w I i II kwartale tego roku nakłady inwestycyjne szybko rosły, to jednak dane NBP pokazują, że firmy straciły chęć do inwestowania. Być może jednak do pobudzenia inwestycji skłoni polskie firmy... brak pracowników.

– Powodem, dla którego mieliśmy w Polsce niskie inwestycje w porównaniu z innymi krajami regionu, był nadmiar siły roboczej. Inwestycje nie były zbyt intensywne kapitałowo, bo były nastawione na wykorzystanie siły roboczej, nasz wzrost w zbyt małym stopniu opierał się na maszynach i automatach – tłumaczył główny ekonomista Banku Pekao.



Fot. Materiały prasowe | 52/0819/F

Teraz to się zmieniło i firmy mają narastające problemy ze znalezieniem nowych pracowników. I choć jest to poważne wyzwanie dla gospodarki, to na razie zmiany demograficzne dają pozytywne efekty.

– Obecnie notowane wzrosty płac są właśnie wynikiem demografii – powiedział Mrowiec.

Poprawa sytuacji na rynku pracy może być zjawiskiem trwałym, gdyż systematyczny spadek zasobów pracowniczych w gospodarce będzie oznaczał regularną presję na wzrost płac. Firmy muszą coraz efektywniej wykorzystywać czas pracy swoich pracowników – to z kolei oznacza konieczność inwestycji w „techniczne uzbrojenie pracy": maszyny, urządzenia, a także coraz bardziej automaty i roboty. Dla dalszego wzrostu gospodarki potrzebny jest znacznie wyższy poziom inwestycji przedsiębiorstw.

Gwarancją utrzymania dobrej passy może być konsekwentne i systematyczne budowanie coraz bardziej sprzyjającego inwestycjom ekosystemu gospodarczego, na który będą się składać regulacje prawne i podatkowe. Potrzebujemy również systemowego wsparcia inwestycji w automatyzację, robotyzację i informatyzację produkcji, a także w przypadku firm sektora MSP preferencyjnych nisko oprocentowanych kredytów na cele związane ze wzrostem produktywności oraz poprawy efektywności energetycznej – powiedział Marcin Mrowiec.

eprasa.pl a665b7dce2

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Zawiodły czujniki uczciwości

Lansowana przez PO na premierkę Małgorzata Kidawa-Błońska dała czadu w Radomiu



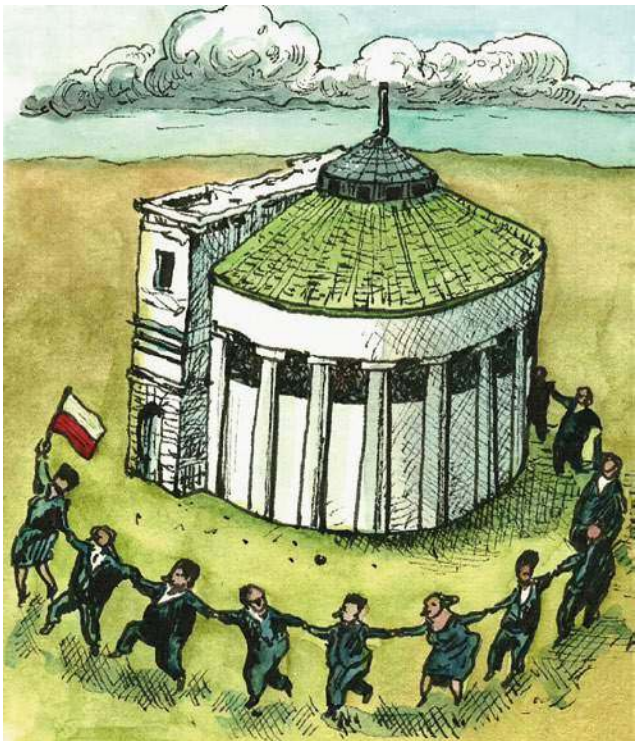
Ryszard Makowski

Partie polityczne, podobnie jak ludzie, mają w genach coś, z czym nie sposób się rozstać. Do Platformy przylgnęły skłonności do matactwa. Skrót PO jest odczytywany jako Platforma Oszustów. Czując zbliżającą się sromotną klęskę, sztab tej partii, dowodzony notabene przez posła z Inowrocławia, któremu zarzuca się zorganizowanie farmy trolli na poziomie urzędu miasta, zatrudnił izraelską firmę PR, żeby ratowała w opresji. Firma doradziła to, co doradziłoby każde dziecko, że trzeba się pozbyć Grzegorza Schetyny, bo jest obciachowy. Znanego z powiedzenia „zniszczę cię" lidera PO zniszczono i zesłano do Wrocławia. Warszawę powierzono Małgorzacie Kidawie-Błońskiej.

Okrzyknięto ją też premierem czy raczej w nowomowie premierką. I teraz ta biedna kobieta wyciągnięta z domowych pieleszy musi odgrywać wytrawną graczkę polityczną (czy jakoś tak). Rzucono ją na Radom, by porwała tłumy. Na ulicy paroosobowy tłum zachowywał się nieodpowiedzialnie, bo odgrażał się, że na nią nie zagłosuje. Ale trzeba trafu. Urząd Miasta zgromadził seniorów celem rozdawania czujników czadu i szkolenia, jak z nich korzystać. Jakież było zdziwienie na sali, kiedy okazało się, że czujniki rozdaje osobiście Małgorzata Kidawa-Błońska. Nie to, żeby rozdawała gorzej niż kto inny, ale nie każdy chce być nachalnie i znienacka agitowany. Jak widać, można zmienić przywódcę, ale natury partii się nie oszuka. A natura PO, żeby oszukać, najwyraźniej jest nie do ruszenia.

eprasa.pl a665b7dce2

***Zawistowski prezentuje:* Przerwa**



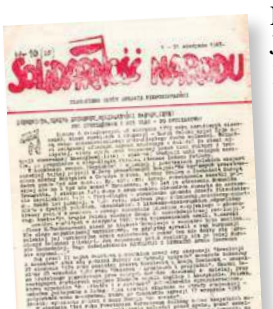
Wycinki z przeszłości

Jest w naszym archiwum i taki skarb: wydawane w Warszawie i Krakowie podziemne pismo „Solidarność Narodu" z sierpnia 1983 r. Jak podaje „Encyklopedia Solidarności", ukazało się 15 numerów gazetki w nakładzie 1–1,3 tys. egzemplarzy. W rubryce „Wiadomości i komentarze" informowano m.in.:

„Jak co roku 14 sierpnia w Ossowie, Radzyminie i na Powązkach liczne rzesze oddały hołd poległym za Ojczyznę w 1920 r.

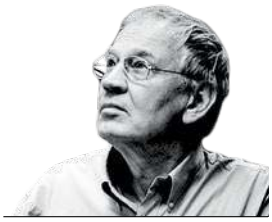
Od 16 sierpnia wprowadzono w Gdańsku doraźne sądownictwo i podjęto inne drastyczne kroki dla zastraszenia ludzi. 31 sierpnia na wezwanie TKK w wielu miastach naszego kraju odbyły się manifestacje prosolidarnościowe. Mimo zmasowanej akcji propagandowej i policyjnej władzom nie udało się zastraszyć społeczeństwa. ZOMO brutalnie rozpędzało manifestantów za pomocą gazów łzawiących, armatek wodnych i pałek. Jest wielu aresztowanych. 25 sierpnia Rakowski na spotkaniu ze stoczniowcami w Gdańsku kłamliwie oczernił Solidarność i ordynarnie zaatakował Lecha Wałęsę. 15 sierpnia tzw. nieznani sprawcy sprofanowali groby Rydza-Śmigłego i Grzesia Przemyka. Ten ostatni grób tonie w kwiatach".

W składzie redakcji byli m.in.: Tomasz Wołek i Mariusz Kobzdej (założyciele), Marek Gadzała (Kraków), Anna i Lech Jeziorni, Jacek Papierz. Autorzy: Małgorzata Bartyzel, Lech Bądkowski, Marek Gadzała, Tomasz Gąsowski, Jarosław Kaczyński, Paweł Kłoczowski, Lesław Maleszka (zdemaskowany później agent SB), Andrzej Ochalski, Andrzej Tadeusz Olszański, Janusz Reiter, Andrzej Romanowski, Marian Terlecki, Ryszard Terlecki. ***(mk)***



Apostrofa lubelska

(fragment)



Leszek Długosz

(...)
Enklawo ocalona ziemi czystej
I domostw wciąż nieryglowanych
Niech cię omija zaraza siarkoołowiana
Złowieszcza smuga Czarnobyla
Niech ciebie się nie ima
Lecz niech cię nie nawiedza nade wszystko
Klęska ta cicha i podstępna
– Drętwota i nieczułość serca
Skaza pamięci, co się wyzbywa sama
Istoty swego pamiętania
– Jaki jej grunt tu
– Fundamenty?
Niech ci nie leci w oczy przynęta dzisiejsza ta
Pokusa
– Szum plastik plewa śmieć wszelaki
Niech ci się nie muruje w rozum
Nie zasklepia w duszy

Niech się ostanie w herbie twoim dalej
– Kłos
Lnu gałązka, szyszka chmielu
Dziewanna dziczka – złotopiaszczysta lilia
Z wysypiska, niech cię ozdabia
Wdzięczniej niżby i róża hodowlana
Niech cię rozsławia
Wysokie drzewce poezji Czechowicza
Ach wrzućmy jeszcze do rejestru
Drobiazgi... te klejnoty – bibeloty
– W Lublinie tę S t a r ó w k ę z baśni
Wyniesioną
Miedziak księżyca nad dachami
Skrzypce Wieniawskiego
I Arnsztajnowej, to rzecz jasna, że Franciszki
Koty

– Moja apostrofa z wdzięcznością
W twą lubelską stronę
Niech się pochyli
Jak witka zielona.

(Z tomu „Na Rynku usiąść w Kazimierzu")

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl a665b7dce2



OD A DO ZYBERTOWICZ

Niepoczytalna wola życia

Prawo ma uregulować to, co samo w sobie jest moralnie wątpliwe. Przepisy mają niejako poświadczyć, że eutanazja nie jest efektem nadużycia władzy nad życiem i śmiercią

Pod koniec sierpnia rozpoczął się w Holandii precedensowy proces o eutanazję, która od kilkunastu lat jest w tym kraju legalna.

Lekarka przeprowadziła eutanazję kobiety z zaawansowaną demencją. Prokuratura zarzuca pani doktor, że ta nie zrobiła wystarczająco dużo, aby się upewnić, czy chora rzeczywiście chce zakończyć życie. Kobieta od lat cierpiąca na chorobę Alzheimera, która wcześniej zgodę na eutanazję wyraziła, nieoczekiwanie podczas zabiegu zaczęła stawiać opór. Lekarka jednak procedury nie przerwała. Przy wsparciu męża i córki pacjentki, którzy chorą przytrzymywali, do końca podała śmiertelny zastrzyk.

WZGLĘDNIE POCZYTALNI?

Wygląda na to, że dla Holendrów punkt ciężkości wcale nie leży w tym, czy człowiek w ogóle może decydować kiedy, komu i jak odebrać życie – przecież to humanitarny akt skrócenia cierpienia.

Prokurator wcale nie zarzuca lekarce złej woli ani nie domaga się jej ukarania. Chce jedynie ustalić, czy lekarka należycie się upewniła, że pacjentka w momencie zabiegu chciała umrzeć.

Proces toczy się w celu określenia dokładniejszych ram prawnych na przyszłość. Chodzi o doprecyzowanie procedur na tyle, aby było możliwe określenie momentu, do którego trzeba konsultować się z chorymi na demencję. To znaczy ustalić, do kiedy chorego traktuje się jeszcze jako względnie poczytalnego, osobę na tyle kompetentną umysłowo, by jej decyzje uznawać za wiążące.

Chorzy często w początkowej fazie choroby wyrażają wolę skorzystania z eutanazji, jeśliby w wyniku postępu choroby miało dojść do sytuacji, że ich życie dla nich samych i dla osób bliskich staje się nie do zniesienia. „Kłopotem" jest to, że w późniejszych fazach mogą mieć inne przemyślenia. Zdarza się, że chorzy wbrew wcześniejszym deklaracjom bronią się przed tym ostatecznym krokiem, który ma zakończyć ich życie.

PROCEDURY

Prawo ma uregulować to, co samo w sobie jest moralnie wątpliwe. Przepisy mają niejako poświadczyć, że eutanazja nie jest efektem nadużycia władzy nad życiem i śmiercią, ale humanitarną, wykonywaną z poszanowaniem świadomej woli, cywilizowaną metodą walki z cierpieniem.

Ale jak te ramy jednoznacznie i bezdyskusyjnie ustalić? Czy mimo postępu medycyny wiemy faktycznie wystarczająco dużo na temat ludzkiej woli życia? Czy możemy być pewni, że poza chorym ciałem i umysłem nie ma niczego więcej, co należałoby wziąć pod uwagę? Czy na pewno tak dobrze znamy naturę ludzką, by uzurpować sobie prawo do przesądzania – tylko na podstawie umownych procedur – o zakończeniu ludzkiego życia?

GAFA, BY NIE BYŁO GAFY

GAFA – to coraz częściej spotykany skrót od pierwszych liter nazw czterech cybergigantów: Google, Amazon, Facebook i Apple.

Google – najpopularniejsza przeglądarka, której ambicją jest skatalogowanie wszystkich możliwych informacji i udostępnianie ich za pomocą internetu. Amazon – zajmujący się handlem elektronicznym gigant, także pragnący handlować wszystkim. Facebook – portal społecznościowy, w którego ramach użytkownicy mogą się dzielić wiadomościami, zdjęciami etc., tworząc sieci towarzyskich powiązań – najpotężniejsze medium w dziejach ludzkości. I Apple – korporacja projektująca i produkująca elegancką elektronikę użytkową. A jaki GAFA ma związek z eutanazją?

Giganty cyberświata już „optymalizują" nasze życie, przełamują granice, promują wolność od tradycji, od religii, od przesądów, od (tradycyjnej) rodziny. Podsuwają nam aplikacje mówiące, jak jeść, jak uprawiać sport, z kim się spotykać. To algorytmy mają pokazać, na czym polega naprawdę dobre życie. Takie nadzieje są głoszone. Wystarczy ponoć zebrać odpowiednią ilość danych o życiu człowieka i posiadać bazę miliardów użytkowników, aby móc tworzyć uniwersalne profile psychologiczne, algorytmy zachowań, modele procesów, toków myślenia etc. By wyznaczyć cyfrową prawdę.

Dysponowanie wiedzą, która oferuje niemal boski wgląd w naturę ludzkiego świata, daje pokusę zarządzania nim. Z tej perspektywy ustalenie momentu, w którym nasza wola życia jest jeszcze poczytalna, chyba nie powinno już żadnych sędziów głowić.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl a665b7dce2

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu
na nr. 22-463-49-99



ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNERZY:

Bank Pekao

ORLEN

eprasa.pl a665b7dce2



ORGANIZATOR: Gazeta Bankowa

PARTNER ZŁOTY: ORLEN

PATRONAT HONOROWY: Ministerstwo Cyfryzacji; Ministerstwo Finansów; Ministerstwo Infrastruktury; Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju; Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego; Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii; Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi; Ministerstwo Sprawiedliwości; Ministerstwo Zdrowia

PATRONAT: Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

PARTNERZY STRATEGICZNI: accenture; Bank Pekao; Energa

PARTNERZY GŁÓWNI: KGHM Polska Miedź; LOTOS; PZU; Saltus Ubezpieczenia; Totalizator Sportowy

PARTNERZY: arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.; PGNiG

eprasa.pl a665b7dce2